

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości
/.../
Dzieło sztuki – mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena zł 20 000.—

a

2

2 (56) 1994

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



AKCENT nr 2 (56) 1994

• Pisarze z Lublina (cz. I) — m. in. J. Czechowicz,
W. Gralewski, D. Mostwin, Z. Mikulski, M. J.
Kawałko, W. Michalski, D. Opolski • L. Lameński
o malarstwie T. Zawadzkiego • K. Stępnik:
Legiony na Węgrzech • J. Dąbala: Nieśmiertelny
duch westernu • Magia Pawła Heintscha • Listy
do Czesława Jankowskiego •

Wydawnictwo Literackie
ul. Krakowska 10
31-111 Kraków
tel. (012) 251-10-10
fax (012) 251-10-11
www.wydawnictwoliterackie.pl

a akcent
rok XV
nr 2 (56) 1994

akcent

Wydawnictwo Literackie

Wydawnictwo Literackie
ul. Krakowska 10
31-111 Kraków
tel. (012) 251-10-10
fax (012) 251-10-11
www.wydawnictwoliterackie.pl



Wydawnictwo Literackie
ul. Krakowska 10
31-111 Kraków
tel. (012) 251-10-10
fax (012) 251-10-11
www.wydawnictwoliterackie.pl

Wydawnictwo Literackie

Na pierwszej stronie okładki
Tomasz Zawadzki *Nasy Angielewicz*,
stryk, płótno — 1992 (format 140 x 140 cm)

Na drugiej stronie okładki
Tomasz Zawadzki *Wysoko góra*,
stryk, płótno — 1993 (format 130 x 60 cm)

Fotografie barwy

Paweł Machaj

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994

1994
nr 2 (56)
XV rok



Adres redakcji
20-022 Lublin
ul. Okopowa 7
tel. 27-449

Wydawca: Wydawnictwo Literackie

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają
urzędy pocztowe i „Ruch” S.A.

- W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące biura:
Polish American Bookstore, „Newy Dziennik” — Polish American Daily News,
21 West 38th Street, New York, NY 10018.
Pauline Fishers, National Shrine of Our Lady of Częstochowa, Bookstore,
P.O. Box 2049, Doylestown, PA 19041.
Szwede Steve Books, 223 El Camino Way, Palo Alto, CA 94306.
Mina Prazic, „Polonia” Bookstore, 2836 Milwaukee Ave, Chicago, IL 60618.

Wydawca: EDYTOR PRESS Ltd.
20-021 Lublin, ul. T. Zana 38 c

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne, ul. Umiecka 4
Druk skończono w lipcu 1994 r.
Cena zł 30,000

Artykuł

Z cyklu *Ulaskawianie baroku*

Piak, pokręty

SPIS TREŚCI

- Mariusz J. Kawalko: *wiersze* /7
- Stanisław Uliaz: *Powrót Kresów w literaturze* /13
- Danuta Mostwa: *Sonia* /18
- Malgorzata Olewńska: *Kosmologia, czyli o poezji Dominika Opoka* /27
- Janek Guz: *wiersze* /34
- Andrzej K. Wulkiewicz: *Fantyci, doświadczenie, przesłanie* /40
- Zygmunt Mikulski: *wiersze* /46
- Aleksander Rogalski: *Wspomnienie o Wacławie Grześkiewiczu* /49
- Janusz Kotafski: *wiersze* /58
- Józef Czechowicz: *Proza dla młodego czytelnika* (opr. Jolanta Kowalczykówna) /62

PRZEKROJE

- Władysław Makarek: *Polacy i język polski na Litwie* /87
- Elżbieta Cicla-Czarniewska: *Literatura polska na Litwie* /95
- Robert Miłkorki: *W pamiętkach własnej tożsamości* /100
- Tadeusz Polanowski: *Czas powrotu i wyzwania mieszkańców* /104
- Zygmunt Mikulski: *Słowa niedowiedziane* /107
- Gratyna Witkowska: *Współka wierszem pisaną* /108
- Agnieszka Salska: *Księga prorocza* /110
- Marek Adamiec: *„Przed węgą zadem Wisłocha Gombrowicza przelecie...”* /117
- Tadeusz Szobot: *Sonda bar ośmiudziesiątych* /121
- Józef Galkowski: *Album o Czapkowie* /124

PLASTYKA

- Lechosław Lamedki: *Kolor i światło w obrazach Tomasa Zawadzkiego* /127
- Krzyszyna Kisielewicz: *Kreski wyrznięte świat. Rymki Tadeusza Kaliniewicza* /131

FILM

- Janek Dąbala: *Niebieski dach wietrzny* /139

HISTORIA

Krzysztof Stepiński: *Legiony na Węgrzech 1945*
Maria Kanowska-Perzbach: *Inne „pokolenie zabłani ciemną”* /156

OBYCZAJE

Matylda Welna: *Magia Pawła Heinsteina* /162

ARCHIWUM

Luty de Czestawa Janekowskiego (Wino) z lat 1879—1890 (oprac. Jerzy Starnawski) /167

DZIWAŁKA KULTUROWE

Urzula M. Benka: *Wzrąski i szopy* /180

ZMOWA ODDALONYCH

Marek Kusiba, Roman Sabo: *Zawieszka! w wyprawie* /184

NOTY

Lechosław Lameński: *Połąy w świecie* /193
Malgorzata Kiszewka-Lysjak: *Cyzelator* /195
Krzyszta Kiszewka: *Ara eronia czy erotomania? —* *chybione pytanie* /197
Ostatnie spotkanie z Czechowiczem (oprac. Tadeusz Polanowski) /199

MARIAN JANUSZ KAWAŁO

Z cyklu *Ulaskawianie baroku*

Ptak, pokrzyk i miłość

to ja jestem ten ptak
o światnie kłoty namiętna
otęp ostatni gwiazdnie gau
pożacznie latarnie na przedmieliach
nieba podługła brzemienne anioły
i adonując zrzębionych obłoków
w światyżni pramienna jakotekwiczone
iród bżeknie skrzydła —
jak zora
niby gardła skurca

to ja jestem ten cierpli pokrzyk
wyraślający z niemozy brank i
atropiznowa poraczki rozniewający
w papercach gdzie wachodni tyle
wilgotnego diens i tajemnych
myśl odoryzani aroki nad otwara
raną perłyb dymia gwiazdnorbzory
i spocno czoła drwali plonąc wielki
niby mroziska moje pajęcz
sky

to ja jestem ten szafirowy ogród obiecy
Tobie — miłość przywiera do źrenic
i sów na podobniestwo ptaków
i śnieżniawa dółka smaczek soli
na ustach strono aż do blyskawic
podchodź Twoje ciao jak gąziel
i wiatr stajają się w jemiłostki
głoda osiemnielę
dłonie

24-26.10.1992.

Partita dla dwojga

Om: Lawa

mikałem caby od stóp aż do oczu
obłeczony w astocjanowy jagodnik i

ROZKRYCIE
Kazimierz Mielczarek, *1922* — 2002
Wydawnictwo „Czytelnik”
Kielce, 2002
80 s., 24 zł.
Kazimierz Mielczarek, *1922* — 2002
Wydawnictwo „Czytelnik”
Kielce, 2002
80 s., 24 zł.

zabiegał się...
wzruszał...
szczęśliwie...
wieloletni...
niech...
zawieszka...
szczęśliwie...
wieloletni...
niech...

odpowiedzi...
niech...
zawieszka...
szczęśliwie...
wieloletni...
niech...
zawieszka...
szczęśliwie...
wieloletni...
niech...

niech...
zawieszka...
szczęśliwie...
wieloletni...
niech...
zawieszka...
szczęśliwie...
wieloletni...
niech...

łąkę rusznicą sól kładłem
pomiędzy rozlarzone wrzozca
Twoich bioder nagły przypłył zaśniepał
we mnie odwrócone czołna
obłoków

niekazałem cały od wiośniowych
mgieł po migotliwe staocata
serdecznika rozsypane chlorofle
drzewny na przemiennie nadchodziła
pora gdy Twoje dłońce jedna za drugą
zapisały cały błękit jak oszalały
schemograf poczułem ból
lawa wezwawiała płynęła
ku dolinie

Ona: Ogień

ten pożar o jesiennej geometrii
bioder trawi całe wnętrze
mojej woskowej muszki kłedej wykobylał
w tysiączonych hipsozach nie pozając
zapaistych łuków ust brwi powiek pierśi
dotknął się bóję by się splonąć twego
świecznika aż nadno i palującego tleno
co odlepiła otwarty sa okiesierz
wiesz ten ogień z pogadalskiego chramu
alby warkocz beresniki łagodniejszy fałszy
wspina się aż do niebios moje
purpurowe zmianę miłości
jak lona

Białe bolero podczas pełni

— w księżyc pójmaniu
okryję serce twoje moje

— powiedz
dla kogo ta dżika nakółka co igra
słaby rozpalała rączę w Twoim sdroje
co za srebrna ruń opłata wpięczy
moich bioder

— tak pragnę ciebie na skraju ciury
i ciemnych powiek zieleni rozkołysują
rwoję wonnych ramion niebios a
wiarogę ogrady chmur szatanawiam

ciebie ponadem masą do wienicy purpurowej
pooyłam bezpiecznie miłą jakby
czerechka albo ruta
był

— wodzą Cię niby omroczona ówica
po łuskach chłodu i witrażach z wody
koleją w Tobie tęcza
między nami —
światło

— to śpipek miły przeciw srysiuszowi
ze lawice gwiazd palująco
w wągocach twoich oczu syrc
niecierpiwość i Boga długie czuwanie
szczywan milocią nagości tak kryta
że świat rozum traci tobę objawiam
łuski są
zakryte tybinkami
dnia

— Pan wywieźcie Cię z labiryntu
ciała mego splonoznego jęrzyka nie pozamaj
ani gorączko ościenia aż się spełniesz
głodem jak czarna obłąk narazaczę
Ciebie z krzykiem

— miłą mnie miłą nade mną
we mnie niepełniałość
nieodwraconalność
ty — — —

Medytujący o brzasku

o Głosie wdrująco
po pustyni iluzi zakrzępego młokoza
rościelisz o każdym ówianiu między mną
a gęcią taber metafory przemienienia
napelnie się zręcz ta cisza wysoka Duchem i
skrzydłatymi bisami tli się niby mgła
z pradłiny brzasku wykradłam ostatek młikowego
sna potykam się niczym rosa na jego mrocznych
zawachaj Ty szczyfuję mój zasypiany snem
Ojciec kaina i abrahama z niewiedzialnego
Okła wspanaz we mnie rozrę jak namiot obłaz
albo łaglowie wolam ciernisty Głosie
przywraozający skrzydła siemowicie nocy snem
oicień czyszczający mnie z kosmatego lęka

wjrzysz na alfabet kochanków odurzony przytęm
miłosnym uczył ich kwiatem lotosu talismanem
w porze kółłek w godzinie
blykawa

1.10.1994

Cudowna rana świata

Naszycielu

który to już raz powracamy do
beth-lechem praehbrażni na nowo w ciemność
wyciamy się z obnażoną głębią
zastygłe ledwie włókna czarni sily
gorący pył wraz z nami zakradła się
ziewdziała Miłość to

Adonai sprawa iż zmartwychpowstasz
we mnie z każdym brzasaniem wkrażasz
tajemne ogrody pełne krystalicę
muzyki słów nie kani ani nie nasyta
ichnemoosy na moje gniazdo łaski pełne
ufności i skrzydlatego Ducha łagodnie
spływają nasekrytyzowane zawoje kosmosu
a Ty ciepłonie thamaczysz się z każdą
rozgarzoną
raną

Rabbi ile ran wystarczy

powiedz bym ocalił w sobie iż jasność
beth-lechem oduwną ranę
świata

11.12.1993

Rozmowy z Ocalającym

1. Rozmowa poranna

uczę się
kochać iż miłość w Twoich słowach
wygladzi i wypięwuję astralne
głosie tańcząc na krawędzi łpicy sily
porzosa wdrując przebudzonym didem
skrzy się ta miłość światojadźmi opłkami
wkracza poculunki jak jessene jarzębiny
półprowie falają a Ty radośnie je przedświetlasz
nasze sekretne frerice jarzące się od

gorący owjasz na Obłoku nasze imiona muskasz
sily leise ugrę i malachity i aczysz miłowad
owoc kiedy zawiązujesz jest jak wietli
wybuch sily róża wieczności
helna światła
w Twoim
Oku

8.10.1993

2. Rozmowa w środku dnia

uczę się mówić

Emanuelu potykam się o najprostsz słowo greck
tak spadać bez krzyku jedynie Ty
potrafisz Ty wiesz jak dościsć piarworodnie
całe misterium milczania na każde miejsce
czarki Ty tylko masz władzę w Ojcu aby wkręcić
siłę przynierza okadzić wery Teoy w latakubach
ocemniłami aniołów w mowie Twego osobnoziogo
cierpienia siեսustannie odnajdję moje sumienie
rozgarczkowane niczym światły warkosz
komety po każdym doocyk Twójgę szary odradę się
radosny szepc pióra w lotnie przesieniosy coraz
wyjść wlatując niepoprawnie wolaćg E-manuel-eln
Żertwo nasza codzienna o Emanuelu cytra
psalmistka gra powieki porasz czy może wrzok
komu odkryka psychicz moja siեսkończoność cała
zarnarzosa w ikrach
Aniamateria cartigera

10.12.1993 - 2.01.1994

3. Rozmowa wieczorna

Daj mi posiedź Twójgę, Panie
i nasec mase Twójch kielis!
(Ps. XXV, 6)

uczę się chodzić

po Twoich znakach rozpoznać najczulsze
esoy serafimów metafizykę
antologów rugate mandragory smakuję
jak lekarstwo i podgladam pierwocny
Twojego odcisku w świetlikach
siესpiewnych noży otywiają karzawy
wocchwiata — to Ty je potracasz sily
skrzydółka paxodł na wieczną zmartwie

znaczyć gorące źródła poezy potrzebne
tak niewiele dwo słów zaledwie kołach
kołach abym poznać dotyk Twojego spojrzenia
naszyć się masą słuchać kiedy
młczyż do mnie jedna zaledwie ślad prowadzi
ponad połaganem w wierzchołk unosisz mnie
skrzynie na powiece ze

ukaz mi motowidło Twoj miłoś
Panie co złego stać się ma
niech mi się
odstanie

Tyś jeden moona przezić

Rybu — 30.11.1993

Mój samouczek

ciagle się użyz samotności miałych
ros tych kłakujących obłoków aby
ocalić radość napalniają gwiazd
w Twoich oczach nie zasnąć
do bólszy słów niedoroznych
się poszczazn galopem przez wieznie
wszystkich moich bezluznych
w podzwiewani nowe naglawice
gdy przemka je spirale ciepło
Twoich dłoni błogosławidły dotykane
konstelaie i wciąż uczę się
wbierającą we mnie tajemnicy
wzruchachwyta oddaniem nagie
wahado półgłówna zwienszenie na
ciemniej stronie

od spojrzenia do zażnienia
od płomienia do
strumienia od kuzenia
do Nektaru

szczęśliwiez puka

30.11.1994

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

niech słońców w zwoonach

literatury zidentyfikować ten po...
Stanisław Uliasz

STANISŁAW ULIASZ

Powroty Kresów w literaturze

Powroty Kresów stały się obecnie faktem kulturowym. Uwidaczniają się w różnych formach współczesnego życia. Dużą o rolę może odegrać publikacja książkowa — w tym rozprawy i eseje, np. *Młody Niemiec* o Drzewie Tadusza Lapałewskiego (oraż inne książki „kresowe” serii Ryszarda Wegnera „Cuda Polki”, Feliza Zofia Kosack-Szczepkiewicz, *Barza ad Wichoda M. Dusan-Kotkicz*, kolejne tomy prawdziwego opus vitae Romana Allanazara *Drzewo*, rzydziedzi na domowych Kresach *Rzeczpospolita*, realizatorstwa twórczości wielu pisarzy (np. Stanisława Vinowca, Floriana Czarnyckiewicza, Eugeniusza Malczewskiego, Józefa Mackiewicza), ponowne uaktualnienie problematyki pogranicza narodów, kultur i języków (por. liczne teksty na łamach „Akcentu”, „Znak”, „Kresów”, „Przeglądu Wschodniego”), audyoe siewiczne (np. cykl gawęd prof. Wiktora Zna *Nad Niemcem*, *Pięć Przypadek*: 1989, reportaż Stanisława Augustka *Podróż na Arce* z r. 1990), rozełki nekropoli (głównie lwowskich i wileńskich), zainteresowania lokalnym, przywołania postaci Szepeka i Tońka, które urastają do roli nieomal biografii symbolizujących atmosferę przedwojennego Lwowa, fascynacje kucioła kresowa, czyżliwie powożenie tekstów pamiatnikarskich (np. *Europej* w realizacji Marii Czapskiej, *Wód Przypięty*, *Jasne imię...* Antoniego Kłowieckiego, *Młody Bohem* o Słazie Anny Pruszyńskiej, *Dereźniewicz opiera*, *Przez Stefana Kłowieckiego*).

Powyszyzn gawiskom towarzyszy renesans piarskiego nurtu, skierowanego na wielobarany i zróżnicowany świat kresowych małych oczyszcz, książek serca nie tylko za względu na biograficznych, ale głównie z tej racji, iż oczyszcz Kresowa staje się w wielu tekstach zakłaczony czyżliwie absolutnie, modelem uniwersalnym. W sytuacji, gdy zanikający bariery orozowickie, nastąpio jakby apokaliptyczne Kresów. Uraohromieni zostali pamieć kulturowa, która do niedawna w Polsce mogła funkcjonować jedynie w zawołowanych formach. Świat stracony i zdruzgotany przez historię, zglądzony w sensie fizycznym, wodzi do świata kultury, do historii „złotego trwania”. Kultura jest bowiem komunikacja fakty powiędziana Edward T. Hall), domem wartości, wyznacznikami i wapiidnocy, rozumianymi nie tyle w sensie terytorialnym, ile w planie ekologicznym. W takim układzie literatura staje się miejscem odbudowywania pamieci, a jej osadzające funkcje użytkują zasadne znaczenie. W literaturze polskiej XX wieku fenomeny wspomnienia i idealizacji kresowej przestrzeni geograficzno-kulturowej pełnią rolę podstawowej strategii artystycznej. Z dużą siłą świadczą się dążności do odbudowywania map mentalnych i geograficznych. Proces ten jest wyrazem poszukiwania domowych oczyszcz, które w sytuacji powojennego wygnania i wykorzenienia są przejawem zgłębienia intocy „miejsc współczesnych” i współczesnych. Literacka

wędrówka na Kresy pozwala zastanawiać się nad hierarchią wartości kulturowych.

W dniu dzisiejszym pojęcie Kresów jawi się jako zleśnianie różnicowania jednostki semantyczna, która skręca w sobie niemal całą, skomplikowaną i wielopłaszczyznową hierarchię obecności polski na Wschodzie. W literaturze wspominać, jak skazani zostali Jerry Jarząbki, temat wschodniej próbnia opuszczeń rpli, która nadal boli¹. Termin Kresy stał się rodzajem dogmatu uroczowego, narodowościowy, etnologiczny, a im bliżej sąsiada teraźniejszości tym bardziej uzyskuje wymiar fenomenu kulturowego. Idea Kresów podlega obecnie próbowi kulturowego sublimacji. To, czego nie udało się osiągnąć w sferach dydaktycznych i historycznym trwania, w kulturze uzyskały postać ułudzeniową, funkcjonując jako wartości. Bagaż wywiesiony z kresowych Kalitówek (kuzin de znaney wypowiedzi Jerzego Stempowskiego o *Wieście Cuchorzanie*) zaczyna przemawiać do roli wzorowego wyposażenia duchowego Polaka, szczególnie wówczas, gdy wyzwała prawdy o wielowymiarowym i współczesnym świecie krajowym. Krytyka Konecka, która również (jak jak Aleksander Jurczyk czy Adam Zagajewski) artykułując w twój twórczości problem „dotarczenia do Jaksy” (temat zaskazywany przez Małgorzatę Ceremakową) w *Wierszu Ulca Ślaczek* zamieniła pisar-

¹ Zk., *owiesiany i wytwalony ciest* próbuję pojąć alfabet kerzen.

W tej sytuacji każda próba, będąca propozycją osiatolewego przedstawienia tematu kresowego, wzbudza zrozumiałe zainteresowanie, a jednocześnie zmusza do stawiania wielu pytań problemowych, towarzyszących lekturze. W literaturze przedmiotu dotyczącej Kresów Wschodnich przybyła niedawno książka Bolesława Hadaczka². Zawiera ona w obgu krytycznym i literaturoznawczym obok kluczowych dla omawianego tematu rozpraw napisanych przez Jacka Kolbuszewskiego (*Legenda Kresów w literaturze polskiej XIX i XX wieku. Dramat powojennostwo odczyty, Kresy jako kategoria etnologiczna*), Jerzego Jarząbki (*Współczesna. Ewolucja obrona kresowa po wojnie*), Jana Błogoskiego (*Polak reży*), Niny Taylor (*Dziesięćty WZL w literaturze emigracyjnej, Kresy w literaturze emigracyjnej*), Marka Zaleskiego (*Złoty owiesiany Kresy*), Eugeniusza Czajkiewicza (*Kresy a Syberia, Kresy i Europa*), Jerzego Ryśkarda Krzyżanowski (*A paradzis list* *The Image of "Kresy" in contemporary Polish literature*), nb chociaż nie do czasu, z roku 1978, tak szeroki studium regionalne. Hadaczek nie wspomina o nim nawet w przypisie. Są też już prace zbiorowe, a wśród nich: *Między Polską etniczną a historyczną*, pod red. Wojciecha Wrzesniewskiego, *Wibno — Wileńszczyzna jako kraj-obraz i środowisko wielo kultur*, t. I-IV, pod red. Elżbiety Felikszak, *Les confis de l'ancienne Pologne: Ukraine, Lituanie, Biélorussie XIX-XX siècles*, pod red. Daniela Beauvois. W druku znajduje się tom *Kresy w literaturze. Twórcy dwadziestowieczni*, pod red. Eugeniusza Czajkiewicza i Edwarda Kasperkiego.

Książka Hadaczka jest zbiorom zaskiców, które w dużej mierze są przedkładem wcześniejszych prac autora o Kresach (aż 10 spośród opublikowanych liczy 30 zinstale od 1988 r. opublikowanych). Część koncentruje się na ogólnym charakterystyce literatury kresowej. Objętość oraz analiza pojęcia Kresów, daje szerszy historyczno-

i skreślony z nią prezentację głównych etapów rozwojowych literatury kresowej. Kończąc pracę rodzinną i skupia się na opisie podstawowych wyróżników tematycko-artystycznych literatury kresowej (indywidualnie regionalnie, batalistyczna kresowa, wątek siala obco-czemu arki, folklor kresowy, pejzaż kresowy, postacie kresowian, autobiografizm kresowy, dialekty kresowe, pamięć-kontakta, mityzacja).

Część II, złożona z pięciu szkiców, w całości zostaje poświęcona literaturze kresowej dwadziestolecia międzywojennego. Kolejną częścią stanowi prezentacja sylwetek twórców związanych z tematem polonico-wschodnimi (Czesław Miłosz, Tadeusz Konwicki, Zbigniew Zakwiec, Józef Mackiewicz). Natomiast w następnej znalazły się omówienia dokonanych autorów, da których inspiracją są Kresy polonico-wschodnie (Stanisław Vincenz, Andrzej Kuniński, Leopold Buczkowski, Włodzimierz Odziejewski, Andrzej Chociński, Julian Strzykowski, Józef Wittlin, Andrzej Szejnwiński, Ryszard W. Kosofowski) skupia się na problematyce ekspansji z Kresów i przeobrażeniu rzyśkich postaci formach nostalgia, rozważanej w szczególności na przykładzie twórczości Zygmunta Trautk.

Widać z powyższego, iż Hadaczek stara się ukazać zarówno tradycję, jak i współczesne oblicze literatury kresowej, przechodząc stopniowo od ogółu dyachronicznych do porządku synchronicznego. Tak szeroki zakres tematyczny i chronologiczny zmusza autora do wyborów, które jego zdaniem spełniają wymóg reprezentatywności. Rzecz jasna, że można ten krąg obserwacji poszerzyć. Najbardziej jest to konieczne w odniesieniu do szkiców, będących syntezą historycznoliteraturoznawczą danej epoki. Np. w przedstawionym opisie poezji międzywojennej zabrakło uwzględnienia twórczości Jadwigi Krasickiej (Rogaliły), Olgi Dąbrowskiej oraz Krystyny Krahuleckiej.

Należy odnieść się z Hadaczkiem, iż jego książka dokumentuje „raczej wstępną fazę myślenia o literaturze kresowej” (s. 4). Nie jest to jednak, jak chce autor, wyłącznie sprawa esnoliteraturoznawczego potraktowania problemu. Chodzi przede wszystkim o to, że Hadaczek tracący się głównie o restrukturyzację motywów, wątków, tematów, które uobczywały się w tej literaturze. Zdziaławość pośród wglądów artystycznych, gatunkowym i postawowym utwory autor wciąż „instuje” przy pomocy leży samego zestawu pytań. Czynniki katalogowania cały czas przeważa nad wskianiem w ustajonej strukturze fenomenu kresowego.

Zasadniczy problem tkwi w tym, że kulturowo-paradygmat Kresów wzorowo-wieloznaczny, złożony, a jego rozumienie wymaga zastosowania zmieniających się sposobów pracy. Inny przeciw porządku obowiązują, gdy np. ukazujemy Kresy jako szaniec polski, odmienny wówczas, kiedy opisujemy je jako wspólnotę wspólnot, względnie jako świat strażnicy. Małemu tematycznie podlega odpowiednio różnej strukturalizacji artystyczno-literaturoznawczej w Kędzie Nostalgii, Egotyki, Gwałtu, Błasku i Cierpi, Płomienia i Wągnięzienia, Przeobrażenia i Miłości. Wyróżnienie i opisanie imion Jury Kresowej to nie tylko kwestia wprowadzenia pewnej siatki pojęciowej. Wydaje się, że dopiero taka perspektywa pozwala wydatnie funkcje literatury w pejzażu kulturowym epoki. Uczynienie z paradygmatu gatunkowego jedynie perspektywę ogólna-racjonalistyczną historycznoliteraturoznawczą znacząco ogranicza możliwości subwersyjnej i innych niż autotelezyjne funkcji literatury kresowej. W zakresie rozważań Hadaczka nie znalazł się np. model swoistej retoryki kresowej, który współwzrosła proza międzywojennego polonico KOP-owi i osadnikiem, a który da się opisać jako szczególny rodzaj nowowy.

W przedstawionej przez Hadaczka analizie pojęcia Kresów znalaz-

² Bolesław Hadaczek: *Kresy w literaturze polskiej XX wieku*. Szkice. Instytut Wydawniczy Archidiecezjalny „Otoczanie”, Szczecin 1993, s. 224.

to się spore ciekawych informacji. Skreśla jednak, że autor, referując sposoby rozumienia tego terminu w okresie II Rzeczypospolitej, nie uwypuklił kontrowersji wokół omawianego pojęcia. Nie uzniósł problemu z faktu, że np. „krajowcy” odróżnił tę nazwę (znacząc nie tylko: oni). Warto przytoczyć fragment wypowiedzi Konstantego Skirmuntza, która nadmieniała: *Kresy? Osobliwa nazwa, godna chociażby przeglądu epoki, nosząca w sobie pięć doładowego skracania się, acgiągnia się lub rozszerzenia w miarę potrzeb jednego narodu, na ziemach trzech narodów. Ona też z gotycką piśnią: pamięć się o „Kresach”: wspomina się o krajach (idea jałgeliłotnika o polityka kresowa; Wilno 1925, s. 7).*

Sprawa stosowania terminu „kresy” do dziś dla wielu jest problematyczna. Niektórzy wolą stosować określenie Wielkie Księstwo Litewskie, które przecież nie jest tożsame z zakresem samostanowionych Kresów. Inni, jak np. Juliusz Mieroszewski, próbowali spowolnić termin „obszar ULB”, by wykluczyć jednostoność, jaką stwarzałoby wrażliwość określenia „Kresów”. Nierównie nazwą najbardziej neutralną jest określenie „północna, która jednak nie zawiera aniplotu co do psychopolitycznych, wybitniejszych z kolei polskojęzycznych sposobów pojmowania kresowości.

W wielu miejscach swej książki Hadzicki sygnalizuje zagrożenie regionalizmem. I słusznie, gdyż poczucie odrębności regionalnej Kresów funkcjonowało przez długi czas w połączeniu z przekonaniem o ich jednolitości z całością dawnej Rzeczypospolitej. Jednakże pojawiając się coraz wyraźniej nacjonalizm powoływał, że idea regionalizmu na ziemiach wschodnich budziła tyle nadziei, że obaw.

W latach międzywojennych próbowano nawet odnieść od innych ziem polskich regionalizm wschodni poprzez nadanie im nazwy „krajowizm”. Miał on zmierzać do wytworzenia spójny kultury krajowej, złożonej z różnorodnych pierwiastków. Ten rodzaj polityki nakładał odrębnie niebezpieczeństwa podjęcia wyłączenia narodowościowych mieszanej jednolitości tych ziem. Wzmocnienie kultury polskiej elementami litewskimi, białoruskimi, żydowskimi czy ukraińskimi, w skomplikowanych warunkach narodowych budziło w świadomości innych obaw o wartość doświadczeń odrodzających, co bezpośrednio prowadziło do realizacji hasła centralnego, polowoczesnego regionalizmu. Czesław Miłosz ujmował omawiane tu zagadnienie następująco: *Regionalizm nie jest stowarzyszeniem. (...) W Polsce niepodległej regionalizm został stety do celów bardziej konkretnych, które można odnieść do wczesnych wojtek i przesłan: nał się mianowicie obawa, mająca godziły tarcia narodowościowe na Kresach. Zawsze bezwzględny asymilowania Białorusinów, Litwinów, rasydy i pijęty w stawkę i mieszankę (...). nasyły z komunistami narciowe. Wskazów tego powstało potrzeba wyklarować, w które można by było ubrać rpece polityki polskiej w działaniach niebezpiecznych. Z tych potrzeb narodził się regionalizm, jako środek wprowadzający do ziem wschodnich kulturę polską w doświadczenia jaskrawych, w przykładach sprzedawanych pod nazwami niepodległości. *Autoryt. k. Księstwa Litewskiego”* (id. *Idzie regionalizma, „Pamięć” 1932, nr 2).* W kontekście rozważań Hadzickiego warto podkreślić merkylność złożoności idei regionalizmu na ziemiach wschodnich, zwłaszcza w okresie międzywojennym. Uwzględniemy na ten temat wypowiedzi Czesława Miłosza, Wiktora Piotrowskiego, Mieczysława Paszkowskiego, Jędrzeja Giertycha, Josefa Czechowicza za pewno doprowadziły autora Kresów w II Rzeczypospolitej. Jest siła do nieco innej problematyki zagadnienia regionalizmu.*

Należy to jednak zauważyć, że książka Bolesława Hadzickiego spełnia dobrze rolę przewodnika w gąszczu tematów i problemów kresowych. Bogate odwołanie bibliograficzne (choć brak w nich np. peso Mariana Zdzisłowski, Folkisa Grossa, Jerzego R. Kryzia-

nowskiego, Tadeusza Hołówni, Stefana Kamifskiego, Wacława Lipińskiego. Nie wspomniany już o nazwiskach autorów, których rozprawy ukazały się po roku 1991 do chwili obecnej) mogą również stanowić pomoc dla tych, którzy zechcą zgłębić istotę polskojęzycznej literatury krajowej. Literaturogojnej zauważenia nie tylko ze względu literackich.

Stanisław Ułasz

Książki nadesłane

Wydawnictwo Naukowe PWN

Juliusz Berlich, Bogusław Lebedziński, Michał Pietrzak: *Historia ustroju i prawa polskiego*. Ś. 654.

Owsej G. Kazyriucz: *Czasy dyktando. Zb. studiów nad rokiem 1940-1941*. 1941. Ś. 273.

Alina Kowalczykowska-Sławińska: Ś. 445.

Zofia Karwowa: *Język polski Władycyżczy i kresowa publicystyka wschodnich 1914-1917*. Ś. 499.

Włodzisław Łęgowski: *Adygnolny narodził się*. Ś. 213 + 49 ilustracji.

Andrzej Maryczak: *Lotwa, Turcja, Egipt, 99 + 1 fot.*

Andrzej Mieroszewski: *Białoruski w Polsce 1944-1945*. Ś. 238.

Misa Schebel: *Czytanie, imięci, dalsze życie. Pisma wybrane. Przekłady, wstęp i przypisy opracował Adam Wągrnicki*. Ś. 113.

Lech J. Siwert: *Aut organizmów ian. Współczesny Władimir U. Czekanin*. Ś. 31.

Gwani Mendzian: *Jak bronić się przed mamią. Podręcznik*. Ś. 106.

Ewelina Nuzdyńska-Pińska, Barbara Parusiewska, Ewa Popiel-Popiołek, Helena Ułtka: *Film w szkolnej edukacji humanistycznej*. Ś. 361.

Owsej Gendur: *O grupach społecznych. Zb. studiów i wykładów. Przekład Jan Kaldziński*. Ś. 327.

Studia naukowe. Czynności naukowe. Pod redakcją Krzysztofa Krasińskiego. Ś. 251.

Franciszek Zagła: *Przeżył niepodległość*. Ś. 284.

Kazimierz Popożyły: *Psychopatia. Istota, przebieg i sposoby reakcji i leczenia*. Jaktorów. Ś. 362.

Melchior Wąkarczak: *Ziele na brzozi*. Ś. 400 + 32 ilustr.

DANUTA MOSTWIN

SONIA*

Kiedy wzięłam nazwgo domu abielii śnieżna skłóciłość, a spod zwałowego pnia morwy wyholnie rady list i przebiegając polną spragniony dopadnie strumyka; kiedy rytnek drobnych jego śladów na śniegu zdradzi tajemnicę wypadu, wtedy w hieroglifach pamiątki powstają zapomniane obrazy i wraca tamta zima.

Kiedy o zmierzchu tulipanowce wyciągają ozary ramiona do lirkowego nieba, wspinając się na palce poza osrebrzonymi świerkami, kiedy ciuza technie rzetkim zapachem bielei i pierwszy lodowy soplei zastyga pod okapem okna, a noc jak puchate skrzydła sowy zapada nagle i wyszytko staje się male, dosięgalna i możliwa, jakby zamknięte w zacieniętej dleńi, wtedy wraca obraz tamtej zimy.

Była to jedna z najczarzystych zim, jakie pamiętam. Zima roku 1944. Po Powstaniu mailellim się w Lublinie. Babka moja dała nam dwa pokoje w przylegającym do nowoczesnej kamienicy jedno-piętrowym domku, pamiągającym jeszcze koniec ubiegłego stulecia. Mary miał grube jak cisek wawelski, okienka male, wychodzące na ulicę Narutowicza, łazienkę zastępował kibel w szafie, a piec — żelazna „kozła”. Straszny i niebezpieczny był Lublin zimą 1944 roku. Na zamrażających slichach tliisko i ciemno. Na Dolskiej Panny Marii, uliczce biegnącej stromo ku Bystrzy, oraz to rano znajdowało poduszonych ludzi. Mialo było odwanych, którzy chcieliby wracać ze stacji Nową Drogą wśród łak. Niezaz wieciecsem słysząc było perzełwie kryki. Jeden z sioł, kryk kobiety, długiż mnie przefundował. A jeśli późnym wieczorem ktoś gwałtownie zapukał do naszych drzwi, wiadomo było: to ost. W uchyleniu zjawiali się zmarniejące kalmuckie twarze o nieprzeknionym umiedku. To żołnierze na warcie. Fwedi! — Dajcie się zagnąć „barajka”.

Siadali przy stole w pierwszym pokoju, wędnie umebłowanym dwoma krzesłami i polowym śłikiem, kurczył obydł machotkę w kawalkach paszty, brał z wdręcniczką ofiarowywany im chleb, popijał garacą herbata, mówił, że są głodni, że im zimno, bo wychowali się na polandzie i już sześć lat są na wojnie. Spogądali przez zarośnięte lodowym kwiatem zryki na skąd lodem i śniegiem slięzi i odchodząli rozgnani, wdzięczni, w pustkę białej nocy, a odgłos ich kroków tonął w beznazwie śniegu.

Jednego z tych gradziowych wieczorów wysłyszeliśmy szczyt zatrzymującego się samochodu i zaraz gwałtownie walnęło do drzwi. Podbiegłam na palcach, bosy i chusteczki, przyłożyłam seho do

drzwi. Wśród gwaru głosów rozpoznalam głos mojej koleżanki wofający mnie po imieniu. Otworzyłam. W sieni stało kilku żołnierzy, Spomniły nich wysunął się Wanda.

— Przywieśli mnie z Warszawy — powiedziała — a teraz nie mają się gdzie podzić. Jest noc. Nie znają Lublina.

— To chodźmy — prosił śpiewnym, przeciągłym głosem jeden z żołnierzy — nocleg dla porucznika-doktora, którego żony tu przywieśli na uniwersytet. Bo my to możemy na sienie, na podłogę albo w samochodzie.

Zaprosiłam ich do mieszkania. Ziąb na dworze był okrutny. Twarze mieli sine od zimna.

— Przyprawdzajcie waszego doktora — powiedziałam. — Zaraz zrobię herbatę. A co to za doktor?

— Kobieta — powiedział sam, który prosił o nocleg.

— Rozjanka — pochyliła się ku mnie moja koleżanka.

„Doktor” nie mógł się jeszcze wydostać z samochodu. Stał się wrzucie przede mną w drzwiach: maleńka, krepka, grubutka, w rozpiętym zsuniętej moście na czole. Pękaty nos, wystające kości policzkowe, niezłomne, grube wargi i ziemialy umiłek dziewczynki. Wzruszyła mnie swoją brzydota i beznadzością.

— Dobry wieczór — wyciągnęłam do niej rękę — proszę, wejście.

Odpowiedziała po rosyjsku. Przeszpała, że robi sam kłopot, że to tylko na jedną noc. Wezła do pokoju. Nie miały umiłek rozwinięty jej brzydota. W szerokiech, niegrabnych spodniach, w ośniezonych długich butach stapała drobniutka, jakby była się całą stopą dotknąć podłogi. Ruszyła na krzesło czepię z orzełkiem, wydostała się z otulających ją kocy, zgrabnie usiadła przy stole. Były w niej kontrasty trudne do zrozumienia. Ostre, kalmuckie kości policzkowe, bladeosiniarskie, maleńkie oczka, duża głowa z przyłożonymi kosmykami utleszonych włosów i delikatne, male, kartalzne rzyce, którymi zgrabnie ajęła nóg i wdelece.

— Jak się nazywasz? — spytałam.

— Nie zrozumiała. Poprosiła po rosyjsku, aby jej przetłumaczyć. Mówiła pigłkim językiem, dźwięcznie i śpiewnie. Na imię miała Sonia. Narawisko polskie. Po pewnym czasie zaczęłyśmy się rozmarzić, chociaż ona mówiła po rosyjsku, a ja po polsku, ale gatykająca, mienika i wluhadnie się, które pozwalała na instancyjne odrzucenie myśli pomagaly nam we wzajemnym rozumieniu.

— Sonia, czy jesteś Polką?

— Nie, kochanie, to tylko mój ojciec, pułkownik, był Polakiem, a matka Rosjanka. A ja czuję się Rosjanką.

— Dlaczego więc jesteś w polskim wojsku? — spytałam.

Odsunęła filizankę z herbatą. Spejrziała na mnie. Jej maleńkie oczy były zmurzone. Cienie naftowej lampki padły na twarz, przesłaniając ją i jakby skrywając.

— Kasań iść. Jak tylko zaczęło się tworzyć Wojsko Polskie w Rosji, wuzyciłam sam, którzy mieliśmy jedno z rodródców polskie, kazali iść do tego wojska. Plakalem, nie chciałam. Bałam się Polaki. Bałam się Polaków. Opowiadał, że nas, Rosjan, męczy, bije,

*Przebieg przetrzymywania do druku kolejki.

mordują. Kiedy mnie w Chełnie zaczęli podcinać do góry sity na powitanie, to myślałam, że zaraz zaczną mordować.

Pochyliła głowę, oparła ją na rękach, kłosała się rytmicznie w przed i w tył.

— Sonia, a może napisałaby się jeszcze herbaty?

— Wzwała i krzyżując ręce na pierścionk skłoniła się głęboko, kilkakrotnie.

— Dziękuję, dziękuję, już nie mogę...

Sięgnęła do swego chlebaka. Wyjęła z niego ciemniaką filitankę pełną smaku. Podziła mi ją. Wyłożyłam tłuszcz do garnuszka i uniosłam w górę filitankę. Światło padało na misterną robotę porcelanową. Była cimiustrzka, delikatny znak wodny — głowa kobiety — widoczna była w tym oświetleniu.

— Przepiękne! Skąd to masz, Sonia?

— To? Ach, to aforyzyczne. Mój pułkownik ma ich jeszcze więcej. Podoba ci się? Waf!

Sonia nie była doktorem. W Rosji skończyła trzy lata „akademii medycznej”. Skończyła jakiś kurs felczerski, ale w wojsku otrzymała funkcję lekarza. A teraz, na rozkaz gen. Roli-Zymierskiego, wszyscy studenci medycyny w wojsku z nie ukończonymi studiami mieli być odkomenderowani do Katedry Medycyny Wojskowej w Lublinie i Sonia przegrywała skończyć medycynę na polskim uniwersytecie.

— Jakże to będzie? — marwił się Sonia. — Nie znam języka, nie mam książek.

Uciszyła się, kiedy przyrzekłam, że jej pomogę. Po kolacji podziła do mojej matki, objęła ją na szyję. Dziękowała. Jej małe oczka były pełne łez. Z tą zahławną twarzą zwróciła się do mnie, objęła za szyję i pocałowała.

Sonia składowaliśmy w pokoju na otomanie. Nie rozbierali się. Opowiadała się tylko kocami i zasnąła. Reszta naszych gości, skwapnia wokół stoła, rozmawiała.

— Kto to jest, ta Sonia? — spytałam Wandy.

— Wzruszyła ramionami. Nie odpowiedziała.

— Wasz — powiedziałam — sie znam Roganek; te, które przejechały do Polski nie wydają mi się sympatyczne, raczej przetrwonzone, zepsute. A ta, chociaż strasznie brzydka, ma tyle wdzięku i taka jest dziewczyna i miła.

— Nie masz jej. Mieszkam niedaleko jej oddziału. Sonia ma bardzo złą opinię.

— Ale to niemożliwe.

Dwaj oficerowie i sześć pułkowi głowami: To prawda.

I tyle tylko mówiliśmy o Sonia, chociaż rozmowa potoczyła się dłużej w noc. Pilnymi niezdolnymi śliczi gorących szklank herbaty podkładające węgla do garścieli „kozny”, a dwaj oficerowie śpiewną, kresową polszczyzną opowiadali o swoich przygodach w Rosji i jak zaciągnęli się do armii Berlinga. W pewnej chwili jeden z nich, wysoki blondyn, wyciągnął z kieszeni marynarki portfel i długi strzał fotograficzny, którą przysłał bliżej lampy.

— Mój brat — powiedział — jest w armii Andersa.

Przejrzeliśmy mu się w kudyłtym, ciepłym sondażu, w wojskach

zawija szczyt macherki w gazetę, wstaje, podchodzi do „kozny” i od żarzących się węgli zapala sztyka. Wstuchnął: „Ochaj my sity w polskiej armii, da jedną ojczyznę się bijemy. Hej Boże, Boże, taka polska dola...”

Przywleczając lampę rozłożyliśmy im na podłozie stary kilim. Owinęli się w płaszcze, podkurczyli nogi. Zasnęli najciszej głębokim, czystym snem.

Sonia poprosiła u nas dżetę. Nie miała się gdzie podziąć. Już następnego dnia rano pozulał z nią do Medycznej Akademii Wojskowej, do której weszła została rozkazem Rol-Zymierskiego. Akademia mieściła się w jednym ze skrzydeł Katołickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Szliśmy ślizgając się na zamrażających chodnikach. Powietrze było sitywne, szklane, osty wiatry wzdierali się poprzez ubrania, ranił, dobił do uszu kości. Wszliśmy do budynku uniwersyteckiego. Na drzwiach papierowy afisz: Katedra Medycyny Wojskowej, dowódca plk Mikulawicz. Drzwi nie zamknięte. Uchyliłam je, schody. Po schodach wjeżdża do korytarza. Pusto. Pochęłam drzwi, prowadzi na prawo. Zimno i ciemno. Okno zabite tekturą. W półmroku widać drewniane przyce jedno-piętrowe zaśnie słoną.

— Hej, jest tam kto? — zawołalam.

— Cicho. Idziemy dalej, Korytarz. Prowadzi do dżetę sak. Nasze kroki odbijają się głęokim echem. Nareszcie! W głębi sak male drzewiaki. Zapalałam.

— Wgic!

Pchaliśmy drzwi. Budynku ogromna fala ciepła.

— Och, jak to ciepło!

Pokoik był maleńki. Pośrodku okrągły pięćcy z rurą. Naokoło kilku młodych męczyzcy w mundurach. Z obu stron pokoju stały dwie piętrowe przyce oamieszczane słoną. Z pół osłoniętego, pół zabitego deskami okna ostro światło dnia padało na zwrocone ku tam twarze. Poznałam dwóch moich kolegów z medycyny. Przyjechali odkomenderowani z wojska również na rozkaz Rol-Zymierskiego. Powiedzieli, że z każdym dniem przyjeżdża coraz więcej chłopców. Wszyscy walczą się po Lublinie, bo nie ma janczer dla nich kwater. Szykują się sale, które wdziałam przychodząc tu. Po skosztowaniu jednak warunki były ciężkie, gdyż nie ma węgla, nie ma szkła do okien, nie ma wody.

Sprawę Sona przedstawiłam porucznikowi, sekretarzowi Katedry Medycyny Wojskowej.

— Ja naprawdę nie wiem, co zrobić. Nie wiem, jak pani pomóc. Jestem absolwentem WSR. Śpię w tym pokoju. I sie wam, co mam zrobić, gdzie słuować ludzi. Przykro mi...

Umiechnęłam się sympatycznie i bezradnie. Wróciłymi do domu. Co mieliśmy zrobić z Sonia? Przecież nie mogliśmy odmówić jej noclega. Zostala. Zaciekawiały mnie jej studia w Rosji. Była zbyt młoda, aby skończyć trzy lata medycyny. Spytowałam ją o przegraniznowanie. Nie orientowała się zupełnie w liczących narwach anatomicznych. Bilższe jej były terminy kliniczne. Wiedziała, co to jest „pneumonia”, co znaczy „phlegmona”. Ale była to rzeczy

elementarne, które za każdy sanitariusz sprzątnię. Odpowiadając mi drapała się namiętnie w tusze, utlenione włosy. Matka moja była osobą bezpożądania, powiedziała:

— Sona, czy ty czasem nie masz wry?

— A może i mam, pani Jeryna, może i mam. Ale to z garia (ze sznurku), no widniecie, ja długo z dalka od matki. Nawet i lista już chyba z rok nie mam.

— Umyjesz głowę, Sona?

— Umyję, kochana, umyję.

Zwróciła się teraz do mnie, słotyła ręką:

— Moja miła, droga, zrobisz mi takie loki, jak ty masz? Chciałabym być taka jak inne dziewczęta. Czy będą kiedyś takie?

Podobała do mojej matki, przymilnie objęła ją ze stryż:

— Powiedzi, pani Jeryna.

Trudności mieszkaniowe w Lublinie, tak jak i w całej Polsce, wrosły jeszcze bardziej po Powstaniu. Każdy z lokatorów obowiązany był oddać części swego mieszkania dla wojska. Rozsyłki oddziały frontowe, które stacjonowały jakiś czas w Lublinie, odeuły dalej na zachód. Pozostała jednak znaczna grupa oficerów. Nie było niemal domu polskiego, gdzie taki oficer rozsyłki nie zajmowałby pokoju. Nie wiadomo było, dlaczego zostali, na co czekał. Nosili okrągłe czapki i czerwonymi lampasem. Czasem spotykaliśmy ich ubranych po cywilnemu, a czasem w polskich mundurach. Instynkt wyćwiczony przez pięć lat okupacji oskarżywał ostrożność.

W domu mojej ciotki, Emilki, zamieszkał jeden z nich — Fieda. Zaglądał do kuchni, wdawał się w długie rozmowy z panią domu. Podczas kolacji, nieproszenie, owiesiał drzwi do jadalni i siadał przy stole. Rozspierał się lokciami, zamylał pomysł. A czasem opowiadał o sobie. Był bonasz, Roża gdzie w Rożni. „Ale co tam żona! Tyle czasu się jej nie widzi. Człowiek zapomina.” Emilka była osobą powściągliwą, ale cierpiała sprężanie. Fusie, jej mój, meruk i ołdak — mikała. Do Fiedy sprowadził się kolega, ale mieszkał krótko. „Pojechał do Moskwy po nowe buty” — tłumaczył Fieda.

Do drągnej mojej ciotki, Grykni, w której też mieszkała moja babka, wprowadził się dwaj tacy: Szara i Pietta. Byli rozmowni, wesołi, przyjaźniacy. Jędes z nich ukocował w Moskwie Instytut Leninowski i chętnie wdawał się w dyskusję. Ciołka Grykni nie mogła powstrzymać języka. Babka Pasilia mazała niechętnie i od czasu do czasu powstrzymywała odęrg: przestępiała Grykni! Pietta miał piękny głos i wypiewywał różne piosenki. Wtedy Pasilia schowała w smutny, głęboki mienienie. Dłuższy tryb chodzący d i ladnie. W dzień pisał dług. Noca czepie nie było ich w domu. Wracali nad ranem. Ciołka Grykni zastawiała, je halają po nocach. Nie sprzeczała. U lokatorów w tej samej kamienicy zakwierował pokój młody porucznik. Chodził w polskim mundurze. Wydawało nam się, że Polak. Pierwsza jednak rozmowa z nim przekonała nas, że się mylimy. Wazyony on, jak stwierdziliśmy, chodził na poszki do jednej motki na ulicy Sólnej. Była to ciolówka NKWD.

Słowniki nasze z Fiedlą słygi gwałtownemu i niebezpiecznemu

du nas szpitaniu od pewnego zdarzenia. Któregoś popołudnia przyszedł do domu bardziej niż zwykle poswary. Otworzył drzwi do pokoju stalego i bez zaproszenia usiadł przy stole. Podczas obiadu milcząco przyglądał się jedzącym.

— Nie — powiedział — może trzeba będzie pojechać do Moskwy.

— Człysty, że buł się tego wyjadła. Wstał i zaczął przeminzać pokój. Mogłar na się teraz dobrze przypatrzyć. Był to wysoki, szczupły mężczyzna po trzydziestu. Nosił bluzę zapiną wysoko pod stryż, białą, wkładaną przez głowę i przepasaną szerokim pasem. Na ramionach miał czerwone, sztywne epolety z gwiazdkami. Uśmiechał się. Był to jednak uśmiech, który przypominał o drwinie, deszczu, jak na skrapa przepaski, w zrobiasz za chwilę można rzucać. I nikt nie pomógł, nie zatrzyma. Wzmrużeniu oczu Fiedli, w jego wąskich ustach czaiło się niebezpieczeństwo. Pośłoni do jedzącej z nami obiad młodej kobiety. Skłonił się:

— Pojdźcie dziś ze mną do kina?

Wymówiła się bezkierem czasu, miała dyżur w szpitalu. Druga, której zaproponował kino, przepasała, że chęta.

— Na, a wy? — zbrzydli się do mnie. — Macie dziś czas? Nie chęta przesiść?

Sprząciłam głowę. Można było zmieścić narzuconą obecność ofiera NKWD, można było z nim porozmawiać, ale pójść do kina? Milczalam przezasto.

— No i jak? — nalegał niecierpliwie.

— Dźwięki, panie Fieda, ale mam dziś ćwiczenia na uniwersytecie.

— No to jutro, jutro nie macie ćwiczeń.

— Jutro... nie mogę...

Stałaś pośrodku pokoju, rozkraczony, ujął się pod bok.

— Ta — sie, ta — nie! ta — nie! Cóż to, żadna nie chce pójść! Cóż to, taka duma? — zwręcił się do mnie.

— Nie duma, tylko...

Tylko — podchwyliła moja matka — u nas taki zwyczaj, że Polki z odosobnieniami do kina nie chodzą.

Fieda odwrócił się, strząsał drzwiami, zamknął się w swoim pokoju.

Przedłużająca się obecność Sona w naszym niewielkim mieszkaniu stawała się męcząca. Nie mogliśmy jej jakoś odmówić noclegu, a kiedy już zapadła decyzja, aby powiedziec „nie!”, rozbrajała nas swoim zręczaniem się na stryż. Zaobserwowałam jednak, że rzucano się na stryż wystrzykano dopiero co poznanym osobom: kotetankem na uniwersytecie, moim ciotkom, kurzykom i znajomym.

— Ja to taka szeroka, rosyjska dusza — mówiła o sobie.

Katedra Medycyny Wojskowej jeszcze się nie zorganizowała, ale istniało założeń Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej rozpoczęł już pierwsze wykłady medyczne. Dziekanem był profesor Ludwik Hirszfeld, a profesorem w dziale histologii dr Dus, który później przestaj mnie na asymetrick. Kariera moja nie trwała długo, gdyż jako studentka IV roku zostalam zmobilizowana z perspektywą wysłania pod Berlin, ale to już historia osobna i z Sonią nie związana. Sonię natomiast zabieralem ze sobą na wykłady. Kiedy wróciła po

pierwszym wykładzie do domu, zaczęliśmy ją wyprywać, co zrozumiał. Usiadła na krześle opłota ramiączkami krótkie nogi w szerokie drewniane spodnie, siemięchnęła się tajemniczo.

— Profesor praw... praw... a ja słuhałam... słuhałam cichuteczko, a myśli moja pocięła, hen, daleko, do mojej matuli, do Roży, do mayo domu, daleko... daleko, aż nie wiadziałam, kiedy skończy!

— Czyż zrozumiała coś, Sonia? — A skądże tam, kochanie, ani słoweczka.

— Sonia — spytałam — mówisz, że masz dopiero dwadzieścia lat, a już skończyła trzy lata akademii medycznej.

— Skończyłam i kurs felcerski.

— I kurs felcerski? To kiedy w takim razie zdała maturę?

— Sonia nie wiedziała, co to jest matura. Wyduśnaczyliśmy.

— Ach to! Już wiem! — zawołała. — Mamaśia wyprawił mnie w domu, a potem zdalałam egzamin przed specjalną komisją. Po tym egzaminie zostałam skierowana na specjalny kurs felcerski. Kiedy skończyłam kurs, zostałam kierowniczką ochronki dla dzieci po bohaterach leningradzkiej.

— A dlaczego cię zabrali z tej ochronki i to jeszcze do polskiego więzka?

— Ach! Powiem wam. Jesteście dobrzy ludzie. Była to ochronka dla sierot po bohaterach Leningradu. Dzieci miały tam dobrą dotychczas nawet amerykańską czekoladę. Byłan kierowniczką, ale pęcher mnie pracowały tam jeszcze i inne dziewczynki, które już beznopiednie zajmowały się dziećmi. Między nimi była jedna... starsza ode mnie i zarzucałam, że kiedy malutkie dzieci nie mogły zjeść od razu całej porcji czekolady, ona zabierała im i chwalała dla siebie. Wzrwałam ją więc za rozmowę. Powiedziałam, że to są sieroty po bohaterach, że tak robić nie wolno i, że jak jeszcze raz się powtórzy, doniosę władcom... Odszła. Nic się nie odzwala, ale wiedziałam, że mnie nienawidzi. Było to w tym okresie, kiedy Hitler dochodził aż pod Moskwę. Cały personel naszej ochronki poszedł do kina na film o Hitlerze. Pozem była dyskusja. Wstałam i powiedziałam, że jednak ten Hitler nie musi być taki głupi, kiedy aż pod Moskwę dojeżdża i że nam daleko do zachodniej kultury.

Sonia westchnęła, spojrzała na nas. Jej brzydka twarzyczka była spokojnie, prawdziwie poważna bez przymlotyliwych uśmiezków, jakby bardziej dojrzała. Inna.

— Na drugi dzień przyszli do mnie żołnierze i zaprowadzili na przesłuchanie. Wiedzieliśmy, kto dosiódł. Przesłuchali był kierowniczką ochronki. Od tego dnia czułam zawrże na sobie cięższe spojrzenie. To ktoś siedzi za mną na ulicy, to wydawało mi się, ktoś zagląda w moje okno. A później kazali mi do polskiego więzka.

Od tego dnia poczuliśmy większą sympatię do Sonia. Biedne dziecko, zaplątane w potworną sieć wroty.

W okresie świąt Bożego Narodzenia zebraliśmy się wszyscy w mieszkaniu mojej babki przy wspólnym stole wigilijnym. Nagle zrobiło mi się żal Sonia. Nie mogła przecież zostać sama. Pobiegłam, abym przyprowadzić. Była tak serdeczna, że przypadała wszystkim do

serca. Nawet moja babka, nieufna, podejrzliwa i surowa, miękła, gdy Sonia ze łzami w oczach całowała ją w rękę. Po wigilii, już późnym wieczorem, gwałił się dwaj sublokatorzy Sasza i Pietek. Na wysokości choince migaly płomyki świeczek.

— To was „pradzek” — mówili i składali nam życzenia. Starempskim zwyczajem gościnności zaprosziliśmy ich do stołu; Tymczasem ciotka Enilka, u której mieszkał Fiedia, radziła się po cichu, czy i tego na chwilę nie zaprosić. „Jest taki stary u kina. Nie odzwala się wcale, aż się boję. Tu jest ta mała Sonia i oni dwaj, to może sobie porozumiewa, może się odzwabrać”.

Zastanawialiśmy się: abey głuch i do tego NKWD. Co rebić? Ale to noc wigilijna. Uradziliśmy: niech przejdzie. Tymczasem Grylka i moja matka dopytowały się Saszy i Pietki o najnowsze wiadomości polityczne. Słuchanie radia było wzbronione. Ale zapytani zbywali je: „Nie wimy nic nowego niż to, że mości sałszanie w dzienka”.

Przyrodzi Fiedia. Pustary, milczący. Przywiał z kolegami i natychmiast przywiał się do nich Sonia. Była otwyszona, wesola, szczerbiasta. Fiedia nawet zaczął się siemięchnić. Zderzył się jednak bardzo przykrzy wypadek. Zdenerwowana ciotka Enilka, chcąc pomóc przy stole, natęła gościom przez półmętkę ocno zamiast wódki do kieliszków. Wszyscy się zasmiałli, ale Fiedia powwał się wielcey, rzucił kieliszek o ziemię.

— Chcieli mieć otrąd — krzyknął — wiedziałem, że Polacy to sweloczi!

Sonia przykroczyła do niego.

— Ależ, Fiedia, octem trucie nie można. Posłuchaj mnie, przecież ja jestem doktorem.

Sprawa więc została załodżona dzięki Seni. I od tej chwili już Fiedia i Sonia zabawiali się razem, nie zwracając uwagi na innych. Nie wiadomo, kiedy wymknęli się z pokoju i poszli razem na spacer. Tej nocy Sonia nie wróciła do nas. Nie pojawiła się i w ciągu dni następnych. Zniknęła. Nie wiadziałam, co się stało z Sonia.

Uliżyaliśmy o niej od mojej babki. Babka Paszina okutana w chustę stała na podwórzu i opierając się na lasce patrzyła na ciągające aż wchođu głęzie, niezgłose chmary.

— Snuksaz swojej Rożanki! — spytała. — Powiem ci. Nie tutaj. Chodź do domu.

Szła z nią pastą klatką schodową. Było tu zimniej niż na dworze, wiatr wiałerał się przez szczeliny zabitego dyktu okna. Na pierwszą kondygnacji schodów przystąpiła. Odwróciła ku mnie taczerwioną od mrozu twarz, spojówki jej oczu były zalazwione, spod chustki siew kosmyki włosów opadały na czoło. Twarz jej, zmierzchna przedwczelnie, była porażona zamarszczona; smę, sucha, żyłaiste, spracowane sztonie oparta na lasce.

— Tfu! — splętnęła. — Tfu! — Uderzyła łaską w betonową podłogę. — Ta twój Sonia taka sama jak oni wszyscy! Jedno zapiecie i brud. Mówisz, nie przychodził Martiniak się o nią. A wiesz, gdzie ona nonogiel U niego. U tego drania, U Fiedia. Sama wiedziałem. To z nim się ładujący. Z emkawadzieta, co na pacyfikacji na wies

jeździ, co na Szopena w podnieciach ludzi dręczy. *Modęje, Boże,*
— jęknęła — po co mi było doczekać takich chwil.

A kiedy odwróciłam się już, aby zbiec ze schodów, zawołała:

— Chodź, jeszcze coś ci powiem.

Podszedłam. Wtedy pochyliła się i szeptem, który do mego ucha tylko mógł dotrzeć, sachym jak trzask jesiennych liści pod stopą, przekazała:

— Ja wiem więcej niż wy wszyscy i tylko to jedno ci powiem: Uwaga! Strzeż się. Zawsze się gorącz mi myślała. Zawsze okrutniej niż sobie wyobrażała. Strzeż się, Uwaga!

Sonia nigdy już więcej do nas nie przysła. Nie wróciła też na studia do Medycznej Akademii Wojskowej.

Kilkośno dnia, było to pewnie wczesną wiosną, na krótko przez naszym wyjazdem z Lublina do Warszawy, ujawiła się u nas Wanda. Ta sama, która przyjechała nam Sonię.

— Mam coś dla ciebie — powiedziała. — Taskam się z tym od dawna i boję się, żeby nie zbić. Owiśnieją w szmatę i stare ganety wyślągnęła z tobołka filizantki. Była pełna przeproszonej rąbani.

— Masz — powiedziała. — Od Soni. Zawracała mi tym głowę, żeby koniecznie ci to zawiadź. Pamiętaj się!

— Jak najbardziej. A co się z nią stało?

— Wyobraź sobie, że była przez się straszna awantura.

Palkownik, stąpiłszy widocznie, przysłał po nią samochód do Lublina. Tymczasem przejechała żona tego palkownika. Ale podobno już gdzieś odjechała, bo tę filizantkę przyniosła mi chyba z miesiąc temu i przosła, żebyś ciebie potęgnał.

Wyłożyłam znaleźć do garniturka i dżego mylam i wycierałam filizantki, aż stała się linaćca, biała, przepiękna, rozchylająca się jak kocha kwiaty. Jej fineryjne kroczość, wywieszoność liść wydawały się w moim otoczeniu nierzeczywiste. Nie pasowały do trywialności mieszkanka: jelańskiej „kory”, nigdy nie domyśle podłogi, kabła w szafie, połowego łotka, dotarowego materaca, obciążonych naczyń, do całej tej wojennej smutnej biady i tymczasowości. Uśmiełam ją. Spojrzałam pod światło. I wtedy pojawił się znak, dwóch artysty i jego woja głowa gęży. Lekko zakrzywiony nosok, drobne usta, zmrużone szparki oczu, w których żyło spojrzenie, wysoko upięta, misterna fryzura. Najpiękniejszy jednak był gest przechyłania głowy na długi, wdzięczny sygn. Gest uchwycono tak jak skrzydło ptaka w locie, jak tancecnie pół kroka baletnicy, jak zamryzama w powietrzu para lekkiego oddechu. Artystym ruchu zakłęły w wodnym znaku porcelanowej filizantki.

Nie wiem, co się z nią stało. Może naga była się w trakcie naszych licznych przepowiadzek? A może została, jak wiele ukochanych przedmiotów, które miewaliśmy porządek, kiedy twarzo i nieśląganie zapadła decyzja: na Zachód!

Krak Ław, grudzień 1993

Dunata Motwicz

MAŁGORZATA OLEWIŃSKA

Kosmologia, czyli o poezji Dominika Opolskiego

Lektura wierszy Dominika Opolskiego wywołuje wiele niepokojów. Niepolizalacze motywy i symbole tej poezji, zagęszczenia jej sensów — wprowadzają w labirynt znaczeń, których rozszyfrowanie jest absorbujące, ale też nie do końca możliwe. Tej poezji się nie rozumie, mimo to ulega się jej sugestiom. Nie da się jej „postrzegać umyślnie”, nie wywołuje też natychmiastowych wielkich napięć emocjonalnych (te, jeśli przychodzą to po zakończeniu lektury). Jest może raczej poezją autonomicznych poruszeń i „szybkich oddech”, których rytym wyznacza tempo przesuwania się wzroku po kolejnych wersach. Nie ma w wierszach Opolskiego obrazowania, do jakiego zostaliśmy przyzwyczajeni i chociaż „niektó jest subiektywnym odzwierciedleniem świata obiektywnego”, teksty poetyckie nierazyczywie. To obrazowanie przekształca, deformuje rzeczywistość. Słowa, będące konkretyzującą wioją świata w tych wierszach, są „dobre znane” — nad ich znaczeniem na pierwszy rzut oka czytelnik nie musi się zastanawiać. Codziennie dotychczas podpowiadają, co znaczy krew, rana, pamięć, czas. Jednak podczas kontaktu z tekstem jesteśmy bezradni nawet wobec tego, co wydawało się oczywiste — ich połączenia sprawiają, że stają się jakby już niekonkretnie, abstrakcyjne, metaforyczne. Nie pełnią ról, do jakich nas przyzwyczaili ich semantyki. „Rana” w wierszu Opolskiego będzie „raną pamięci jatrzonej lancetem”, „krew” miejscem „wiadomości, która ze mnie wyjecha”, a „szybki czas” staną się „szybkimi krwi”. Znajdujemy się w świecie, który istnieje wyłącznie w języku — so on pozwala na oderwanie się od porządku realnego. Świat wierszy jest więc niewyobrażalny, nieupiędny, zaś osobliwe kombinacje pojęć i przedmiotów wyjętych z odległych kontekstów nie dają się zawrzeć w statycznych obrazach. Jest to może świat podzielony na cząstkę jak klatki taśmy filmowej, przesuwające się w trudnym do uchwycenia tempie. Istnieje przez to, że „daje się odczuć”, bo jego wierność, jako się rzekło, jest wątpliwa. Wzrok nie jest więc warunkiem koniecznym do jego penetracji (*Oko nie widzącego nie ma ze światem zewnętrznym, jest zwykłym słownictwem, widłem tego, co biermy na świat — oddziela nas od świata*). Zatem nie przedstawianie obrazów dających się rekonstruować w wyobraźni jest celem autora. „Poezji zawrze przecież było wolno przesuwać elementy świata

realnego, zmieniać jego porządek, skracać znaczące, demonizować rozszerzając, czynić go mediam wewnętrzności, symbolem wzachogarniającej wytnacji życiowej”.

Najogólniej rzecz ujmując, przedmiotem poezji Opolskiego jest właśnie analiza egzystencji ludzkiej. Autor nie dokonuje jej jednak „z odległości”. Poddaje oglądowi to, co jest dla niego wielką wartością — życie. Podmiot mówiący z totem *Przechwalenia bogactw* wnikliwie analizuje własny oddech, rolę powietrza, białe serce. Ow kult życia widoczny jest przede wszystkim w rezygnacji ze śmierci, bo: *Tylko śmierć doprowadza nas do trzeźwości. Wtedy najgłębszy wstępn, jak bardzo ważny jest sposób oddychania (chciałabym czasem zdjąć się być wstrząśnięta świadomością oddechu)*. Osoba mówiąca w wierszach Opolskiego to jednostka będąca świadomym siebie bytem, wznająca swe istnienie bez względu na to, *że Niw wystarczy istnieć, aby mieć pewność sposobu istnienia, która mogłaby za filozofem-egzystencjalistą wbrew wszystkim powoływać „ja jestem”*.

W *Uwielbieniu zakazanych* z totem *Przechwalenia bogactw* podmiot bryczy młotem:

... *Nasłuchuję siebie,
Smakuję tę przestrzeń: wyrzucam się
w swoją rękę, w przeciwny świat oddechów
(wciążących we mnie jak wrzeczona przędzina)
w międzywzruszalne gaty, w pył
(w łopiel) między drogami, w międzywzruszalne pola...*

Nieco dalej wznaję:

*Caraz mniej jest miłe chłodzić
w marzniętym świecie, w przeciwny świat oddechów
z każdej wstrząśnionej płomicy wprowadzonych
do wyjścia z obławy — Chciałabym istnieć
tętu dla siebie stanowić
tam — i szepać się za trawicę...*

Bogactw *Przechwalenia* dotkliwie czuje swoją obecność w świecie i swoją odległość. Wracający jest w nie przez siebie stworzony porządek rzeczy, ale i ściśle i wim nieszpolony. Ma świadomość własnej jaźni, ale i świadomość świata „przez mnie”. Jest „wyczerpany na każdy gest ziemi”, a kładzie ciężki jego ciała, każdy myśł wchodzi w relację z otaczającą go rzeczywistością. Znajomość anatomii porwała mu nawet na wyodrębnienie fizycznego uczestnictwa pouczających się części jego ciała w relacjach ze światem. 1. *Drugi powierza wchodząc w płaszc. 2. Dłwa kruszona przez oddech oświetała nas. 3. Ustny wychwytywać ruch w pęczakalnicach*. Relacje te wydają się dziwnie „bolesne”. Jednak, jakby zgodnie z maksymą pet aspera ad astra — bogactw świadomość godzi się na nie (i związana z nimi bolesność), gdyż są one dla niego jedyną możliwą prawdziwego poznania („Jesteli człowiek istnieje — to w świecie” — Heidegger).

W swoich poezjach Opolski usiłki doprecyzowania krajezi podmiotów mówiących, czyniąc z nich utajonych świadków procesów lub zamaskowanych uczestników zdarzeń. Zawsze jednak jest to ktoś cierpiący od „podwójnego ciśnienia świadomości”... „wzbożenie niedostępnym człowieczeństwem, głodem swojej natury”. Mimo że człowiek ukryty w tych wierszach jest tworem zagadkowym, to funkcjonuje w dokładnie określonej przestrzeni, której organizacją, mimo że często traci ona spójność i normalne kierunki uporządkowania, poeta poświęca bardzo dużo miejsca.

Przestrzenie w wierszach Dominika Opolskiego „wtopiły się w siebie”, stanowiąc jakby jedną i wachogarniającą całość („wzdech-obecność powierzchni”), zawierając w sobie miejsca związane z „biografią” podmiotu lirycznego. Wzdech, kłosa go otacza jest „nuczonowana”, bowiem „Nikt nie chce świadczyć o nieważności którejśkolewkiej ze stron świata”. Przestrzeń to też „odcinek naszej drogi, próżni, której możemy wypełnić naszymi myślami”, ale i „przepełnić między polityką a rdzeniem kręgowym”. Jest ważna ze względu na wpływ, jaki może wywarć na psychikę ludzi, którzy w niej się poruszają (*strony świata wchodzą, prowadząc wytrzymałość na wypracowanie z kłosa i polowa*). Podmiot liryczny mimo poczucia „wrzucenia w świat nie jest w jego przestrzeniach zamieszany”. Może „wyjść z resztek krajebrazu”, wysunąć stamtąd „pamięć odniedzioczoną po zniszczonych grobach”, jego „ziemia czeka spod nóg, nie zostawia śladów”. Nawasa się wśoić, że sama przestrzeń jest rachiwa, zmienna, potrafi „uśnieć”, można z niej wyjść („Wychodzę z krwi”), lub nawet „coi” z niej wyjąć (np. „pamięć”). Jest realna jak dom, „nad którym unosi się punkt ptak”, ale też upożytkowana jak obszar „morza szumiącego krw, która jest przełowana”.

Nawet zamknięte formy przestrzenie w świecie tych wierszy można próbować przekraczać:

*Tak i przed sobą: masz się otwierać
z pomocą psznocia — Te serwone struga
nie może sławici zagładzenia w serce.*

(*Milijona napływawem*)

Takim punktem przekraczania granic między tym, co wewnętrzne i zewnętrzne, a jednocześnie łączącym mogą być drzwi, próg, ale też np. oko:

*Wyważyłem oko
wzrzedłem w krajebrazu wypłowiałym z widoków. Teraz
akradam się ku sobie
krew nie pozwala przelknąć ilny w gardle.*

(*Kali gołwocni*)

Przestrzeń jest dla poety „uwolniona z wyobradalanych granic”, ale i czas tej poezji jest kategorią trudną do rozszerzania. Pewnie jest jedynie to, że „Nikt nie może wejść w składy z czasem”, a wiersze

wyrażnie pokazują znamiona jego upływu (*Obrywamy rwanie szepodobaś do tych, które nas już analizowały za własne*). Z czasem nieodwołalnie wstąpiła jest tu pamięć, w której poeta może się „zaintroszyć”; stąd czopty motywu wspomnień, „sokół dzięków”. Wyznawcą upływu czasu stanowi też „pamięć odziedziczona po zmierzonych grobach” i „Jednoznacznie przyspięzono”, i jakby trochę przewrotny „wsteczny rach wstawał”. Czas i przestrzeń są więc „głyszane”, nie określone precyzyjnie, jednak związek bytu z tymi kategoriami jest oczywisty. Podmiot liryczny mówi: *Dopóki jestem: Tęż czas miał być palaszcy oddolnym mierzycym powroty i odjecha od miejsca, które nas wyplębia*. Istnienie to istnienie w czasie, „rzeka Czasu”, której joposny napłynowizni, tłumaczy wszystko, co skryte „w głębi siebie przed sobą”. Dokonała się więc apoteoza czasuoprzeżeniem, a zagłębienie się w niej jest za podmiotu mówiącego warunkiem poznania. Choć on dotknął zagadnień uniwersalnych, ale stara się też poznać „małe prawdy”, z których składa się nasze życie, prowadzi „śledztwo, które powinno ustalić dokładną datę szczytowania psa”, interesuje go termin ważności „karty gwarancyjnej” telewizora czy aparatu fotograficznego. Zainteresowanie przedmiotami jednostkowymi i konkretnymi (& prozaicznymi cyranoidami) występuje obok politycznej powagi przemysłu na temat bóla, choroby i śmierci (*Nadał nie możemy dowiedzieć, się, czy śmierć jest powrotem czy odjeściem*).

Poetja Opolskiego zawieszona jest między najbardziej elementarnymi zjawiskami i najczystsza abstrakcją. Jej podmiotowi mówięmu nie udaje się znaleźć odpowiedzi na pytania, które stawia („Czy jeszcze istnieje świat, w którym żyjemy?” — *Porzekała li, Czyżby ci umierał, co będzie zachwałstwem?* — *Kłwa kwerkieli serowa*). Nawet samookreślenie jej samej wobec świata jest bardzo trudne. *Nikt nie potrafił powiedzieć, że jest (ale nawet o tym nie maś wiedzieć, bo i tak nie potrafił rozpoznać — jak, gdzie i po co — nie jeszcze jest)*. — *Umraca zabawiana i, jednak ciągle stawienie pytań daje ma pewność, że mimo wszystko istnieje*. Myślenie jest więc swobodą obłąka człowieka z wierszy Domiszka Opolskiego. Ten człowiek myślić żyje, sam jest siersiąjącym, spręcymy, natrętnym myślicielem. Dzięki tej kontrostrakcji cała poetja zrykuje wymiar „poziój myślacój”, a istota procesu jej kreacji staje się bardzo odległa od tego, co w potoczny rozumieniu zwykłym nazywamy „nadsztaniem”.

Buchtem piase, że amera wykrywamy w każdym słowicie artystępręym, tak jak w obrzecie malarstwa zawsze wystrawaj jest malarz i choć nigdy nie wśledy go tak, jak wśledy się przedstawione przez niego postaci, to wystrawaj go wśledy jako pierwiastek czysto przedstawiaczój. W aktach twórczych poetja próżno szukać opętania, entuzjazmu, podniecenia intelektualnego aktywności czy odwołania artysty. Furor poeticki leży jakby na przeciwnym bieguście ich wywadołaj, przamyślająć twórczości.

Swójje myśli Domiszek Opolski konkretyzuje w długich poematach, w poetkijach prozie, ale też, jakby na zasadzie kontrastu, potrafi zamknąć je w małych formach literackich. Aforyzmy ze zbioru *Kto pyta, śledzi z śmierci* — *zwiąże, samowystarczalnie, zwykłejjednostajno-*

we — stają się podstawą gry intelektualnej; kurtalczając zabawę. Czytelnik może „śledzić z innymi” po tym aforyzmyzycznym świecie, to zadając pytania, jakby w zrupieżeniu do myśli autora, to odczynając jego przewrotne odpowiedzi na własne, międzygłośnie się stawiane pytania. Bez względu na to, jaką drogę zwiedzania świata aforyzmyzmu przyjmie i tak zaślędzi, bo poeta zakłada, że śledzą wyzej. Owo błędzenie w wielomiarnościach, metaforyznościach, aporyzycyzościach aforyzmyzmu nie może doprowadzić do całkowitej ich dezintegracji — jest jednak zajmujące, bo same próby doświadczenia „prawd” mogą stanowić przeżywanie (Mautner mówi, że aforyzmy pobudzają naszą fantazję i uwagę). Zbiór aforyzmyzmu *Kto pyta, śledzi z śmierci*, w przeciwnieście do toników, w których kompozycja jest ważna i przamyślna, nie stanowi uporządkowanej całości. Różne formy aforyzmyzmu występują w nim przemianami. Refleksje (*Nieśwoboda światie powlezione zaparte dech*) obok rozważań (*Czasz więcej narodów otrzymaje wosoból*). Długoo na głosz przypada jej coraz mniej), pytania (*Czy śledzi bardziej śledz z człowiekiem?*) obok stwierdzeń (*Paute śledzi są dziejei pojewno*, poczucie (*Nie trzymaj rąk na pulsie*, *Śledzi się kłopotodrykiem*) czy ostrzeżeń (*Z proku powosole, Uwaga!*). Nie są też sporządzone pod względem tematycznym, co ze względu na wielość skojarzeń, jakie budzą, byłoby zresztą niewykonalne. Aforyzmy Domiszka Opolskiego mówią o próbach uczestniczenia człowieka w otaczającym go świecie, o systemie jego wartości, wrażliwości, próbach poznania, wzajemnych relacjach między ludźmi — mówią o życiu. Mija wymiar uniwersalny — w sferze intelektualnej widzą się jakby poza czasem i przestrzenią. I tylko z rzadka lekko wdzają na czas, w którym powstały — kresło elektryczne, transfazja, rezerwat (Trzynadłowski uważa, że aforyzmy to „stałe powracająca i odradzająca się teraźniejszość”). W aforyzmach rzadziej pojawiają się słowa odnoszące się do największej częstotliwości w obrębie tekstów poetkicznych. Te słubione słowa o szczególnej wartości znaczeniowej zostały tutaj zastąpione powracającymi myślaciami, dotyczącymi na przykład przemiana i śmierci.

W czas przeznaczony na życie wliczono również godzinę śmierci. Nie nastawiaj budzika na godzinę śmierci.

Zęgnając się z życiem nie zapominaj o ubóstwie.

Zawrzymaj kamień, który spadł ci z serca, przyde się na nagrobek.

Rodnice powieści zapewnić dziełom przede wszystkim godzinę śmierci.

Zagłębując w oczy śmierci, zobaczycim jedynie własną cwarz.

Jedynie grób ma w dobrym towarzystwie.

Zrozumiał, że żyje dopiero w godzinę śmierci.

Uważaj, aby na twych smonach płoszonej nie zaprano ci marza iobowego.

Należałoby w końcu oprócznąć mapę światie potargobrowego.

Domiszek Opolski nie opowiada historii wietnicznych dopiero błyskotliwa puznia, w których najwzajemniejsz jest „ostatnie ogniwo długiego łańcucha myśli” (Marie von Ebner-Eschenbach), jego aforyzmy to synteza zachodzących wcześniej nie zwerbalizowanych

procedur myślowych, ich lakoniczne podsumowanie. F. Maustner, analizując aforyzmy wakarje na dwa sposoby ich powstawania: przez „wywieńlenie” i przez „pomysł” — maksymy Opolskiego bliższe są owym „pomysłom”, bo ich myśli — jak powiedziałby J.łowbert — „jest naga i wylucha jak ikra”.

W zbiorze *Kto żyje, śladzi z łowcy* spotykamy krótkie, wskazujące swoją wymowę, sprzeczne z powszechnie panującymi przekonaniem, „pseudodelfickie” (np. *Azyl to też niewola; Niedobre te czasy, kiedy my z bardziej snab niż rzeczywistoli*); ostro zarysowane antytypy (Gusacze przeganiają mają ziemianie serca); powstają się „matematyczne porcje” (*Jm niższy świat, tym zwadziej ma zmieścić światok*).

Jak na aforysty przystało, swoje „złote myśli” Opolski opiera na wyznaczkich środków stylu stetycznego: antytenie, paralelizmie, paradoksie — często całe aforyzmy mają strukturę figury lub tropu (*Mówi prawdę nawet wówczas, gdy jej nie zna. Utrata przysomności czgato przysnoł tyk*). Bawi się słowem, wykorzystując podobieństwo dźwięków, które nie pozostają względem siebie w bliskości znaczeniowej (paranomazja): *Z gwóźdźki rzadko ma okoloków wspólnego zgodności. Do myśli — co ma myśliwy?; Rozstrzyż, nazwij, wystrzyż... — tyś też strzyż. Reklamka to też reklama...*

Kiedy indziej manipuluje całym związkami frazeologicznymi rozbijając je i łącząc po swojemu w nowe konstrukcje (*Oko ze oka, prosta za prostą albo Stanaż na wykołoci*), rodzenia, *apowien stanaż na wędzi*). Tworząc „nowe” aforyzmy ingeruje w „stare” przysłowia (*Modry w stół, a wyploszaj psa agrzeczność kości. Niedobrze, gdy głębiej może mieć chleb tyko se myśli*).

W aforyzmach poety wartości estetyczne słów łączą się z sugetywnością ich oddziaływania, dysypłsja i zwięzłość językowa z językowym dowcipem, delikatny dydaktyzm z żartem — dlatego może czytamy je tak chętnie, zapamiętując spośród nich najważniejsze.

Zycie trzeba sprawioli amatorskie.

Zawzię budzi mnie inwidowoli narzypienia.

Czym zaspekoli głęd tyco?

Czasto snab tyko odbrwa nam apetyd.

Życie polega czgato na dozwadzaniu do potów, żadny stwarzamy.

Chęć twórczości Dominika Opolskiego można by nazwać „mimimantelnym poetaztem”. Podział na toniki i pocięzłone wiersze to w jego przypadku — jak rzarwała Tadeusz Komendant — sprawa konwencji. Mimo to — poezja Opolskiego toruje sobie drogę do czytelnika z tradycją wprost proporcjonalnym do jej wartości, to powstają to wypowiedzi ładnie zgramyżające się literaturą. Jedynolito sposobu odczytania filozoficznych poematów tego poety nie zapropozowano i z względu na ich „pojemność myślową” jest to chyba niemożliwe. Dekonstrowanie pewnej formy analiz, choć nieważne chyba interpretacji.

Stanisław J. Królki, poddając oglądowi symbolikę tej poezji, wykazał jej podobieństwo z twórczością francuskich nadrealistów, a analizując wiersze z tomu *Przechwalenie*, podkreślił znaczenie znajomości Biblii dla ich zrozumienia (*Parz*).

Tadeusz Komendant poddał analizie wybór cytowań dobiejących przez Opolskiego jako motta do swoich tomików, by stwierdził: *Jesteli przyjęj, że przez motto określił Opolski postawęli swojej poezji, możemy zaryzykować stwierdzenie, że miejscem jej jest prawda jako wydobyczenie (się) z rzeczywistości tego, co istnieje. A natura prawdy jest rozdarca, rano, której wiersze się pasok słów. Biorąc za punkt wyjścia trzy motta do poematu *Spektrum*si pokłosie, przeprowadził jego analizę, zwracając uwagę na „figury wymiarzy” funkcjonujące w tej poezji.*

Na rolę rytuału wymiarzy w poezji Opolskiego zwrócił też uwagę Sergiusz Sterna-Wachowiak pisząc: *To sąpęcieli — pomiędzy „Jasiodemolęli zbrowa” a występującym na poziomie indywidualnych myśli (zachowam przajawem pewnych czasowych uszczęli odwołali praw, które rzadko niezawiedomolęli dźwiolowolęli uwolęli — pojawia się teraz w wierszach Dominika Opolskiego. I jest to władze pojawiał się jeszcze przede wszystkim w poezji, w jednej z ostatnich dziedzin ducha ludzkiego, które pamięta, że rytuał wymiarowy (akt komunikacji) tworzy „strukturę złożoną z wartości irracjonalnych i bezieinteresownych”. Motywy poezji Opolskiego, jej kategorie przestrzenne, określenie jednostki wobec świata, problem artykulowania prawd uniwersalnych, dotyczących historii cywilizacji, postępującego stale rozpadu otaczającego świata, wiedzy, psychiki współczesnego człowieka, tradycji kulturowych omawiali Bogusław Wróblewski.*

Tak więc świat wierszy Dominika Opolskiego to wiaga, która ogarnąć możemy albo w małym formacie, albo na wrażliwo ogólnym — może fascynować, choć się to być objawni ani zrozumieć.

Małgorzata Olszewska

Wybrane opracowania o twórczości poetki Dżminka Opolskiego:

1. Tadeusz Komendant: *Ranu [w:] W świątyni wiersza. Interpretacje poezji napisanej* MAW, Warszawa 1984.
2. Tadeusz Komendant: *Zastępi katechizy. Życie z paganiczami czasu*. Oficyna Literacka, Kraków 1987.
3. Stanisław J. Królki: *Wzbyłwaol — podobno — czoszenie „Akcent” 1982, nr 1/7.*
4. Sergiusz Sterna-Wachowiak: *Z łowcy z my tróczności „Akcent” 1983, 1/11, powiok [w:] *Głowa Orłowska*. Warszawa 1984.*
5. Bogusław Wróblewski: *Estymologia [w:] *Wybrudźczosie i komplexy*. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1985.*

Wierzyli i gorępli w powód
 Wierzyli w powód w powód
 Wierzyli w powód w powód
 Wierzyli w powód w powód
 Wierzyli w powód w powód
 Wierzyli w powód w powód

Wierzyli i gorępli w powód
 Wierzyli w powód w powód
 Wierzyli w powód w powód
 Wierzyli w powód w powód
 Wierzyli w powód w powód
 Wierzyli w powód w powód

JACEK GUZ

Zmyslenie

Im więcej widzę
im bardziej wyczuwam
twój podostajony ciepło
Tym bardziej myślim
ciebie siebie wszystkim
W końcu dostrzegam
że rzeczywistość
myśla podwójnie

lipiec 82

Kotowanie nad kukuczym gniazdem

pośród oczu czasych na doty bark
lębędzia sryja dymiącym kołnierzem
gotyk pracy wisioroli podziwu
sen błędy od powłoki żwiru

któż słuchem nadchodzi
szepet wymiagne modlitwę
ostrzeżność pachu o próg zawadza
obawia się kroków

wystrzał niepamięci z kłopotliwych ręk
głowa z szyi sępa wyrasta jak lęk
lot bez piór
kotowanie nad kukuczym gniazdem

17.11.1981

Cel

tempo eckajki przebudzeń i przywidzeń
eknaza z narostem kilkulennim
kryto bardziej spierachnięte się przed rokiem
przezde odbicia roli
nie mogą przejść na przyzwoit

34

na i dźwięcie wiatr napomyka
żwiające szepary gdy dzień piogryzmyje po szybie
przywracając wzrokowi wiarę
ciemnowi odległą wędrowkę

a ja — cóż — rozpostarty jak taraca
czas urafia godzinami
same dziesiątki

sierpień 82

Zwierzyńcie

dzień następnym i następujący po nim
jak smół trafiony węgorem
otrząpają się ze wspomnień drzewa
najlepiej kasztany
a gętkie linie
wrażeniemy urazów
kosem po płocie ładą
któż na porządek mrowiska
codzienności nadpełnił
kogut grubieniem oczyszczra
wewojoną stroną pejzazu
my jak dzień po dniu
odwizamy się głodem i przagnieniem
i białe i czarne i białe i czarne
i w oczach czerwone
są barwy kamelona
w czasie odciążnie

maj 85

Zjawiska

ile oko ile ucho ile język
ile wzrok stach ile smak może zmieść
ile w tym wszystkim razem
w między w poprzec w posad
ile razy ostatni wierz ostatni kres
ostatnia moseta
uderzająca w twardy chleb

ile razy błogosławiona ciżza
ile razy kryto aż wytrzymam trumny
ile razy woda w nabrzeżach serwa
ile ucałał wierzniących się pies

35

Ile w tym wszystkim
w między w poprzek w ponad
a ile schodzi bożnią żyłą
tego co zbyt szybko krew życia traci
zanim odkryliśmy
że zaprawdę istniało

marzec 90 r.

Smak róży

W żył w której się wychował
gocą krew przechręconym wyryskiem
napędziona czerwień róży
Zaczynał więc od kwiatu
nakłą zakłopotania pięknam

Teraz kiedy żyła
wypruła się z hojności
brzyga skrapianą płatków
po kromkach sera

Najłym uściskiem odliczaz kołoz
ich kłopotliwą dostojność

lipiec 92

Podmiejskie katharsis

Zaglądałem do miejsc
w których czas gory smutek
kładł wstęg zmarzaczek
Na brednych ścianach obrazy Najświętsze
kiedy tu zawiesz
Czysta jest wiara splemiona życiem
Dłonie podobne łupinom orzech
podwały wódkę i chleb

— siadał tu wilgot przedmiecia
powolnym grybom rosnącym wolności
wiara to krzyż ścisły w dłoń szlachy przę
najgroźniejsza jest śmierć
zgrzą z bykiem noda swe myśli

Zaglądałem do miejsc
w których Bóg poczetawił szumienie
cigłkie i lepkie
jak pot po przepięciu

marzec 90

złocistego starego słońca i
niegdyś kładł się ciepło szlachy
złoty wodzianek opasany
pawłowię głębią szlachy

marzec 92, wczoraj — kto — a
lembinog szlachy
złocistych szlach

12 lipiec

nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost

nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost

nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost

nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost

nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost

nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost

nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost

nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost

nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost

nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost

nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost
nie są wprost i wprost

Kandelabry, na których dogasa

nie boli, gdy nie boli
wrazem przywołaniem

Karta legendy nie nasiąka już krwią naszą
Nie brałiny sidieli w wojnie,
my,
karabiny z barykadami ciał.
Na kształt korony cierniowej,
wciąż na granicy czerwim bezkrwawo walki umyślny.
Wino skrośie przemierza.
Kropki spadające w ciemność.

Wypiera się nas historia.
Nas to znaczy grany przylegające do siebie,
przemijające się w bólu,
które obdarową się skazoną codziennością.
Nie, nie płacemy,
strugi odpady.

Przylepimy je poizer maszynom,
których pęto w miastach świata.
To wspaniała rola w ogromnym teatrze

Nigdy nie pisalem o moim mieście.
Wszystko było tak oczywiste.
Pociągala nieskończoność
a ulice kosciły się knąpami,
kiedyś czasem zmieniono narwy,
Zmieniali się imiona,
czas miłości, przyjaźni, wódki,
nie zmieniali się powrotna ścieżka w samotność.

Morrison śpiewał *Light My Fire*,
Lennon śpiewał,
Tu dorastałem.
Napisałem pierwszy wiersz,
kochałem pierwszy raz
dzwieczyłem o anglistym imieniu.

Teraz już mogę
palcami na szybach pociągów
wypisywać imię tego miasta,
zławionego melancholią i tęsknotą,
ja,
melancholia i tęsknota tego miasta,
wrzód na jego szumieniu.
Opadam raz po raz po ścianach klejodry
w zwaly pachnia,
na dno czasu.

Teraz już mogę,
jestem daleko.

Wiatr zaskakuje z równin
w większą jeszcze równinę,
Grot rozsywa ciąg,
Wiedźniał,
głęci musi być ciepło,
głębci grądnie złoch,
mierci nie jest powolna
i naszej myśli o niej
tak łagodną miękkość znajduje we mnie,
że nie potrzebuję modlitwy,
aby zostać tu na zawsze.

Wzroczorem rozpryskują zorną latarnię,
Mianem wcześniej zasypia,
ale dla nas od światła do światła
możetwo miejsca na rozmowy.
Każda latarnia cel ulotny,
każdy katek to metafiza.

Kawiecznie zamknięta,
nie musimy już pić, przeklinać najgłośniej,
Pomówmy o ocaleniu uczuć,
odgadnijmy kobiety,
kiedź zrobia sam rano śniadanie.
Możemy też Ravela
holera za cztery nogi środkiem jezdn,
patrol nie zawsze łądy przechádza.

Pijemy wódkę na schodach. Noc.
Nie będziemy już gadać,
kto komu ciemność w garści niesie,
kto komu sną na ciele odmalował
fioletową plamę.
Za oknem tyle miejsca dla nas,
dla nocy tyle miasta śpiącego.

Młodość stara się zrozumieć
kolor naszych oczu ciemnych,
Nie odpowie jej echo nocy,
asi my zbyt pijani ciszą
jak niegdyś
słowami.

Przygnijemy czołem pocalunek nocy,
za dobranoc.

Jaz nie nie czać,
rany zablżniose.

Nie boli, gdy nie dorykać,
rani czuły dółki,
ciepły wiatr utł odgadujących słowa.

W bezholonym milczeniu

uczy się natłaznaczenia pragnień,
leczg ciało poporzenie odnacza bliżni,
Oczy odkrywają nagom,
Strzele mnie ciał,
kryżę za plectana.

maj 89

Janek Guz



Tomasz Zawadzki: Miasto, techn. mieszana, 1989.

Są też sygnały, iż socjologiczne i także historyczne determinanty brał pod uwagę Święty Józef i wskazywał na nie, wspominając „lata beczkowej młodości”...

Kiedy akazywały się te wiązania, taka postawa była już rzadkością. Nawet odwołania większe miały z reguły charakter kulturowy, nie socjologiczny.

I tak też dzieje się w wierszach Michałowskiego. Rzeczy i zdarzenia, wywołane z kontekstów i konotacji, w których nigdyły twały, są dość rzadziej znakami kulturowymi niż historyczną i społeczną rzeczywistością: *Noć zaskak wsi Niemceży / jak pająk w proboscisze*. Nawet historia zmienia się w baśń na sposób Czechowicza opowiadając (*Raport o zmięczeniu serca białego*).

Na zwiazki z konkretnymi miejscami często wykazujemy w omówieniach tej poezji: Andrzej Niwczak („Kamień” 1980, nr 7) pisał o realności i sprawnym rozpoznaniu rozpoznawanych krajoznawczo. Tak rzeczywiście jest. Są to wszakże pejzaże tyluż realne, co znaki wartości kulturowych. Rzym i Frenobork, Czarnosin i Asyż, tak, także Chelm: I „rozpoznał kamień krajoznawczy”, i wartości kulturowe są tu zamieszane na równym planie. Są ważne o tyle, o ile zostały doświadczone i przeżyte. Ale też wówczas stają się wartości pewna i niekwestionowana.

To w pokoleniu Michałowskiego (ur. 1938) niebychacie rzadkie. Wzrost, do istnienia wartości nie wymagające kwestionowania. Istnieją, więc są pewne i trwałe. Co najwyżej można kwestionować sposób ich „odczytania”. Tak dzieje się w wierszu *Kadłub ma swój ogród*. Dzięki po odwołaniu *szarej panceri krakuskiej* (*partyzanci*) pojawia się utwórzyj motyw z Wesoła:

*Michale bracie tegi szmar — ecko zajęty —
został jeno kępak z wólki piw.*

Ale — zauważamy i to — doświadczenia jest niezależe od swego przedmiotu. Jest raczej cechą osobowości niż znaczącą wartość. W *Głównach* na wierszy są dwa zamienne wiersze: *Faoula* i *Milcząc przed pergaminową Fenaz*. W pierwszym z nich przedmiotem opisu jest *fotografia smaganej dziewczyny*, wspomnienie warzawickich niełask, oba przypisanie została ta sama osoba — zdolność porażenia wyobraźni — rząd

[...] patrzeć w fotografię
jak w nie napisany poemat

Tak samo dzieło się z poznajami, ani centrum nie przydaje się szczególne walory, ani peryferie nie są od nich gorsze. Rzym i Chelm są jednakże godne dostrzeżenia. Należy bowiem do tej samej realności wewnętrznej. Nawet najbardziej drastyczne motywy przybliżają z poeji Michałowskiego formę łagodnej baśni. Tak dzieje się np. w wierszu *Uleczka, królowie nie było uleczka:*

*Natypało lenygo po kolano
ostrze jaszczki w szpach kręgi
wyrzuciła groby wybitnie drogę.*

*Czemu wrota poduszkuje dłońce
droga przed nami dalsza
z ręki do ręki z drzewa do sty.*

*Mglisti trzoda pólnych odle
i ślimaki malowane farbą niebieską
ogień oblatywiał im stopy jak piec.*

*W piaskach pastyzi królowie nie było pastyzi
wielkole Maria królowie nie była Maria
czyła siewo w białe krzewo.*

Jestli odczytuje go trafnie — wiersz traktuje o wosbyłskich rzadkach 1943-1944 r. Oglądający jednak z perspektywy, gdy już wyrzuciła groby, wybitnie długi. Tamten stałby istotną zmianą się w całym przykrywający dawne rasy. Składają zreszta i motywy ucieczki do Egiptu, w ikonografii przedstawianym najczęściej w krajowej idydyce-nej, ma za to krwawą rasę.

Tak też dzieje się w wierszach *Majdanek*, *Czerwiniary czwary*; w tym ostatnim autor przyjmuje perspektywę dzielnicy, stąd:

*Lato było kostnych makowicy
i lelnych tyfłek grających
pełno*

*rodzici tyfłek oczy niady krowicy
w Asyż i zmięśli wierzby
i krzewy mak*

Michałowski stara się raczej relacjonować niż oceniać. Raczej opisywać niż osądzać. A przecież jest to pozycja głęboko etyczna. Pretekst ją pójść moralna, która łączy ze szczególną konstrukcją poematu lirycznego. Nie jest to ani deniarg, ani twórcza autonomizacja rzeczywistości lirycznej, ani projektant nowego społecznego ładu, nawet nie, jak by postawiała nadzieję Nowa Fala, „skopert etyczny”. Michałowski przyjmuje, tak to narzucają, potoczny perspektywę oglądu rzeczywistości. Sytuuje się wewnątrz opisywanej realności. Jego działania pobawiane są specjalnych sankcji. Nie stoi za nimi ani domniemyany interes zbiorowości, ani wiara przesyłanego ludu społecznego, ani wręczanie wiara w autonomizację światów poetyckich. Oglądamy go w relacjach ludzkich między, jego daniem, przywołania, doświadczenia nawigacja do wewnątrzrodzidowskiowych spraw mając własnie i; ludzko-przyjacielką aurę, jest to także taryta, podległym, widząc w mutualnych sądach. Nie co nie byłoby dostępne potocznie do doświadczenia. Gdyby zerkozostawiać — a jest to możliwe, w opisie zawiązują liście motywy autobiograficzne, dyskretnie na ogół sygnalizowane — biografia podmiotu, byłaby to biografia podmiotu obywatela. Inteligentna, estetyczna kultura wywołuje, tak, nie bójącego całkiem realnym, by nie powodzić — szarym, tyżem. Ale — i to dodajmy, nie odczuwa tego jako strasień, wprost przeciwnie — z uczestnictwem w oddzieleniu czepnie radość, zwyciężając ludzką radość.

Ono ta perspektywa, rzadziej światem przedstawionym wierszy Michałowskiego, wydaje się być ich główną siłą. Oznacza bowiem przyjęcie sprawdzalnej społecznie aktywności; nie apologetyczne przyjęcie, choćby wewnątrzkoherencyjny, system, ale to, co sprowadza się w wielokrotnych odwołaniach i relacjach, podlega praktycznej weryfikacji. W wierszu *Dług imierzarz* Pastel pisze:

*Wiem: Bóg wstyżnia może — nie może tyż
być w sprzecznosci z prawem rzymian*

Łagodna ironia tego dwuwiersza; mówi on przecież nie o Istocie Boga, ale o sposobie, w jaki jest pojmowana (a sposób jest przedmiotem historycznej zmiany), jest — tak go można odczytać — protestem przeciw rozumieniu teologii. Jakichkolwiek. Protestem przeciw temu czym „dlawią wielkie litery”. W tym samym wierszu, poświęconym lotowi Gagarina (*Człowiek w kosmosie*) pada zdanie:

... jak był w góry, a stary Sokrates — zapytał, niepodobnaż? Wierzący
też pod śniegami w ciemną obłokową górę — niepodobnaż? „Jaka
niepodobnaż?” — odpowiedział — w ciemną górę.

Kiedy w Adrii — w ciemności, taka postać była — jak przed
niepodobnaż? — zapytał — niepodobnaż? — odpowiedział —
niepodobnaż? — zapytał — niepodobnaż? — odpowiedział —

Brzmi to jak oczywistość, ale oczywistością nie jest. Z wielu
możliwych interpretacji opływanego faktu: triumf techniki, zwycięs-
two „naszego” bloku w kosmicznej rywalizacji, realizacja odwiecz-
nych marzeń ludzkości (a są to tylko niektóre aspekty, w których
Gagarina pojawił się w polskiej poezji). Michałki wybiera najbardziej
oczywisty; dodatkowo podkreślając go przez przywołanie postaci
Sokratesa...

„Ale, przeciele, najwłaśniejszy. I najtrafniejszy nurtem.”
To, co jest siłą, jest równocześnie i słabością. Tak pojęta poezja
musi zrezygnować z pańi (pania rodzi się z niezachwianej wiary
w służebność idei, w imię tej wiary może zwalczać sądy i siła sprzeciwu,
sądzi, z niąj apostołską, z formalną wirtuością. Jej ambicje bowiem
tyczą innych stań.

Śnił mi się Giordano rodem Bruno
w śnieg minącej inności
nawet i wobec rozgłaszanej

... — pisał w wierszu *Giordano Bruno*. W tym samym wierszu mowa
jest o tym, że „to ktoś zwirował”. Otóż, jeśli tak można powie-
dzić, postawa Michałskiego rodzi się z przeświadczenia, że im
bardziej zwirowany jest świat, tym większy należy zachować
rozumek, tym bardziej uważać swąge zwrócić na właściwą miarę
rzeczy, idee, które karzą skazca, Giordano na śmierć, były
jak najbardziej piękne i szlachetne. Świadectwem Kazanie na Gó-
rze...

... Co poocastaje? „Zwykła śmiertelna nadzieja”. Najtrafniejsza
do ocena. Bo przecież się jest to nadzieja, która rodzi się z
zacierania w pamięci dramatyizmu doświadczeń. W *Drucie do
Ezosa* czytamy:

O jedną łzę na dachu od spado w garści popiół
jak robak obłote krzawił i ogniem w pierśnią płonie,
Iż za proroków pomykało tużę bramy krańców wiatu
i ślany kradli barwę w imię znaku
kriery budzi wiary i nadzieję.

W wyborze wiersz ten upiadać z *Exordium* na Zachód, w książ-
kowym pierwodruku (*Pod znakiem Wągi*) przedtłacza je *Pawłowska*
z *Autorii*. Oba wiersze tyczą spraw podobnych — tyle, że pierwszy
opowiada o nich w perspektywie historii świętej, drugi — doświad-
czeń, tyleż narodowych, co osobniczych, biograficznych. Finał
pierwszego brzmi: ogień płonie nadal — się piersi się w ramach,
drągięgo, czar nie przybliży — wręgi opisać płonie.

I wielkie doświadczenie kulturowe, i indywidualne doświad-
czenie — w książkach widać historię rzuci; patrząc na nią
z perspektywy ciągu zagład. Ale te same doświadczenia uczę, że
skoro tak jest, to trzeba się w tym wszystkim jakoś orzadzić. Przypad-
kowość, nie stygnąca się z piśm okazy, ale też osem tych nie-
komfortności, nie stygnąca się z piśm okazy, ale też osem tych nie-
komfortności. Poeta tu rozlega się pomiędzy przagnieniem świętości
to i tym, mówi wiersz *Amra* — a świadomością realnego miejsca
i możliwości.

Niech się nie potyka — wiersz, który nie mógł być
wielki — wiersz, który nie mógł być

... Budowalem wiecie wzmocnem koscielecy
... a kamien na kamieniu tylko
napeli matie Panie ogniem wiary
i siłą miłości

Niech moje cienie codziennie nie kują
niezmyślony żagiel aciekalem przed łuską kryzysu
ostawilem wólag słowa jak małe kamieniec
głocky na twoje wolanie

Nie znam pojęcia greckiego — wtem co jest praktycznie
dla mojej potyki się między krzywdą a pojednaniem
jako imz owaria na światło
jako śliczka bawi się wzbójczą

Mitruzu wierz i otwórz moje dłonie
chcę słowa twego być wierszem w kształcie
stojęcy w papierze księ i ośmił
niech wyjdą ze mnie — Amen.

Szczepny wybrze *Redniest* jak piosenka zawiera wybrane
z wszystkich wydanych dotychczas tomów (najwięcej z zbioru *Pod
znakiem Wągi*) oraz części wierszy nie publikowanych dotąd w książ-
kach (*Polski krytyk*, *Spacer dookoła Świątoga Potoba*, *W Bazoni Dubaji*,
Freid i *noy bez pantery*, *Amen*). Jest to zbiór zadziwiająco
jednolity, poezja Michałskiego mało zmieniła się przez te lata, aort
raczej pogłębił swoje sądy i idee, niż je modyfikował. W gruncie
rzeczy nie zmieniłone zostało jej przesłanie. Takie formalnie nie
omieniała się nazbyt, tyle że odwołania do dyktki dogmatowangar-
dów stawały się coraz dostrzegalne, a mode to po prostu zmieniła się
wrażliwość odbiorcy.

Za tom *Pojazd rdzowy* otrzymał Michałki w 1974 r. nagrodę im.
Miełca Cieszkowska (w kategorii debiutu), nagrodę tego samego
imienia, za rok 1992, otrzymał także wiersz jego wierszy pt. *Redniest*
jak piosenka...

Andrzej K. Walkiewicz

... wiersz, który nie mógł być
wielki — wiersz, który nie mógł być

Książki nadesłane

Redakcja Wydawnictw KUL

Konstantyna Baranowska OSU, Teresa Lechowska OSU, Tadeusza Hoffmana
OSU, Z pismokształt przesył 1994 roku. Str. 239, nakład 2000 egz.

Miroslawa Hanusiewicza *Solar polubrzy*, O porcy Sebastianus Gubowickiego. Str.
261, nakład 600 egz.

Amra Krystyna na miłośnika i polubowicy Lublinozyczki i Podlaska. Materiały wsi
wielkiej KUL, 34-35 III 1995. Pod redakcją Tomasz Stronkowski. Str. 518, nakład
3000 egz.

ZYGMUNT MIKULSKI

Przypuszczalnie

Ściana się naprasza do ugrzenia,
lecz cóż okno, a przy oknie czołówek.
Od widzenia nic się tu nie zmienia,
albo tylko zmienia się w połowie.

Także się od zgromadzenia faktów,
rzeczywistość obójtnie znika.
Z połączenia taktów i astraklów
nieślazana rodzi się muzyka.

Niech przepływa i odchodzi niema
chwila wysunięta przez przypadek.
Będzie zapisana na ten temat,
kiedy ciągle zmienia się w szaradę.

I nie stanę, i nie dodać słowa,
nie z zastawienia w stanie troczy.
Co skończyło, staje się od nowa,
więc nie stwierdzić ani nie zaprzeczyć.

Przyjdzie na to, że po worku środa
i nastąpi nowe zaskoczenie,
a na cieniuś antyastypodach
nie ustąpią mijsca cieniem cienie.

Chwila transcendencji

Wydanie drzew szobnie
spóźniło się o środę
dwa razy, więc dwukrotnie
pod parkiem i ogrodem.

Kalendarz liści wionął
szlakiem kolejnych widzeń,
co wytłumaczy pono
kiedy następną tydzień.

Zapytał więc by o nic,
lecz nie wiadomo kogo.
Czas chwili nie dogoni
idąc nogą z 80ga.

Niekokój do pokoja
wcinął się liną stromą
i czego nie ma, to już
nieważne, że wiadomo.

Łub nie wiadomo wcale,
odpowiedzi zmłka w cieniach.
Szukać, ale gdzie znaleźć?
Kropka zamiast zbudzenia.

W zaułku

Tu jest czwartek. W planie miasta
zapach rupy kartoflanej.
Godzina coś jedenasta,
więc nie bardzo czekać rasek.

Krok ustrojny był powinien,
oko linie ma i kąty.
W odgłosie deszczowych rynien
plaszczą mięgkie acheroty.

Nie wopółczenie i nie nowo,
wprost za blisko ców antyku,
bo pod tarczą zegarową
jeszcze idzie perpendykuł.

Zakręć w lewo, skręć za prawo,
ręca stanęła przed istnieniem.
Niepełnioną ciary gawot
odskroń nierytmicznie z cieniem.

Ala nie to odszyfrować,
nie znalazł się strzępek miasta.
Przyślęj doby jui połowa,
ale ciągle jedenaśta.

W tej okolicy

Tu oddala mnie o zmierzchu
trzcynista przeszeźnia,
płpł sadraczny świsten
przechodzi w powietrze.

Horyzont pękałuje nowim.

Węty jejęczek — gwiazdka
pyska rozbułki i gaisie,

od niej strzelił szczyt świerka
i ognik w parowie
trzasnie.

Zapiany na stronicy dnia,
w błąd kropkę, w pierwiasek rookwina
jeszcze smięż wzrok kryjącą oket
i tytal.

Aż zblizony nieopatrnie
ku bezgłoznym gniandom ptaków
przekroczyłem mżow grzaniec.
Jaka?

Zasczapiany przemysł gwiazdy
przyjął się na mym spojrzenia,
zasczapiałem swe spojrzenia wokół.

I dopiero wstyd kądże
z nasion zwłginalnych cieniem
wykwokił oczy nego wzroku.

Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą



Tomasz Zarawski. Now, wiersz, 1993.

Tomasz Zarawski. Now, wiersz, 1993. Zdjęcie: Andrzej Zarawski. Wydanie: 1993.

48

współno białym
awanturę spoj po łosławie
leż, m, am, na ognie i
nasławał si, awanturę

awanturę spoj po łosławie
leż, m, am, na ognie i
nasławał si, awanturę

W

Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą

Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą

Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą

Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą
Wzrostki w powietrzu pędzą, pędzą

ALEKSANDER ROGALSKI

Wspomnienie o Wacławie Gralewskim

1900—1972

Szczepiły kaprya losu sprawił, iż w czasie pewnej podróży literackiej pierwszej mi Lublin danym mi było poznać Kłódę, Odessę, Jaltę, Soczi, Tbilisi i Moskwę, złożyć mi się indywidualnym tężem życia tych miast, ich odrębnym kolorytem, ich osobliwościami, ich architekturką, obrazem okolicy itd. itp.

Nigdy w Lublinie nie był przed wojną; tylko przejeżdżałem, okręcił wia Warszawa udawałem się do Łowicza. A po wojnie byłem tam dwa lub trzy razy, aby wziąć udział w jakimś zbiorowym przedsięwzięciu i po nim zaraz wracać do Warszawy autokarem czy samochodem. Raz tylko zatrzymałem się w Lublinie, ale jedynie na krótki czas: dnia 11 kwietnia 1953 r., gdy z inicjatywą prof. dr. Kałkusa Morawskiego przyjąłem mi w zaci KUL, wyhołsił odzwoły o Daniela-Ropnie (w cyklu „Wielki pisarz współczesny”).

Lublin stał mi się bliższy właśnie dzięki wspomnianej podróży. Jej impizatorem i organizatorem było warszawskie środowisko tworcze, m.l.n. Związek Literatów Polskich, a odbył się ona w sierpniu 1959 roku i trwała pełne cztery tygodnie.

Wśród wżażarów dominowała młoda brać aktorów, był także pewien profesor medycyny z małżonką, był pewien samouczył inżynier z Warszawy i było dwóch członków ZLP: Wacław Gralewski z Lublina i ja z Poznania. W tej podróży właśnie obecność Wacława Gralewskiego stanowiła okoliczność dla mnie najbardziej znaczącą. I to z wielu powodów: po pierwsze dlatego, że świetnie znał język rosyjski, bo urodzony w roku 1900 w Lublinie, a więc pod zaborem rosyjskim, odskąd i elementarna i średnia przeszedł w szkołach rosyjskich; po wtóre — był nadzwyczajnym obserwatorem ludzi, zjawisk, wydarzeń, scen i scenek z życia białego (to czym od czasu miałem możność się przekonać); po trzecie — miał żywy temperament, zdolność do łatwego wstawiania kontekstów z ludźmi, i duży poczucie humoru; wreszcie, po czwarte cechował go nieprzeciętny dar słowa i nieprzeciętny poczucie pogadanki.

Już po tej podróży jeszcze jedna cenna właściwość w nim objawiła mi się z nieprzeciętną siłą, mianowicie to, że Wacław Gralewski był po prostu osobnikiem czy acielesieniem Lublina. Dzięki siemu zaczęły mi się zwolna udzielać figuromia duchowa i kolorystyka tego miasta, szczególnie zaś — jego środowiska piarskiego, jakie odmiennego od tego, które skataltrowało się w Poznaniu, tak przed wojną jak i po wojnie!

Wiele rzeczy działy się na to, że widzenie Lublina spręgnęło mi się z osobowością Wacława Gralewskiego: a wipo m.n.s. jego temperament i talent działacza, organizatora, inicjatora nagromiczonych przedsięwzięć, jego zamiłowanie młodość do życia w ciągłym ruchu, do poszukiwania nowych talentów i do pomagania im w rozwoju,

49

a nawet upodobanie do całkowitego zatracenia się w zawłocach losu ludzi, których polubił dla ich szlachetności, barwności lub — szlachetności.

3

Wspólnie przeżyte cztery tygodnie w podróży, która niemal co dnia odkrywała nam nowy świat (proszę przy tym pamiętać, że było to w ZSRK poczętki ery chrześcijańskiej), wiele rzeczy odnawiającej, odmładzającej się wrażeń, jakby „jody raszyby”), nowe gwałtownie narzędniki przetrwały się przed naszymi oczyma. To wszystko porwałoby nam pozostać się wzajemnie niewzrusze szybko. Wszystko nas dzieliło od siebie, biografii, wiek, doświadczenia, sytuacja osobista (os nieprzeżytych stary kawaler, ja — głowa wieloletniej rodziny) itd. itp. i jednak powściągnęło do siebie sympatię, która utrzymała się jeszcze i pogłębiła w ciągu czterech dni, jakże mało pozostało do ostatniego kręgu.

W kilka miesięcy później, po powrocie do swego miasta rodzinnego, Wacław Gralewski ogłosił w czterech odcinkach w „Kamieniu” wrażeń z tej podróży pod tytułem *Pamiętnik kaukaski* (1959 nr 20-23, 24).

— Na początku uczynił takie wyznanie:

Fantazji moja okiemie zatrzymuje się na doświadczeniach, pagami lubię podglądać rzeczywistość od strony charakterystycznych, ale nie na pozór mało znaczących szczegółów.

— Rozumem śledziłem bohatera pewnej bajki Krylowa, który nie stawiał się, lecz zachowywał się szlachetnie, spójnił „buzkaczki”. Różnił się od niego tym, że „ślowia” oczywiście dostarczał znakowicie, tylko bał się on ze mnie mało zainteresować. Niezmiernie różne doświadczenia...

— *Ta programowa „Arbitrowalność” inaczej kształtuje obraz moich wspomnień i inaczej go zbiera.*

Zarówno to, co wzbudzało ciekawość Wacława Gralewskiego, jak i sposób, w jaki o tym pisał, od razu ujawniają dominującą rolę jego uczynności i charakteru — a także różnej jego percepcji rzeczywistości.

Frazeologiczna przemyślność sprawiła mi lekura jego relacji z naszego wspólnego wypadu czy skłurka ukraińsko-kaukasko-moskiewskiego: powieliła mi ona niemal na nowo widzieć i przeżywać to, co linie w toku tej podróży zastanawiano. Nie mogę oprzeć się pokusie przytoczenia tu choćby kilku z nich najwięcej.

Wyjazdy pierwszy

Trudno było w Kijowie nie odwiedzić Pleznerskiej Lawy, o której wiele słyszałem.

Autorak zjechał w dół wąską wybitną uliczką i zatrzymał się. Dalej trzeba było maszerować po pod. Szliśmy dość długo i wreszcie stanęliśmy przed małą cerkiewką i skromnym wejściem, wiodącym do katakomb. Oprowadzając wewnątrz i wychodził znowu, brzościł moim.

— *Po rubeżku za wskazówką Isierczki — niby łagodnie z uśmiechem zniechęcał i wykiwa mi łowczki. Klady rulała na tacy i trząsam w głąb dźwięk, ciewnych korytarzy, po których białych w surkofigowych gabalitur leżą zamysłiwosne zwłoki. Tworze przyłożono filogocynny materiał: widział tylko ręce, cęsto kłosa czarnomokowe.*

— *To walciewiczki z góry i powierza przedświadczył rozkładła i kłosażęcy rubeżki — mówił mi o narzędniku szczytnej — a i dlatego, że duchem był męski.*

W oczach ma lalkierki, które, był może, rodzą się od blasku iwertek, otaczających go półkami.

Po upływie pół godziny jesteśmy z powrotem w wejściu. Spadło się tylko pół łowczki. Mniek, który je sprzedaje, prosi o zwrot niedopłaconych połówek. Ale ja swoją zabieram jako pamiątkę.

Fragmety drugi:

Natrzępnego dnia po śniadaniu (spółnym w Jalcie — w. AR) jedliśmy autokarem do Linauli. Piekna od olowa droga wie się wśród wstępnich łądek i łączek. Pociąg — dwiczeń do trzypięt metrowi nad poziomem jeziora. Pociąg nie byłaby tak piękny.

Linauli to domowy pałac Ruzanowczych. To podobno w ostatnim okresie przed Rewolucją najchętniej przebywał Rasputin z żoną... Nas, Polaków, interesuje głównie coś innego. W Linauli odbyła się Konferencja Jaltńska. Kolejna zwiedzać sale i komnaty. W tej była typologia Roosevelt. A obok liczenia i uwzględniania, z których korzystał W tej sal delegacji amerykańskiej spżywała postać.

Wchodzimy do dalszej sali. Przy tym stole odbywały się debaty. Specjalnie znaki walczącej miłości, w których siedział człowiekowi delegacji amerykańskiej, angielskiej i radzieckiej. Sala jest tak wrymowa, jakby dopiero co skończyły się rozmowy... Stoimy prawie bez ruchu i patrzymy: „oku, to tutaj...”

I jeszcze jeden wyjątek, był ostatni:

Z Soczi, a właściwie z Adlera, wyślany samolotem pasażerskim (B-14) do Tbilisi.

Dwie godziny lotu i jesteśmy w stolicy Gruzji. Chodzę po głównej ulicy, która ma nazwę prospektu Sosie Rustawskiego, i mam wrażenie, że już kiedyś tu byłam. Może awaria to nieczytelnie szerzenie atmosfery, jako ostatni ma tutaj. Gruzini manifestują okazję swą i swą sympatię. Rozmawiam z nimi i widział z nich, kilka butelek dobrego kachetńskiego wina wypiłem.

Największą atrakcją paropodróżnego pobytu w Tbilisi była wybrętko na słowną wojenno-gruzińską drogę. Zaczęto walczyć się w myślnych gróźbach i anadach i w niońkach wozowo-tryumfalnych. Władzcy wywoływali zainteresowanie i wędznie darcie nas szczerą obecnością. W mojej pamięci, w której jedyni obni, wstąpiły obni i wstąpiły i kłosewce w narzędnik wiońko z wiońem, odwołują jakiejś chłopskiej parii. Odwoławaliśmy się naszym „Sto lat”. Ale parzenie się było trudno, gdyż nikt z nich nie mówił po rosyjsku.

Moja opowieść o tej okupacji brzmiałaby prawie trochę inaczej, ale jej treść byłaby identyczna z relacją Wacława Gralewskiego, tylko nie tak sugestywna, plastyczna.

Przeżyłoby mi w pamięci „Kamień” zrealizował w zaliczonym liście z dnia 7 grudnia 1959 r.: „Pamiętnik kaukaski” patrzywałem jako improwizację, a z narzędnik wpiętych przeżył wpięciem tylko nakładki drobne, ale ze to charakterystyczne fakty”.

Gdy gratulowałem mu w liście, wyznał później: *Ciepło się, że przedobnie pisa — pisałem go z myślą, aby w jakimś sposób, że się tak wyrażę, poleciłbym swoją nagrodę przemyślnie podróży. Czeczara iabela wytworzyła mi kilka doświadczeń, dlatego odpady pewnie okrociłem.*

Jakże uprzyjemniło jego slybierki tych kilka słów!

3

W przedziale mi w reka 1963 wraz z dedykacją książkę pt. *Opowieści krole* (Wyd. Lubelski) Wacław Gralewski odsłonił w stopniu najwyższym zarówno swą osobowość (w każdym razie jej wartość wierzchnią) jak i specyfikę lubelskiego środowiska literackiego: najliczniej się nim zapykali byłbycha także w największej mierze jego „spiritus movens”. To słowo „spiritus” oznacza w podwójnym, diametralnie odmiennym sensie duchowym i — alkoholowym, bezchofu i w Poznaniu przedwojennym literaci wódki za kolosera nie wylewali, ale gdzież im tam się równał mogło z piarnazami lubelskimi. W świetle relacji Wacława Gralewskiego trzeba by poznamianować wręcz za anachronizm.

Wacław Graliwski debiutował wreszcie, nie w dwuletnim roku życia i nie dwoma wierszami ogłoszonymi w czasopiśmie literacko-społecznym pt. "Młodzież", które zresztą sam wraz z paru- ma kolegami redagował. I choć późnym nieuczestnikiem i na różne sposoby działał w dwadzieścioletnim najdłuższym, to jednak pierwszą w życiu swoją książką wydał dopiero po drugiej wojnie światowej i też nie zaraz po jej zakończeniu, lecz w kilkanaście lat później, w roku 1958. Stanowił jej zbiór opowiadań pt. *Pięć Heterozisów* (Wydawnictwo Lubelskie). Na przygotowanie tej naszpica nocydował się w pięć lat później: są są właśnie Opisy z życia.

Z tej książki można się stosunkowo najwięcej dowiedzieć o tym, co było głównym motorem jego życia w dwudziestolecie międzywojennym i jakich doświadczeń wady nabyl.

Kilka pierwszych lat życia nie służąc wojskowi: odbywał je w Oficjum Podchorążych w Warszawie. Później Lublinie przetrwał też „od nad Wiały” w roku 1920. Po wyjściu z wojska (w stopniu oficerskim) wrócił do rodzinnego miasta i rozpoczął studia prawnicze w założonym w roku 1918 Katedron Uniwersytecie Lubelskim. A jednocześnie zaczął się uprawiać do dziennikarstwa, w którym rozkochał się równie silnie jak w imprezach społecznych, w życiu towarzyskim, kawalerskim, nawet kłajpasiarskim. Choć będąc na wykłady i seminaria oraz zdając egzaminy, pisując artykuły i raporty do pracy, rozwijając różnoraką aktywność publiczną, dawał uprzą temo, co było w nim najsilniejsze i najgłębiej zakorzenione światło, bzdził, sztuk, wszelkimi rodzajami zabawy, żartu, dowcipu. W tym się niemal cały roztopił. Nigdy w nim nie było dołd impulsów do robienia czegoś, czegoś dotąd nie robiono: sam nieustannie stwarzał tak temo warunki, wysyłał różni kłaj i strategię, prowokował sytuacje, które mogły być orzeczone prokreścią jego, i bliższe ma kręgi. Nie stronił od robitania „drak”, prowadził — bądź się właśnie tymi wyzwanymi lub „kompleksyjnymi” pułkami, figurami, kawaliami, wypowiedzianiem uproszonej ofiary w pole itp.

Myślę, że wie comieka objawiała się u niego już wosnoję, znajdując w Lublinie mństwo pozwyek. Nie przychodzimy w to, że, co emanowało z rodzimego KUL-u: wrecz przeciwie — wamagał ją jeszcze, bo na szczytnie jej pasowało atmosfera liberalna, w każdym razie za czonoję jej zakochany i parowozu rektora, ks. Józefa Radziwiłłowskiego, a także prezydii i półmij.

Rzecz studiując w niej młodzieży — jak pisał Wacław Graliwski — stanowił ci, co dopiero stracił manewry i zapomniał poważnie wśnadać, rozpił odobacć zapożycić. Stanowił jednak, wśród kłajstów (...), jakież żwio wyświefca pryncy i wiofio od Murawiejsko po Wiedza (ed. list palakich) do pomyśl nad Parag. Autentycznie dokrowie obydł autowymyślny żwiofio, kłajstów czy zwyczkę słownych kłajstów.

Ale się moją ważną rolę na KUL-u odegrał ci, którym bardziej dłałania historii przeżywał jakieś indziej już rozpoznać studia i który znalazł się w Lublinie z medyków, polniechników, matematyków czy przyrodników stał się słuchaczem prawa lub filologii polskiej czy filozofii. Była to więc młodzież, na którą wykreślony miał tylko pólno wpływ. Myślała, wypowiadała się nierozbicie i (razie) sama nadawała kłajstów acznie. Powoły wiodł się różne ugrupowania, powołane lub nie w pokonywaniu sobie organizacjami w procesie społecznym. Od katolickiego „Odrodzenie i progresywne” aż organizacjami młodzieży nowowojny papież postępowe i demokratyczne ugrupowania niepodległościowe aż do młodzieży socjalistycznej.

Ta wiofio czy wielokrotny postaw ogromnie dopięgającego musiła oddziaływać na życie umysłowe całego Lublina: wydawca, literackie, teatralne, przejawiając się w mądrofio przedsięwzięć, kłajst, choć

czego ofimeryczne, jednak się przemijały, nie pozostawiając po sobie jakiegoś śladu na tamięjącej scenie kulturalnej. Nader żywo i przekonująco przedstawił to Wacław Graliwski w wrecz wspomnieniach, sam manifestując swą wiofio do Kocioła, bratal się i kamał z wycykami, którzy wydadł mu się ciekawo, inteligentnie, zdołał, lub którzy mieli jakiegoś braka ap. spodobanie w srotofio (miała je przez jakiegoś czas znaną akterka i walcobielka Elzbieta Zagadzińska: Stannawa Wysocka — Graliwski wiofio obydwoje tych ludzi sportowowało).

Sensacją stał się występ autorski w Lublinie Stanisława Przybyszewskiego. Oto jak Graliwski opisał i odczyt, i pelenaga:

Ochrypił głos, nieopozowane gesty, no ciagle dotykane do szklanki z karkafki (jak się potem okazało, była to woda tylko z nazy), pęcznawość wycy w pamięci wyświefca kłajst. Ate przyciętł. Treść odczytu była niezrozumia, gmatwanina zarobków, znaczących wyświefca powielonych, jak i myśli wyświefca tak ad hoc, na marginesie temata głównego. W zamie imi arcyważne literatury polskiej, awasty legendy, rozczarował publiczność lubelską. Rozczarował i mnie, i innych przychodźców. Zobaczyliśmy starszego się odobacić, który belkaniem paradoksalniczkę czer wywołał zatwierdzenie. Do takiego dostrzeżenia wiofio. Działaniem się, jak sam człowiek mógł wywołać dany wpływ i na ludzi inteligentnych i potowych. Widać było co najmniej silne negatywne oddziaływanie, kłajst z biegiem lat wiofioła i zamarła.

4

Wacław Graliwski nie rozpoczynał się szeroko o swych przedziach, działaniach czy osiągnięciach w latach międzywojennych. Przeciwnie: jego pisarstwo objawia w tej miedzi książce (odwice 212 stron liczącej) rzadko spotykaną wświofio, która gotów byłby im określić nawet jako paradoksalną. Mianowicie narzuca jej u niego niewyżekie zwieźła, a jednocześnie ogromnie wyczerpująca, dokładna, precyzyjna. Pisarz wprowadzając swego czytelnika w następę pogody, w sian bezczek, niepostrzeżenie skazuje mu dostrzeżenie lub sytuację, które kłajst mu się zdumiał nad doświadczenia losów ludzkich lub przejął się do głębi ich tragizmem.

Sam zdawał sobie sprawę z tej wświofio swego widzenia ludzi, wydarzeń i rzeczy, skoro w jednoznacznym dodatku do *Opisów kłajst* takie oto pomieslił wyznania:

Czytelniku! Może mocno negatywne autentycznie naczyli i przypuszczają (jaków), które mogą obokować wiofio. Ale jest to tylko pozór. Autoryzacji był w tym wypadku tylko fundamentem, na którym konstruacja literacka się wiofioła. Główną myślą przewodnią było wyświefca z życia same, obydł kłajst bohaterami opowiadania, momentami dostrzegających problem, który autor chciał zaprezentować. Każde z nich dłużej na życie barłach jakifio fałsum (...).

W tym tonie „opowiemienia” zostały przedopowiemienia literacko kłajst, aby wyświefca te czoły bohaterów opowiadania, które w działaniu już się wiofioły w formę literackiego zdarzenia i młody literacko zakończyła.

W każdym z tych opowiadania autorem odobacił się mało aktywny czar przyciętł, bez względu na jej smak, jakie czoły czoły, jakifio patafio, tworzyły tylko życie.

Czy Wacław Graliwski osiągnął to, czego tak pragnął? Jak najbardziej! Lektura *Opisów kłajst* towarzyszy nader czoły uczucie podziwa dla fenomenalnej pamięci autora, bo przedstawił on wydarzenia, sytuacje i rozmowy sprzed przeszło trzydziestu lat w taki sposób, jakby był świadkiem naocznyim przedczoroż lub jakby w swoim czasie, gdy miał on miejsce, podziwiał się takim magnetycznością do ich rozstrzacji.

— Ale takie samo właśnie sprawia jego relacja z wydarzenia z niedzielnego czasu. Oni poczuli jakiegoś w sobie...

— To było nieśmiało. W tym czasie był telefon. Zbudziłem się i opierałem na oknie. Druga. Dwadzieścia nie uśmieło. Kłótnie, aryanizm, nerwowo i potępy jak diabeł. Tak słownie namalowała. Szybko wstąpiła i podzieliła do telefonu.

— Halo?

— „Za chwilę będzie mówił Warszawa”. Jesteś chwilę kłótni i w słuchawce odwrócił się głaz, powoli skłony do tyłu.

— Wasze to było?

— Tak to ja, kłótni mówi?

— Jak to... kłótni... nie potępną?

— Potem.

— To ty, Władzio, co się stało, że o tak późno porze dzwoniła?

— Nie się... nie stało... Nie mogę spać... i tak mam jakiś myślenie. Zaczęła mi się nagłe Lubowa... postanowiłem, że zadzwonię... do ciebie. Nie gwarantuję się... i się obudziłem! (...)

— Nie odpowiadałem. Czemu, że każda odpowiedź będzie banałem. Milczenie nawiązało kontakt. Westchnął i zaczął czytać trochę cichym, wrywanym głosem. Ale jakie dopowiadano do wyświadczenia się słów: Opary o blasku, z jedną nogą skoczono na krześle dźwięki słucharki łowi słowa i tworzy najdłuższego recytatora.

— Po pewnym czasie spróbowałem na oknie. O, kiedyś ten czas upłynął! Dochodził trzeci. A więc słowa godzinę trwała recytacja. Jesteś jedna i jesteś jedna tryzła i słowa namyśli.

— Dbał niechłynie. Płynęły wszystkie chwile.

— No, jak? — zapytał wreszcie. W głosie jego wyzwał jakby mały zapłakany.

— Mój drogi — zawahałem wreszcie — obdarzyłeś mnie niezwykłą przesyłą. Pomyśl tylko: Noc. Telefon biała śpiączka. Z jednej strony przewoź telefonizacyjnego wybitny poeta kręcił wieżę autorski i ma na drugim końcu, daleko na prowincji, jednego słobozka.

— Któremu czytaś miłoma przedmiotem nie czytaś wiersze.

— A potem Wacław Grawlewski niezwykłe wyraził odzwierca w myśli poczuli swą znajomości z Władysławem Bromowskim, mieszkającym w Lublinie w początkach dwudziestolecia a wzmianczanej przy każdym spotkaniu dużą ilością wspólnie skomponowanego („płynący skłótnik”) mocnego trunku — jak zresztą i w innych przypadkach.

— Ale wszystkich przejął i znajomych Grawlewskiego upodobaniem do silikobu przepiękny Józef Lubowski — „staman Luboda”, „poeta” „kniaga Lubowski”. To niechęć bawona postaci, są mieszanie życia ideowego i kniżnicznego kulturowego, co dawała ujęcie dwóm jego naturom — rytmu Grawlewskiego w Głównych kołach niezwykle plastycznie; dręki temu umacniającej się zarówno jego wybitne zdolności charakterologiczne jak i jego wyrazność pisarska.

— A do tej sztuki zaprawiał się dziesięć latami, różnorodnie swa talenty spotykające w dramatycznym dźwięku arcy, prawniczej, wydawniczej, imprezowej, recenzerskiej i — towarzyskiej.

4

— Wiele postaci z przedwojennej lubelskiej sceny kulturalnej przejęło uszy Wacława Grawlewskiego i wiele spośród nich wspominał też w Głównych kołach. Ale żadna z nich nie wyprawała w taki ruch, dynamizm jego pąsi filozoficznych, „darszawowych”, każde ma jednocześnie nagłębnie się myśla w osobliwościach talentu twórczego, zwłaszcza zaś lirycznego jak Józef Czechowicz. Jemu też poświęcił najobszerniejszą spośród swych publikacji, mianowicie trzynasty stron prawie liczącą kniżkę pt. Siłowa terra (wydana w Warszawie w roku 1988).

— Dla jego pąsi pozostawę nie ma rzeczy bliższych czyż mało wainych. W jednakim stopniu interesuje go filozof Czechowicz jak i jego muzyka. Do refleksji i analiz skłaniają go zarówno wyznaczniki pąsi jak i jego promienność, jego barwność i jego fakt, zainteresowania jak i depesze, przejawy jego zbrostwa, leżący, długi formy jak i chwile jego zalanam oraz próby samobójstwa. Z wszystkich tych cech i skłonności ułamał ma się syntetyzując wierszami i tekstami i artysty.

— Z jednaką siłą wkład próbuje w czułości, zakamarki można publikacji organizacji psychicznej Czechowicza, jak i oddałań żądła oraz gąszyć jego przedmiotów poetyckich.

— Okręcając sam siebie jako „talentowego konstruktystę” Wacław Grawlewski uważa, że twór poetycki wiezion był „instrukcją zniemat architekturalną”, a nie zlepkiem wolnych skojarzeń. Dlatego też wyjął stawał wiersze Czechowicza nad wiersze rzucającego z kłopot w pewną stronę Włodzimierza Pietrzaka, w jego twórczości Lubowa, chociaż się liczącym, sądzili jednak, że lepiej się o tym opowiadał w prozie andeji w poezji, w której szukał swą drogą do wolności. Odwrotnie przedstawiał się rzeczą z Czechowiczem; on stał swą drogą w prozie, a strzeżony wsił się w poezji.

— Wacław Grawlewski tropił z gorliwością detektawy kolejny życia Józefa Czechowicza i bacznie udujące poddaje jego stosunek do różnych ludzi. A tobi oświadcza: Zamierzam mem nie jest żadnym papierz poezji iślibo lubelski, ale śleko interpret człowieka — zwłaszcza siadłymi poetyckimi. Bez jednocześnie stwierdza: Jak opowiadał się do analizy twórczości poezji, uświłony w murawiejęj formie nieszwan filozoficznych. Żyłe pąsi uświłony może życie człowieka. Aby zrozumieć poezję, trzeba wejść w jego nawet czytelnice czy paktłebne kręgi. Kim wie, czy to nie także samo ryzyko, jak spuszczanie się na dwa wałkami. Oryginalnie, jeśli w poezji jest trochę gotująca lara pokochani, straszącego drogi, po której szła Eugeniuszka. I bezpodzielnie potem Grawlewski ojmajmi: Czechowicz miał obłąkać iświci i wielką potrzebę miłości.

— Jego siła, wierność i ofiarne związanie się z Czechowiczem, nie odwołano nawet wtedy, gdy poeta zamieszkał w Warszawie, niepożilo się w nim z wędzonym od wszelkich zamawowań czy przemianach lub niedostroczliwi dajmiem do rozpłatania nagadki: kim on właściwie był?

— Najbardziej zdaje się w Wacław Grawlewski charakteryzowany Czechowicz, gdy pąze o nim:

— Przeważał się przez życie jako światło po złotku. W wielu wypadkach miał wrażliwość człowieka, który nie umiarkowanie się zadowisio do siebie. Był jakby bezosobowy w wielu poetyckich. Ani jego pastyżony, ani wiersze, ani sprowy podobać, ani oddałań wreszcie ma wyduławy z niego złynek i złyk dowodzący akromów. On jakby obłąk tych spraw tylko się przeważał. „Zyde mem żyłku” — wie po co się angażował i walczył o jakiej nagle, zamyła czy potępną? Nie tylko ja to znamy!

— W ogóle Józef Czechowicz jako przedmiot jego obserwacji i zainteresacji jako przedmiot najprzyjemniejszych uśmiał okazał się szybko kimś bardzo obłąkanym, kimś wyjątkowym się okazywaniem, który zachowywał aktualność i znaczenie, gdy minęła chwila zdająca się narzucać takie osądy.

— Wacław Grawlewski pąze np. w pewnym miejscu swej kniżki: Józef Czechowicz był typem wybitnie androgynicznym, którego cechy i właściwości zresztą niegdyś sprężył na wieloletnich różnicach we wznajętnych formach i wyrażających i nich słupki. A i znowu przybrałby w wyjątkowo różnorodny pragnął i potępną. Każde z czasem stały się zbliżone na wyjątkowo.

— W innym znów miejscu stwierdza: Istnienie u Czechowicza „heterofrodytymu psychicznego”, czyli obnojnawa, dwupłciowość, w niej dostrzaga źródło jego ustawicznych osławowań miłobnych, i napytuję się, czy nie to zrodziło w poezji (w pewnym momencie jego życia) konflikt, który ma „broń samobójczą woliłby do ręki”.

— A jednak, podsumowując swoje nader liczne spostrzeżenia dotyczące afektów miłosnych poety, Graliwski pisał: *Wobec dojrzałego mężczyzny był obłąkany — jego erotyzmizm autorem był obłąkany, którego paranoje uwielbiał, czynił jakoby przedmiotem osobistego kultu. Był w tym cały swarżystyczny nurt... Środowisko dojrzałego, a nawet przetrwałych homoerotyków było mu obce, a nawet wyraźnie niewolne. Przekopał z nich ijak najbardziej się odstępował od nich. A przecież wiele wyciągł z przedmiotów i z ludzi i nauki studiował do tego kłama.*

— Śniawa ięcało bardzo wnikliwe studium nad Józefem Czajkowskim jako człowiekiem i jako pisarzem. Rozważaniem w przebiegach literaturze światowej stanowił ta książka jeszcze jedną próbę wniknięcia w tajniki przynajmniej i prozom twórcy. Waślew Graliwski dał w niej chyba najbardziej sugestywny dowód swoj dociekliwości w tej mierze. Dał w niej z sobą wszystko, co go najbardziej ożywiło i do utrwaleńia skłoniło.

5

Wzruszał nie tylko w książkach, ale i w listach nader wyraziście rysując się psychyczny konflikt Wacława Graliwskiego. Znamienne jest przy tym, że choć siebie uważał za gadulę, wystąpił on bardzo silnie, aby powiadzić najintymniejszą rzecz o sobie i o swoim kłopotliwym Lublinie. Mam tego dowód w jego liście pisanym dnia 23 grudnia 1963 roku:

Serdecznie dziękuję za list i niezwykle miłe słowa o mojej obromiej książeczce do Opatynych Łosach — A.R.). Jestem z natury gadulę. Żywił mi iście gaduświatem to natywą gwoli dziurawcom, aby ma nadać jakiejś literackiej rangi... Czynn człowiek naukowca w życiu, to niema woli przetrwać na papier. Ja po prostu tę swoją ciotkę natych w sobie do określonego celu: ochronić od zapoznania pewnych ludzi i pewne zdarzenia. Czy będzie to tragiczna dziwność losów Amatorskiej (Franciszka Hanna Amatorska, 1865—1942, pisała wiersze, utwory sceniczne, artykuły i tłumaczyła dzieła H.G. Wellsa, W. Somerset Maugham'a i innych obcych autorów — uw. A.R.), czy natomiast się z sobą samą w Gryfickich piętach, polityki ciekawego choć niesamotnego, czy wreszcie habaleryi znawcy przetrwałych — wszystko co jest ciekawe, choć uważa nieznane. Lublin był zawsze miastem legend (fajecji), historycznych ewenementów i wspaniałych aniołów. Krew habalcia jest barwniejsza niż sama serca habalcistów w tym słońca barwna. Za mało miała krasowaty i dziać się — moje pokolenie podjęło inicjatywę w zapobieżeniu hałki.

Nawet jako żal do mojego pomysłu urządzenia mi w dogodnym dla niego czasie wieczoru autorskiego w Poznaniu, pisał:

Cieszę się bardzo, że Patka przeczytała i najwyżej chwyciła i że może sobie się zapomniała wiersze w Poznaniu. Oczywiście, dobrze by było, aby termie przypała na ciepłotę dnie — w marcu lub w kwietniu. Nie lubię zimy, choć mocno wyczerzywałem, ale w sierpny roku miarom wspaniałe zapomniał pisać, no i teraz trochę dumałam na własne. Na szczęście, jak dotąd, odpływają w nie habalciane drzewo, nie znamy się na powiadze „zimą złaćca”, ale nie nie wiadomo, czy ostre zimy zaczęły się wetermie.

Nie pamiętam, z jakich przyczyn nie doszło do spotkania Wacława Graliwskiego z publicystyczną formoską (przezok) obiektywnych nie było na żadnym). Natomiast doszło do mojego spotkania się z nim — w Lublinie i to dopiero w roku 1969. Okładę ku temu dał odczyt, jaki przyszło mi wygłosić w lubelskim klubie Stowarzyszenia PAX. W kameralnym gronie miłośników z dąg przytoczono zaawazylem dr. Adama Majewskiego, autora głośnej i wielokrotnie wydawanej książki pt. *Wzrost, ludz. medycyna* i — Wacława Graliwskiego, który przybył na się imprezę zgodzić z naszą listową umową.

Miłe to spotkanie labelkie wspominać, a jeszcze miłj — kilka godzin tego letniego dnia (bodał się do północy) spędzonych wyłącznie w towarzystwie autora *Śniawej ięcy*. Był pogodny wiecior, Graliwski oprowadzał mnie po śródmieściu, pokazując mi co osobliwie jego miejsca i budowlę, a także opowiadając o mniej mi znanych faktach z martyrologii tego miasta. Na kofcu weszliśmy do lokalu, w którym — jak mi mówił — zwykł najczęściej przebywać, bo czuł tam najspiej. Restauracja była rzeczywiście bardzo przyjemna, a jej menu i obsługa — na najwyższym poziomie.

Wacław Graliwski jako gospodarz i współfideleski objął nas, którzy się mogli się i mnie nie udzielił jako jego koleś, w niezwykle przyjemnej pogawędce przy wybornym jedzeniu, choć nie zakrapianym żadnym silniejszym trunkiem, opowiadał mi o różnych epizodach swego życia i dzielił się refleksjami, jakie mu nasuwała lektura pewnych dzieł dotychczas dwadzieścialetniego okresu dziejów naszego narodu. Przyniły wtedy rzeczy przedświatych, nawet i makabrycznych; opowiadał o nich tak plastycznie i sugestywnie, jak jeśli pisał o niegodnych wydarzeniach i postaciach w swych książkach. W swej bezopornej nastroju wykrywał werwę, temperament i kapitalne poczucie humoru. Czasem jednak się wzruszał, iży napływały mu do oczu, i wtedy przemaszał to, że „rozkleił się”. Ale właśnie w takich momentach mnie najbardziej chwycił za serce.

Był zaprzyjaźniony starszym kawalerem, ale nie sprawiał wrażenia, aby mu samotność mocno dokuciała. Wciąż miał dokola siebie przyjaciół, ludzi mu oddanych. Choć kochał życie i choć nierzad naturalnie się w samym jego ukropie, tkwił w nim równocześnie nadzieja, który za wszystko kazał ma patrzeć z dystansem filozoficznym lub — z uśmiechem.

Przed samym Bożym Narodzeniem w roku 1969 przysłał mi z Lublina list, w którym donosił o odbyciu eskapady do Włoch (na olimpiadę) i uczestniczeniu w katowickim zjeździe wyborczym ZSLP w charakterze delegata. Wyznawał w nim także: *Wspominał wspanie wiecior spędzony z Panem w Lublinie i przeproszał za moje niedoinformowanie wiersze gaduświatu. Nie omieszkał natychmiast ma ripostować: To nie było gaduświatu, lecz sercu wspaniałego narozrwa, która zechciał wspanie wspanię!*

Raz zobaczyłem go jeszcze w Warszawie z daleka, gdy dobieł szybkim krokiem szedł ślad Miodowa, a ja ku niemu wiałem zmierzając od Hipotecznej, zabrawszy swoje sprawy w siedzibie ZAIKS. Nim do niego doszedłem, utraciłem go z oczu.

A potem przeczytałem w prasie, że Wacław Graliwski zmarł w Lublinie dnia 16 listopada 1972 roku. Od kogoś z Lublina dowiedziałem się, że zmarł po zaburzaniach gastrycznych. — Przyczynę jego słowa, że za jeden z głównych celów swego życia uważał „ochronić od zapoznania pewnych ludzi”.

Myślę, że należy się to także Wacławowi Graliwskiemu „ochronić od zapoznania” — nawet, jeśli się nie ma takiego talentu, jaki on miał w tej mierze.

Aleksander Rogalski

okład
tytułowa
kieszonka
wzrost ludzki obraz
afekt
wzrost ludzki obraz
wzrost ludzki obraz

JANUSZ KOTAŃSKI

są tacy którzy
myślą że wszystkie bramy
ponostają otwarte
na zawiesz
będą mogli galopować
na spoiniałym konia
w słóku wiecznego południa
(czy kroczyć znacownie
ocienieni własnym doświadczeniem)

są tacy którzy sądzą
że jezuzna krata
nie zatrzasnie się
nigdy
i tacy
którzy mówią
nie ma drogi i bramy

słowa pękają
jak wieniec
pełne wiadro ebok
chmury przepływają
na wachód
dotykam wódów
granatowymi palcami
upragniona jesta

fródo
strasznie
wospód
zodka wódó równiny
deba
słona laguna
wreszcie morze

jego równe łpno
uspokaja oddech
po długiej podróży
zostaje te
leżąc nieruchomo
słuchając głosu fal
kraszących niemę
na granicy świata

Tassili XIX wiek

noc przy ogniu
niebo bez gwiazd
dużący wiatr
zapach wicibłędzkiego kała
w wyschniętych ustach
nie ma żadnego domu
(i niczego co mogłoby
go przypominać)
jestem tu jedynym
człowiekiem który
nie wyczuwa z daleka wody
poprzedzany senkami wązowów
plaskowyl odaje się
nie mieć końca
przeklętna modlitwy
dawno stracił sens
białe miasta południa
zaspęga gorący piasek

pełn
noc rozbiła się
o marmur świta
gwał gwiazdy
pełn
niezasycony
spragniony
suchy
jak pękła
wytrącona
na brzeg
martwego morza

zastępnie jak sprężynę
wskazytmo nie
zastępnie zaspęga
nie
g) nie
cał
niezaspęgniętym
senki (niebo nie)
niebo zaspęgnę
niebo odaje się odży
niebo odaje się odży
niebo odaje się odży
niebo odaje się odży

Janusz Kotański

Wiersz Janusza Kotańskiego, tłumaczenie: Andrzej Kubiś

porużą się opóźnia
 nic otrzymasz
 stygnąca objawienia
 nie
 nie ty
 lecz
 zmajowychwastniesz
 jak mówi piśmo
 w godzinie sąda
 tylko ja byćdź kżał
 bez ciała bez dusza
 zgnię w leśowej glinic
 rozsypię się w proch

nagle paluski
 w koronkach mrozu
 wolno opadające
 placki śniega
 blade słonce
 odbijasz w zamraznitych potokach
 Kosińscy Tyłkowie przelaziane okrutami
 nadciągającymi od orawskiej strony
 schodzącymy wolno dolina
 cofając już pierwsze
 adreznia wiatre
 kosić się
 zimowy dzień
 w czasie którego
 nie musiałem
 stykać się z ludźmi
 nic złego się nie stało
 góry powoły
 wypytaliśmy naszę serca
 wielką spokójną ciszę

wtedy tylko
 o odrobłąż zbliżam się
 do dockmałości
 gdy widzę
 swą małoo
 dusza mi się rodząćnia
 serce odpoczywa

nie ma
 przy
 na
 w
 z
 z
 z
 z
 z

Year XIX

nie ma
 przy
 na
 w
 z
 z
 z
 z
 z

wtedy tylko
 o odrobłąż zbliżam się
 do dockmałości
 gdy widzę
 swą małoo
 dusza mi się rodząćnia
 serce odpoczywa

wtedy i tylko wtedy
 gdy pełną
 jak ślimak
 po twarze
 wolno
 w stronę nieba

Próża Tożalska Zachowczowa
Próża Tożalska Zachowczowa
 z...
 z...
 z...
 z...
 z...
 z...
 z...



Teodora Kukuźnikowa Wzrost Kobiety, portret, lat 1915 (z cyklu Kobiety...
 Kłobucko Kula).

JOLANTA KOWALCZYKÓWNA

Proza Józefa Czechowicza dla młodego czytelnika

We wstępie do tomu prozy Józefa Czechowicza pt. *książki* Tadeusz Klak pisał, iż autor „*Kamienia*” stworzył się w pamięci czytelnika publikacjami przede wszystkim jako poeta. I to jako jeden z najwybitniejszych, najwybitniejszych kryków. *Przypominamy* został po latach także jego *dobroć dramatyzacji, ogólnie skłone literackie oraz obywateli* *przez autora „książki”* *dystrybucji*. *Powiadano* wprost, iż *niegdyś* *ona* *całkowicie* *zmarła* *zapomniana*. Spotrzechnie to można bez wątpienia odnieść zwłaszcza do prozy poety, ogłaszanej na łamach czasopiśm dla dzieci i młodzieży. Owo uchwylenie wobec tego nurtu piarstwa Czechowicza nadrobił niewątpliwie przywołany tu tom prozy, wcielający zaślubi przypomnienia Czechowicza prozaika poprzedzają „*Kamień*” (1956-1977), a zwłaszcza „*Akcentów*” (1982-1983).

Kompletarny jednak zapamiętania uległa proza pisana z myślą o młodym odbiorcy. Jak wiadomo — w latach 1931-1939 poeta współredagował w Warszawie „*Fiony*” i „*Fionysek*”, zasilając oba pisma nie tylko pięknymi krykami, ale i małą prozą. Opowiadania sygnował różnie: Józef Czechowicz, Henryk Zaślubi, J.H.C.; J.C. pewnie wpływili czy też raczej niegdyś stanowią teksty podpisywane na rozmaitych wspaniałych krytykizmie H.Z., a jest ich kilka i warto by podjąć ich sprawę.

Z wymienionych czasopiśm (1933-39), znajdujących się w trzech kładkach łódzkich udało się „*wyłowić*” 12 tekstów, z których niestety jeden został przypominany po roku 1945¹.

Pozostałych nie zauważono, choć wydają się — zafingują na byciażby swą. *Przed* *wszystkim* *są* *dobrze* *„wyłowione”* *o* *maturograficzne*, *względnie* *monografizujące* *konkretnie* *tematy* *czasopiśm*. I tak np. *Czary* *król* *znajduje* *się* *w* *numerze* *poświęconym* *śląskowi*, *Jestak* *grajal* — *Wileńszczynie*, *Końskie* *się* *natomiast* *w* *„wiadukowym”*, *Mażkacz* *dalej* *Ziel* — *w* *„naduszkowym”*, *Największe* *solisko* — *w* *„angielskim”*. *O* *holwiska* *i* *o* *szumach* *zamieszczono* *w* *numerze* *okucającym* *drucinę* *szódkę* *i* *stoki* *niży*, *Przygoda* *poświęconym* *specjalnie* *w* *odwrotnym*, *Ryby* *ryby* — *Polonia*, *Synawie* *Wielkopolski* — *tema* *właśnie* *regionów* *kraju*, *Towarowe* *koje* — *komentacji*, *4* *W* *Belvedere* — „*zabójstwo*” *z* *powodu* *imierni* *Marszałka* *Józefa* *Piłsudskiego*.

Czechowicz potrafi w protactkach na ogół scenkach (na pastwisku, kupie w rzecze, zabawa w kole, zakupy na targu) znaleźć ciekawe obserwacje, wystrzał z nich odpowiadające wznowi czy też — bardzo dyktarzem, niemal nieprzebranie podsuwać moral do przemyślenia. Tak dzieje się na przykład w opowiadaniu *Kupie*

(pisany podobnie jak historia o wdrążającym grochu — rymowana prozą). *Najdroższe*, *Na* *zrosie*, *Powse*, *Przygoda*, *Towarowe* *koje*. Jest tu poeta takownym, różnym natężeniem wychowawcą. *Jeszcze* *mniej* *poświęcono* *prozy* *i* *obowiazkowe* (*Na* *droższe*, *Na* *zrosie*, *W* *Burka*, *Powse*, *Przygoda*); te, które prezentują nam odbiorcom nie znane dla nich tony czy kraje geograficzne (*Czary* *król*, *Największe* *solisko*, *Ryby* *i* *ryby*) pełnią niejako funkcję ich „*wyżytów*” poprzez swawie w nich walczyć poznawcze. Z kolei zaś te, które poświęcono postaciom wybitnym, stały się wyrazem holds ich pamięci, holds złożonego oszczędnie, bez patosu, ale wymownie (*Synawie* *Wielkopolski*, *W* *Belvedere*).

Ich autor nie sili się na tematy nierwkie, nadzwyczajne; wręcz przeciwnie — są to zdarzenia ogładane „na co dzień”, najprzejrzystsze i w tym można by upatrywać, co Klak określa jako „najprostszą upokę zdarzeń”, ową „*zwykłość* *codziennosci*”. *Potrządną* *one* *zarazem* *owe*, *kamradnie* *dispozycje* *autora* *w* *prozie* — *o* *których* *wspomnia* *badacze* *twórczości* *autora* *hulady* *hulady* *z* *prozy* *autora*.

I to są właśnie elementy wspólne prozie Czechowicza, tej znanej nam dzięki dotychczasowym zabiegom jego wydawców i tej zapomnianej, a tworzonej na slysk najmodniejszej, w której udało się pocie znaleźć istotę i nadną dydaktyki, jednak słowem — drapoty i niejakosi.

Czy istnieją inne jeszcze związki? Tradycje sordowad, nie znamy bowiem detaj takich tej prozy².

Wydaje się jednak, iż niejaki podobieństwo ujęcia i klimatu narracji ujawniają np. *Zasłubi* *i* *Mażkacz* *dalej* *Ziel*.

Nie wiadomo, czy tekst *Zasłubi* *został* *wydany* *do* *Wypisów* *czy* *nie* *napisywał* *specjalnie* *„na* *zamówienie”*, faktem jest, iż odbiorca pozostaw ten sam, a był nim sen, komentarz przy dźwięcznej. *Powstanie* *owo* *tekstów* *działa* *zalewów* *król*. *Niestety* *rozstrzygnąć*, *czy* *mały* *do* *czytelnika* *z* *przepracowanie* *tematu*, *ale* *podobieństwo* *wydaje* *się* *bezsporne*.

Wśród przedmiotów tu tekstów nie znalazły się jedynie te, które wprawno krytykizmie H. Z.; czyżby Henryk Zaślubi? Także więc i w tym sensie autor *książki* *rydzy* *szedł* *na* *od* *oczekuje* *swego* *badacza*.

Na zakończenie należy dodać, iż teksty przepiano morderstwą jedynie ich ówczesny piśmow. Zachowano chronologiczny porządek druku utworów.

Jolanta Kowalczykówna

¹ T. Klak, op. cit., s. 27.

² Tamże, s. 33.

³ Por. tamże, s. 28.

⁴ Por. swą T. Klak *zawarte* *w* *Nacie* *odnotować*, *tom* *4*, 466.

⁵ J. Czechowicz, *Zasłubi* *dalej* *Ziel*, „*Fiony*” 1937 nr 9, s. 258-261; J. Czechowicz, *Zasłubi* *dalej* *Ziel*, B. Kuleta, A. Osmański, J. Czechowicz, M. Kotabicki, *Wypisy* *polskie* *dla* *17* *latki* *tekst* *powieści* *z* *Wypisów*, *Lwów* 1938, s. 27-32.

¹ T. Klak, *Wypisy* *polkie* *dla* *17* *latki* *tekst* *powieści* *z* *Wypisów*, *Lwów*, opracował i wstępem opatrzył — Lublin 1986, s. 3.

² J. Czechowicz, *Jak* *grał* *wypisów* „*Fionysek*” 1935/36 nr 6, s. 87-89.

piawowcy? — odbrnę przysięgę w chwilę, aż do śmierci przysięgam
 nie być w znanym? zabójcy?...
 — Ha! Ha! Ha!

HENRYK ZASLAWSKI [JÓZEF CZECHOWICZ]

NOC BURKA

Chodzę senki i dremoska,
 lali, lali, cyt...
 Chodzą sobie kolo płota,
 lali, lali, cyt...

— Noc jest. Głucha i cicha noc. W chacie Wojeczka także śpią. Tyłko oddychać słychać w ciemności. W kacie, na końcu, spł Wojeczka. Na drugim końcu — Żonka z Hanką. Stały spł na skrzyni, na ogowym koburku. A pod oknem, na ławie, ma poskone najmłodsi, Tomek.

Księżyc zaświetla w okno. Blask wpada do izby sypialni. Wygląda to, jak dany, senkowy palec. I ten senkowy palec porusza czoło Tomka. Potem dźwignął powiekę. Wzrok kręcił się Tomką na ławie. Otworzył oczy, podał się. Patrzą po sobie i ślacha.

— Cyk, cyk, cyt — to ławecznak na ławeczce.
 — Ha! Ha! Ha! — to Burzek w ogrodzie szronka.

Spojrzał Tomek w okno. Widzi Burka na ławeczce. A ten ławeczki wzglądał jest na drugie łacie, że pias może chodzić i do burki, i po całym ogrodzie przed chatą.

Popatrzył Tomzek, popatrzył, nierzwał i znowu ukłócił się do ssa. I przystąpił mu się, że jest w szałnie i że wszystkie dzicie śpią w:

Chodzą senki i dremoska,
 lali, lali, cyt...
 Chodzą sobie kolo płota,
 lali, lali, cyt...

A tu wypada z kątów klasy Burki i zaczyna szronkać! Ale to się tak tylko śnią Tomekowi, ho naprawdę Burki piniowali objęcia.

Nielazła tu robota. Świdri sobie pias albo przy przed ławą, a w ławie w kwiatki. Coś się tam tropoczo, szronoczo, a głażcząc jakieś! Chyba że na drugim końcu są śpiący. Burki biega do kurznika, wy nadszawia, wpry — może zakradł się tam isczli-nicozna? Ale nie. Tak tylko, pokrótce się kokoski o grzędę i łabaną.

Księżyc świeci. Pusto dokoła i cicho. Czائم wylazł nazami w nagich jaci galnacak. Dermie Burki, ale jedno sso ma szasziwoc.

Teraz mowa w szałnie, co się dzieje. Kroyta gładka, który spł cicha. Nasz Burki biegać w te pędy do szalni. Ale tam nikogo obcego nie ma. Coś się karmia przyniło widocznie i dalszego narząd.

Burki wraca do budy, brępiąc ławeczce. O Tomka myśli, ho jego największy lubi spośród dztaci gospodarza.

— Spł sobie zobaczymy w ciemnej izbie i przesiąpi szronoczo do trasa! A ja tu marzuję marzę i piniowali dółki. Ale ość, trudno. Obowiazek!

Przyniódł tak Burki, popatrzył dokoła i podniósł oczy ku księżycowi. Zaskomilł po cichu, isby gospodarza nie obudzić.

Burki nie lubi skomleć i wyć. Tyłko, kiedy księżyc świeci, to coś go tak w gardle das, że trzeba trochę „zapiewać“.

Oh! Ktoś idzie!

Nasztył się pias, najciężki śmieć. Droga, za wrotkami, maczyścić kłot

istnie. Fakty pali. Ubrany jest ciepło, kij ma w garści. Uspokoił się Burki. Po szapach tylko pomału, że to strzał mowy z folwaraku. Jacony.

— Ale w objawie moje zniepokój! Światło poruchy widać otwoliwa, ho zaczęły się kręcić a obrzakał w wosion chwilkim. Słychać też, że krowka nie spł. I owieczki przysypiają się, beocia.

Biega Burki, ławecznem brępiąc i szronka, isby się usoiwały:
 — Ha! Ha! Ha!

Krowka przetrwa, przetrwała nad korzajem, aż odstrzeliła się. Świnię łęży w słoneczni, zaczęły owce. Spł węguski. Tyłko Burki czuwa. Piniow!

O poranku, gdy księżyc zbladnie i piny się tylko listopadowo szronoc szronac, wyjdzie gospodarz przed chatę. Pogładzi Burka po karkach, poklepie i powie:

— Poczniej piasek! Dobrze piniowali szronaci!

A potem przyciągnie Tomka i przyniesie przyjacieli śladnicie. Wycpę patrzy Burki na księżyc i na okno chaty, przed kłojem, na ławie, spł my Tomka.

„Przytocz” 1934 nr 14, s. 2 - 3.

HENRYK ZASLAWSKI [JÓZEF CZECHOWICZ]

NA DRODZE

Szły dzicie aż zszkoby i rozglądały się po świecie. Długo były ciekawych twarzy po drodze. Tu kapłanka drowszana ze śwyrzgn obłudnicem. Tam młod maza wierzba, co to jej szronko roku piniowali szronaci. A tam, skąd szły kłoty szły szlacha — pokrótka droga do Czerniowa. Bo te dztaci nie mały szkoby z swojej wosice, tylko do szpanidła chodwały.

A dalej, za kurznik, na szkrotem, to nie tak łatwo ście. Deszno jeasienne szpony drogi: nikt jej nie poprawił. Zeszła i przed deszczami była ta droga — podał się Burki! Ale trasa, to trzeba skazać piniowali szronaci, a na karmione szronaci.

— Ej, co to za droga — szonci Janek Witczak — co to za droga! Wazyciko jeden, czy po roli bym szonci, czy po niej, ale buty w bloce.

— A dlaczego jej nie poprawię? — pyta Jagnusia. Mało to, do trawiej klasy chodzi, to i nie bardzo wie, co się we wsi dzieje.

— Dlaczego, że widocznie w gminie piniowali nie mają — objęcia Janek. Zna się na takich szronach. Jego szronisty jest szonsty.

— Ale to trzeba ludzi do roboty, nie piniowali?

— I piasek, kamień! — dodaje Ości Cypjan.

— Akurat, bępcie ci kto za darmo robił, albo kamienie szonci!

— To i na piasek trzeba płacić? — pyta zdziwiony Ości.

Przyniódł Janek chwisł i odpowisła.

— Za szon piasek to pewno nie. Bo go węgusko dasz. Tyłko chyba za robotę się płaci. Piasek sam tu nie przysdzie. Trzeba go ukłopot, na fary szonisty i przyniód.

Idę dalej dzicie. Szoną to to, to tam. Oni podglądają się już ze dwa razy. Ale ta fura jedzie. Jakli nieznamy gospodarza, a dalsza widać, szłona na wzie i pod nosami szronocze.

— Będą takie drogi!

Kod stary i wchwisły szonę tę fary. Będzie w czarnej masi i wrodzie po kolosa. A szon słrzy, kolka chłopiaka, szonzącą się w blocko po osie. Taka to Jagnia! Nóg po nogę szonopiaka stawia.

Patrzy dzicie, patrzy i żal im się zrobiło kłosa. A Jagnia najwięcej żal. Bo i śad smieć kłosa. I adzaci!

A oza tak tego szlaka szonaci!

— A oza tak tego szlaka szonaci!

— Kto wie — powiada Janek — może by się i dało...
— Jak by tak wstąpił, z całej wsi, przyszedł z kopatami, a przywieźliby kamień i piasek.

— Zebymy byli dorodzi, to byśmy tak zrobili! — woła Olek.

— A pewno.
Idą dźwigi dalej. Przed kufem stanęły. Spadają do Czarnowa blisko. Jeniec na górki, a potem, przez gaj brzozy i most. Zaczyna na mostem stać pierwszy chwały wiadki.

Wipe idą dźwigi, idą. A wstąpiłby i jedym myśla.

— Ej, zebymy to my drogi budowali, to by nie tak była! — mówi Janek.

— A jaka?

— Równa jak szlak. Gdzie dotek, tam podopadłybyśmy ziemi. A gdzie górka, trzeba byłoby skopać trochę. Pietera nazywałibyśmy trzecim ogry i piasek, a potem dopiero brukowaliby się kamieniami.

— A ślad wiadki, że to tak trzeba!

— W miasteczku, w Białej Woli widziałem, jak ślad robili.

— I trzeba przy drodze słupy postawić z napisami. Żeby wiadomo było, ile kilometrów.

— A wiesz, Olek, jak się na takich słupach pisze?

— Jak?

— Tabliczka musi mieć dwie części. Na tej stronie od Białej Woli byłoby napisane: 9 kilometrów. Bo tyle już stanął do kufca. A na tej stronie, od Czarnowa...

— Trzeba napisać i kilometr! — zawołał Jagona.

— A nie. Bo to się nie pisze, ile jest od wioski do wioski. Tylko od miasta do miasteczka.

— To musi być napisane 17 kilometrów — mówi Olek. — Bo a ile kilometrów za Czarnowem jest Dąbrowica.

— Dobre mówisz. A na rosnących tuż by miały być słupy...

— Żeby wiadomo było dokąd jaka droga. Musi być napisane, która do Czarnowa, a która do Karolina.

— I jeszcze, no kilkadziesiąt kroków będą takie białe kamienie. A na nich oznaczy się metry.

— I będą słupy telegraficzne!

— I drzewa!

— I przejazd! A na przejeździe zrobimy tabliczkę: „Strzeż się pojeździ!”

— A kiedy naszą drogą fara przejeżdża, to tylko koleś nadznieją po kamieniami!

— Toż to będzie rucht!

„Płomienek” 1934 nr 15, s. 24—25.

HENRYK ZASŁAWSKI [JÓZEF CZECHOWICZ]

KOLEJNICY

Janek był sam. Siedział przy oknie i oglądał dużą książkę z obrazkami. Przed nim, na podłodze, stał drewniany wózek z dwoma drewnianymi kołkami. Te kołki owa były szrotaki i mały siew grzywy. A tak by nadzielił do góry, jak by na chwałki miały marcie. Śia, śia, ha!

Janek wie, że te kołki są dawniane i że nie ruszą nigdy z krypta. Ale, oglądając książkę, pstry na swój zaprzęg od czasu do czasu. Bo kiedy niktogo w domu nie ma, to nie wiadomo co się stało most.

Konki i wózek — to to sąsiada, a książka — od matuzi. Gwałtownie podarunki.

Siedzi Janek przy oknie i ogląda obrazki. Ślizze się. Na jedym jest pokazano, jak obywateli żołnierze jedzie w błocie z papieru. Jest także koncert

śia, i smok jakiś. Napiętoświaty, bo smoków nie ma przecie. A na jeździe mistrz obraca wózek, jak dzwonięta na łapie tańca.

Główni obrazki, to akurat jak są świąta. Są na słoń kolejnicy z gwiazdą kolorową. Gwiazda jest osadzona na długim drążku. Kolejnicy mają bunt otwarte. To znaczy, że śpiwają. A doteka świąt typi.

Spojrzył Janek w okno. I za oknem spływa śnieg. A co robisz konki? Świąt spokojnie. Tyle tylko, że by nadzieli do góry, jak by za chwile miały marcie: Śia, śia, ha!

Ak nie sta.

Wipe Janek znów przygląda się obrazkowi. Co by było — tak myśli — gdyby ci kolejnicy z obrazka teraz zaczęli śpiwać? I w tej chwili natychmiast kilka dźwigających słupów:

— Gdy się Chrystus wodzi i na świat przechodzi, a obrazki, czarna nos w jankolci przeniesienia! chłodzi...

Wipe struchlał na chwałki. Bo kiedy sam jest w domu, to nie wiadomo co się stać może... Ale spojrzal z ukosa na konki stoją. Posem w okno śnieg typi.

I zobaczył, że pod jego oknem stoją prawdziwi kolejnicy.

To oni śpiwają.

— Struchło nie ma — mówi Janek sam do siebie.

A kolejnicy za oknem śpiwają, i śnieg typi.

„Płomienek” 1934 nr 18, s. 24—25.

HENRYK ZASŁAWSKI [JÓZEF CZECHOWICZ]

CZARNY KRAJ

Dymią pod siebie porządnie kamizy fabryczne. Gdzieśkolwiek spojrzysz, wszędzie na horyzontach pojawiają się ościeki rozmawiania żelaznych wieńc szychowych. To kopalnie. A tam, gdzie jakrawo-czerwoty ogień snuje się w wieżach halach, wiadomo: huta.

Ładnie smół dymu płaciami opada na stalowe wieże, nakryte okrągłymi łechaczami — ogniosłupami.

Między kopalniąmi, hutami, wznoszą się ostrościami z czerwonej ogry płaczą się gęsto drogi i gościzki. Wszystkie ciemno od pyłu węglowego.

Ruch na nich wielki. Aorta ciężarów suna replami — wiozą towary. Z dźwiękiem dźwięków sygnalizacji przechodzą raz po raz hale wagoniki koleji elektrycznych. A ile rowosów! A ile pieszaków! I miasteczka białych prau okładaj, po gęstej sieci szyn, podążają pełne ludzi. Robotnicy schodzą do kopali i hali, wracają do domów, spacerują po nekary do mostu.

Dym parowozów, fabryk, kopalni miesza się z dymem wstającym z hal.

A haldy, to sąle wielkie góry rozlanych żelaz. Dymią te góry miobokawym, jadowitym chłodem. Powietrze jest tu niezczyste, najczystsze staroście.

A dółce rza komańdo i dymu spogłada na tę ziemię; praci, bogactwa i nadziei, smutku, jakby spogaso.

Praca bierze na Śląsku. Wszędzie to widak. Hak smółów elektrycznych, ryk lasagó helana, głośno pnieńców buchających w piecach hutniczych i ryk parująco się sad z czarną ziemią. A w głębi niei, w szwach kopali, jargoczą wirniki elektryczne, wrzbiarki i świdry, ściszają się grzmoty wybuchów dynamitowych, szurajągą rębnie maszyny, płużące ściegiem węgla od spodu.

To głozy pracy szubio.

Po such i po przemiłowym dźwięku kolejk podziemnych, wionących już wzdobyty węgla, porażają się ryce kopali.

— Nowot może pisać nie ustaje. Lasy stoją dokoła. Świat jest czerwonym dywanem nowoty. Wzroście światła, płomyki, ogniki, płomienie.

Miasta są tu tak blisko podobne jedno obok drugiego, że nieznają odróżnić strasno, gdzie się kłóse zaczyna a gdzie kończy. Szczęśliwie koło Katowic, Chorzowa i Hajdówków. Bywa tak, że niby to już się wyszło za miasto, już i kawałek jakiegoś ubożego pola widać, a tu, w polu, dom trzypiętrowy i sklepy. Dalej znów skrawki ziemi: omiasa wchodzi. A jeszcze dalej, o kilkadziesiąt kroków, syb kopali. Potem zwody płynące kamieniami, potem łuszczone male ogrodniki robotnicze, kasdy z szlarka. Miano północj pociągi puszczą się ływie w tych ogrodnikach kobacze. Tu i ówczas nielono jarzyc, tu i ówczas dale kwiataj obok stary.

Na ugnętych polach, przez które idą, jak gdyby wielkimi krokami, ruszowania sieci elektrycznej, rżyja nabudynka.

Łepkami grzebna w ziemi, wygnębiona czoł, tylko studnia, były się do węgla dostają. I kupa węgla. Każdy ma tu swoją własną, małaśka kopalnię. Łopata, kielis, skrzynki i wiadra na węgla, wawone kolowicie w zmieszem, dławiaś z byle czego skłosa — oto cały urządzenie tych „biela-ryżów”, kopali ubogich.

Pracują tam ludzie ciężko, zarabiają mało, budzo mało. A zapoś się nielona, że taki „biela-ryś” wali się, zapuszczając zrywch górników.

W miastach tamtych — łyse ryzki. Pałace z łyżami, takimi i beztema słońca się obok siebie. Są tu i dozy prywatne, i różne gmachy. Mają swoje pałace powięki przemysłowe, narządź kopali, sztuki techniczne, banki, kury i tak rwaśe domy towarowe.

W tych domach wszystko kupić można. W wielkich salach leżą porokładane towary, na każdym — omia. Radio pięknie gra, muzy łyadł chodzą po gęmach i kupują, tu pokonozdy, tam zabawki, gdzie ładniej materjaly blawone, gdzie ładniej strawa.

A najpiękniejszy chłysta ze wszystkich budynków jest gmach Sejmu Śląskiego w Katowicach. Ma pięć piater, a że stoi pośrodku placu, front gmachu jest z czterech stron. Z czterech stron, po wspaniałych, uosrochich schodach wchodzi się do budynku. A między się w nim nie tylko Sejm, ale i Urząd Wojewódski, i Muzeum Śląskie.

Ulke w Katowicach, jak wszędy i w Chorzowie, Mysłowicach czy Świętosłowicach, są na ogół czyste, rne i gwarne. Lięza reklamy i łosny, nigdyj ływistka łyry nad wejściami do kin, osnapii małaśka pada z wielkich okien domów towarowych. A łydwo się skłopi gdzie w hoczny skłonie, już urawia przed nami ogonyzy kornia, bośi albo wieszka ryżowa kopalni.

— Hak nielone dławiają, rzy parki garazy, gramażi ruztopionej metala, rzy ognia w piewach hitnitycznych. Nieustannie słydają je poponeż wraz miasta i poponeż dym łydzący na całej okolicy.

Taki to jest czarny kraj, Górny Śląk.

„Piensz” 1934 w 10, s. 208—210.

J. C. [JÓZEF CZECHOWICZ]

SYNOWIE WIELKOPOLSKI

Na niemiach Wielkopolski od wiosny łoczyły się wółka z niemińska narawa. Wólczęj z rąj budowosnowe Państwa Polskiego, Miastko i Boleślaw Chrobry, wólczęj też łyzi królówie i książęta, a nawet łyd cały, a czolno i kopelnyj ładnie jak słyby Dymnalski.

Był to łyój nie tylko o władanie ziemią, ale i o charakter kulturalny tego kraju. A kultura polska nad Goplen i Waryj była moczna warowna z Wielkopolski pochodził przeniej pocią, planozy łydławy szaryj, Opalidzi-ślad także wyszedł się wozowy król Stanisław Leszczyński, a także Ignacy Krasiński, łyłrego łyaki zna każde dziecko polskie.

Z romantycznej rżewiatki pochodził i w Wiosnowie, w ziemi pomorskiej spoczywa wielki twórca logosów, general Henryk Dąbrowski. Nad grobow-omą jego umieszczono w oknie witraż, przedstawiający Chrystusa Zmar-tychwałatego, ły Dąbrowski wólczęj, w Polska zmarłych witalni, żona z prowieki ływiałki szobiszca — rżobacz w ziemi wólczęj. „Jeszcze Polska łye zginęła...”

Długi, długi jest szereg uczonych i naukowców, którzy na wóchód od Odry uprni światło dżiwnie. Są w tym szeregu dżiwnaczkaro narodowe, rżebniarz, historycy, filozofowie. Na czele ich należy wymienić Stanisława Świątka, łyby chociaż dżiwnaj głybi indziej, to przenieki był system wielkopolskiej krazy omaz Jana Kasprowicza i Stanisława Przybyłowoskiego.

Ten ostatni był powozkiem, to mowcy, łye psad nie wierszem, łye przeg. Pocioswał też kilka utworów scenicznych. Urodził się w Łekwicy, koło Inowrodawia, a wóje w zakucie Kujaw. Pokochał amuzną niemią kawałką i ukroj jej wólczoskone opowisny.

Ale do najwyświekszych łydłm mod Waryj i Noteci należyk należy pocią, Jan Kasprowicza. Z wójej jęgi jest picią, dżiwnaj wspaniale. Urodził się w ubogiej rodzinie wójczęj, w Skrybnorze Włosa parka, wówaś nieszka wyszedł z rżpy, został profesorem, a potem i rektorem Uniwersytetu w Łowiczu. Młodoś miał gęty i chętny; o Polsce wółył. Niemcy wółyli go na Górny Śląk.

Forcij był Kasprowicem. W jego utworach jest wójej tektynko do prawdy, dżeba i rżekła. Jest też i wiele spowoszek z głybi kawałkami, z głybi rżobiszca; O niej to pisze:

„Gdy przyjdzie czas, gdy przyjdzie czas
odchoć od tych pól i łyk,
niebą pokłonyś, niebą pokłonyś,
niebą pokłonyś się w kraj.
O, Boże moji, o Boże moji!
Tak kłopot sąj wóldziejniny
dajeś mi wszystko, co moję
zapach tej drogiej ziemi!”

To prawda. I jest, i wószyszym synom Wielkopolski droga jest ta ziemia polczona.

Droga jest też sercu każdego Polaka, bośi ta pracośka kultura naszej i Polowa Polska kultura.

„Piensz” 1934 w 14, s. 14—18.

HENRYK ZASŁAWSKI [JÓZEF CZECHOWICZ]

JÓZIUK ZGINAŁ

Mroczo w łybie. Z zamaryłych okienek tylko tyłko szary się światła, łye stół dobre widac i rżaki dymiący na nim. Złoty odłbak ognia z kominia rżowicza chęnyj ływiznyj, przybrana palmami.

— Wansz co, Jan — mowi matka — trzeba będzie Józika do miasta pocią, wóli kopci.

— A nie już to w kooopieratywie nie ma?

— Nie ma. A do rzy trzeba.

— Na co? Tak pociąj.

— Biela, chłopak głyzioki zabawałocił się. Od rana ani szłucha, ani dżuda.

— Do lasa pociązi — wóla młoty Kaziśk — ale rano, niemięko. Wółyj rżojac; od staba, przynajmij się, na obrazy spojrzawcy. Potem do tyłka pociązi.

— Do lasu poszedł — powierzył — na, jak jego wicy nie zajędi. Zima sta. — Józka też — imaje się matka — musi u niedziadów gniećcie śniegi, sbo do wia Ławrynowicz poszedzy. Idź ty, Karzik. Poszedzy jego mat.

Kazidowś tyle tylko trzeba. Narzuci na siebie kożuch, podpasz się kracją i wypadz z łąby. W ich zakianku wiały tylko cztery gospodarstwa. Ale sie nachodził ani do Lewosów, ani do Pitników, ani do Bojarzewiczej Wadome. Głyby Józka in ty, jak panno by na obiad przyszedł.

Wyszedł Karzik na zwiniań śniegiem koczki. Uch, krypił Zydziuka biaś dnie, w tward biał, po śniegu śniegi. Do wia Ławrynowicza droga daleka. Trzeba iż kiedzy wędz na głwe, potem, kół trochę chnie skopyć: na lewo, ku gócinowci. Gócinowca przez Zwiłbelski i most kół staro myna idzie się do Bahanów. A tam, pod głwa, zmocila mata, przepły wód z jeziora do jeziora. Nad rzeczką stał chata wojowa. A wuj — zrimył człowiek. Przy gospodarstwie nie przysy. Wykładał spowic za niego robak. Czterech ich ma. Chłopy w chłopy. Sama wia i łąba siodła droga a znacziara. Świętych rzeczi z dzwona i kraczyki generalnie z Chrystuski fraziosie.

Kazik lubi patrol na i te roboty. Zóte, jakby kociane paloz waja tak zgrabnie rzezbą. A za każdym razem inajby.

Wyc kładł wpadł do łąby, zasz pod okno spojrzal, na warstowca, nim jenoś odjął empy barankowa. Ale wuj nie drzmił. Siedział z książką. Okulary bysytaszy nie na nosie. A prawy ręką miał owieszoną białym szmatką.

Ułtyssowazy szki drzwi, sprężal, szarył chłopya i uśmiechnął się.

— Nicch będnie pochwalony...
— Na wicki wieków. Anon... — O! i gość. Jakże żyjesz, Karzik?

— Nie siebie. Józka strakna. Nie był on tu?
— Nie. A ja! Bo ja tu, stary, w łąbie siodak, robić nie nie mogę. Dłuzsz skaczerł się. Dłuzsz, że ty przyszedł. Wiośnij będnie.

Kazik stał na środku łąby. Czapkę obracił w rękach i myślał znowu o waju, czy się znowu. Chętnie by został, ale proste trzeba Józka poznać. Do matka go chce posadł do miasta. A on, Karzik, za maty, żeby tak daleko sam chodził.

— Skądś — z przysy wuj.
— Pętko, maczy się, a kto Józka znajdzie? Matka jego potrzebuje.

— Tak wiesz? O! siodak trochę. Jakiś siodak, a jo łąba się w walski i kochals wiesz. Razem poznaliśmy Józka.

Wuj Ławrynowicz poszedł do drugiej łąby, a Karzik stał na lewo i, jedząc jidzka, patrzył dookoła. Obracy, palmy, jarwa w kapię — zępsio, jak a sioch. Tyle stały tu były. Kadoj sprzył w tym samym miejscu stoć co i dawniej. Tylko przy warstowicze cwar to coś nowego. Ostatni raz, kiedy tu Karzik nachodził, wuj swego patrona z wielkiego kloca wycośał, świętego Donata. A teraz pracował nad krajem. Krzyż miał być zdalocim i promieniami. Jaki był prawie wykościony, świećło nie malowane drzewo i pachniało na cały łąby.

— Matcz on w Chrośach, z Draganów będnie. Tani dziś wiczyorka i jenoż... A Józka na tacy och, jak łąby.

— Idzie do Chrośów przez jeziora
— Idzie, dzietaczka.

Postł. Wdalił smki sioł, przez zarośniki i obierczyk. Po niebie, niewym jak barana, przelocila wrona, spłoszona z krzaka. Sioś zmarszczył pod ich barana. Wdrócił trochę gócinowca, do mosta, bo stanęły najbliżej do jeziora.

Przy moście, gdzie się droga nachodziła, zobaczył wysokiego człowieka w grubej kurtce. Za plecami sterczała mu fazyja.

— Pagarbitusis Jezus Kristus! — odwrócił się wuj Ławrynowicz po lewosko. Ale pan Łukasz, strzelec, nie chciał wiodocimie mówić przy chłopya w tym jeryku.

— Na wicki wieków. Nu, jakże żyjesz, pan Ławrynowicz! Jak powoźnicia?

— Tak i żyję... — podali sobie rękę. — A waszaj? *(Zobaczaj stronę 71)*

— Jakien tam i żyję. Ot las i fazyja. A tobis, pan Ławrynowicz, śpij! Bliko Pana Boga żyjesz. Krzyże stawiasz. I ta tutaj figura twoja chyba będnie...
— Tu nie moja. Stara ona.

— A chłopoty twój, pan Ławrynowicz, aż
— Siostry, Sielmaszowiczowa, on Karzik.

Gadał sobie o tym i owym. O tytości i połowosim. A Karzik stał i na jeterko patrzył, gdzie, wiodł biał, obierczyk różnacy lodów czarny i sztykosiś odnosił się konie, szare i potaciezki. Rybaży. Chłopyc wprawył się w ten daleki rozrach. Może Józka jest tu? Może pomaga kama z krysztalów albo miazgosieli?

Ale kiedy rozosił się z Łukasz i ruszył na jezioro, zobaczył rybaków i bledka i przek odnił, że bęta wiodł nich nie było. Przewoził ochy promada. Jedni draganzi zdalozymy wybijali drytry w polozwie rżocze, inni przegadali pod lodem łąby, popychając je przez te własne drytry. Jenoż inni spowadali kokorów, koczim dawali obok, rzapałali gnozy.

Opornie stał długi kół pod lodem. Nieraz do wiczyora czaił zędnę i do kama z krysztalów, ale wuj sięgnął, że kokorowosiem trzeba wycośać. Ludnie nie pisałi nocy. A tyle ryb nagarna, że kokorowosiem trzeba wycośać. Ludnie nie dailiły rudy. Kępa się rybaży, wykręca. Kadoj w kochals, „pojesim” czerwowym przapazują. A na głowach czapy mają barankowe albo i zajęcze z naznikami. Słony po lodzie narozraczali i wiośno. Pracują.

Popatrzył Karzik dłużej, ale coby, moro doskierwa. Do Chrośów jenoż daleko. A tu już zmierzacha się. Zimowy dzień krótki.

Idź, idź przez jezioro. Cwarz niepotrzebny śledy jakiś. O! to ład przyszedł jak ptaszka. Własnie ktoś obuchem szarpnął głuszy. A tu — przyszedł. Na wędk, maczy się, lewici, na „kaczuszaj”.

Brzeg od strony Chrośów wysoki. Kadożkowi to nie, ale staremu Ławrynowiczowi nie tak łatwo wdrapać się na szkielec rżocze. Ale pomógł mu kij spkarty, pomógł i chłopyc. Wyził na wuj. Zakianek — jak na dźwi. Będnio już blycha w chatach, a w jodziej, najwiośniej, gear wesoły dochodził i brząk cymbałowy.

— Patrzaj — mówi wuj — ktoś kolo brzozy stoi. Czy to nie pijany?

— Może pijany — odpowiała Karzik — są drzewo śpiwazy się.

Podzielił biał, ale nie bardzo mógł rozoznać kto to, bo światło o tona było i siośa kryłak.

— Jakiś!
A Józka, błądy i ledwie żywy obedił twarz ku bratu. Był bez czapki. Włoy miał oprzane śniegiem, rząpy postkrojane od narosa, usta miaśiale. Nie mógł powoźnicie o słowa.

Wąj go pod pój — popowadził do chaty. Kiedy wszedł w drzew, matyka grał przemala, a matarka Paulina, kłosa pod piścom, przy sztykosiśach sielmasz, klaszła w dłoń i wykrykowała.

— Ach, Bodeńka! A co tam?
Zaraz obstagali ich wiczyry dokoła i dalejze rozprytwać a co, a jak.

— Wiadomo-co, przemarził chłopyc — mówi wuj Ławrynowicz — dawaj-je jemu co jęć i nie jęć jokośkie.

— Młody. Nie jęć nie będnie...
— Zataczajcie on z nami — pęgnaj kaczki z diewocym.

Poszedł Józka na piero. Siadł tam razem z bratem. A wuj Ławrynowicz przyswoił sobie stołek do buki Pauliny. Ręka skaczoćą krył polozanie, o dostrzeżenie opowiada. Kwa głowa bledka Paulina i na marynowosich barana. Wyc się akoczają. Jędnę na skrypkach przysygną, drugi na tryblichach. Bęgną drwianne palczki po strunach jak wje. Aleksandrowskiego wala nagali.

Młodzi takak, Pars na parą wrycy. Frazewo w powietrzu smocłodłowie spódnio sioło faldawosie, a powow powietrza porosła i zmęzłiś na obstrajni, tkane w czarowosie pury.

Wmoło zacyzysa się wiczyorka. Tęszę młodo, jaci i zapanosili o Józku, który się grzeje na piścu i opowiada będnę, co się z nim dzieło.

Podził nase do lasu, bo chciał tam słońca na łosie obejrzeć. Ale zaduska dęła takta. Je zbłądził i błąkał się do tej pory. Okazuje się, że smół lasami dokola jeziora si do Chrólwa. Foki były zarosła, nie wiedział, dokąd iść. Potem, gdy posiał okolicę, zmiruchowało się, a był taki zamocny, posmarany i głodny, że już nie miał siły si. Żeby go nie madałsi, to by był zaszarł pod tyś drzewem.

— Na, jak ty Janku? Ogrrał się trochę? — pyta wuj.
— A ja! Ale si nie ma.
— Nic, nie, dzierotko. Oo, babka Paulina na wiosnę do Zwińbelanki jedzie. Zabierze nas. Polez jomczu, na zabawę popatrzą.

— Ej, potowierzyli Janku. Przewiś jej dudy jony. Ma coś szumary, a wywról jak łwercy. Tyłus je si nie ma i nosze je jomczu trospe. Wio je ciubę z potowid, co go babka Paulina dała chłopcom i parzy. Karków tak parzy.

— Potowidki były zasałsi na ławie męczyzma, a dokola niego stąpeli tamozem. Dziewczta wołaje: Jancze! Jancze! i skłakują w jony szodzący na ławce „smoka” różne swoje skarby. Jedna pokrzyła pierścionki, inne — wstążki, inne zaś — szewry pasionczki, chusta, zapki do włosów. Kiedy kulała szłoży smokowi jakis dżu, wołły się za rono, stały kółem i zapiewały.

— Sładzi, sładzi, Janczuru, Łada moja!
Na szalosz krewi, Łada moja!
W czerwonej szdicy, Łada moja!

— Sprzewę, pląsły wosło. Potem, przy ławie parowce jony, oddawały Janczuruw szkie pokazy. Każda spiewała osobno, a tamozem starał się szoziniżer dzierzwicy. Kłera się zamienila, był ławo przewozi. A to, które pomozły odpisywały, co naślakło, oztyrmywały z prawosł a rak „smoka” swoje wstążki, pierścionki i pasionki.

— Nawil się wosło. Z szumichem parzył na się zabawę swj Ławynowicz, a Jankowski i Kozłowski si się ozry szewry.
Z chary, w potowidzi wosło, moos si melioda odwieczna:

Janczuru, pasionku,
oddaj mi wianoznik
kży mokr szablina,
smoki, szuki niezabie,
pokł wianoz mroba...

„Pomyś” 1938 nr 38, s. 79—83.

HENRYK ZASŁAWSKI [JÓZEF CZECHOWICZ]

NA PRZEJEZDZIE

Za wos, pod ławę się przejazd kolejszka. No, a przy tym przejeździe, jak zwykło, stał buszka. W buszku siedziało dwóch, pan Ignacy, z szpiemem Teodorem, a na Teodora wstąpiły w szkie woławy Teoś.

— Teoś, koleje gwałtne! — mówi dala Janka z czerwoj kłiny.
Chłopcę spogleda na szkie szłoty.

— Aha, wpał do dzimiaty. To towarowy jedzie do Bzełku.
Bo się wosporok poogła ma. I wos, jaki podog o kłinyr podziemne przemochi przez Martianówkę. Tyłko teraz, kiedy moos szosł szonog, a szłony pokryły wosytoko, jony trochę zamocni. Czasem gwłdnie parowót o 12. Na tego, si z owego. A to szospieszni do Kowla szpłoli się z powoda szimnych szop.

Ojciec Teośa szczyko przemaj, że swj podog ma przemajdł. Żeby jakta fura albo ciłowik nie wpał pod koka.

A raz to było tak, że autobus się szpwał na szumny przejeździe. Ciętki był. Nie można go było szpłodzić dale.

Wio pan Ignacy szamachł chorągiewką i zatrzymał podog. A tymczasem szpowiedzono z wsi kowce, aby odciągnęły autobus.

Wio Teoś chwasił się w szkie.
— Wosie, szój opłot to jest taki wioły, że moos podog w biegu zatrzymadł.

I wstąpiy ławiają się, bo wiedzia, jak pan Ignacy zatrzymaje podog.
„Pomyśk” 1935 nr 28, s. 104.

HENRYK ZASŁAWSKI [JÓZEF CZECHOWICZ]

O BAŁWANKU I O SANKACH

Jank i Jasia lepli bałwanka. Nie na podwieku, ale na ulicy. Bo tu, na Starym Mieście, szłak si spokojnie. Wio czy szamochł trzadki kłiny przemochła. Tyłko dzwony w kolicior dzwonia, ław tak cicho, że szłak, jak gółbie odzwęgał się na śladu dżona.

— Gr... gr... gr... hu...
— Mama Janka i Jasi dala im trochę jedzenia, wioje gruchają. Ale chłopczyk i jego szostra nie patrzy w góły. Bałwanka lepią ze szłoty. Ułoczyły wielką kłak, poszem dżona, marzycza. Za drugo, to byłdnie głowa.

Bołok bogosy ołk, Ręce „szabła”, bo ma szimno. Zobaczyl Janka i Jasię, wioje szkrył się na rogom uloski. Kerykwał a k-u-ku!

A gółbie gruchają gr... hu... gr... hu...
Ale dzieci zobaczony Bołka. Tót to zaczął się zabawał Bałwan w kilka minut szosł szokozony.

— Gółbe ty teraz szmochka! — pyła Jank.
— Na ulicy Fabrycznej, Ojciec dżont robotę w odwieci szłaza.

— Ładnie tam? Wosłde?
— E, tak sobie. Fabryki dokola, kowiny. I koleje szłotakie przemochi.

— A gdzie się bewier?
— Przyjadłce. Zobaczyłce. Ulica Fabryczna 44.

Wio je drugo dzieć, po kłakach, posmoł Jank z szostrynką na ulosy Fabrycznej. Wawoziar nie posoł, pojedali autobusem, bo to dala.

Autobus jedzie, trąbi raz po raz.
— Tu... tata...
I szmowozem szpiałem macha z bok. Kłiny chce na prawo szkierci, to macha z prawej strony. A ten szpwał wygleda jak masa, czarnosy rakica.

Wosłde przyszołsi.
Dżwone to było. Gółbie nie gruchają, kołocły się dzwony. Za to raz po raz szmowozem gwłdowały szłak blisko.

Trzeli na zabawę. Bołok jedził na szankach po szromy szłoty. Zobaczyl ich, zabral na szuki.

Zjedłłsi w widziak szłoty. At wazł szosłsi w szank i szing przyskł pod nog. Kłiny szpładli po raz szoty, Bołok jakol że szkierwał. Zmiasł trosz w prawo, szmochł obrócił się ostro i szłocył tyłem szładłak po pochylko szkie. Szanku było co szmaram.

— Ale było też i trochę szanki. Bo szuki szłotyry o szup ławari.
— Oj! — kzyknęła Jasia i szpłala w szup ławari.

— Oj! — kzyknął jej brat i rzucił się, by się szosł. Ale szostrynkaj się i szławozł opadł na szup.

— Oj! — kzyknął Bołok. Lecz takle nie mołgi sztrzymać równowog. Bo wpałsi na szmowozł szok. Z trołnem wosłki, trzymajł się ławari.

Wosłde było na Fabrycznej. Jancze wosłsi na Starym Mieście przy łpewia bałwanka. Tyłko moos trochę szpwał w busz.

— Ale co tam moos!
„Pomyśk” 1935 nr 22, s. 136—137.

POMOC

— Co tato będzie teraz robił? — pyta Wasok.

— Idę na słońce. Treba się odgadnąć — odpowiada ojciec. Waska.

A taka jest między nim uwowa, że jeden drugiego pomaga. Matka Waska uważa, kiedy chłopcy tak myślą. Węze ojciec pomagał mu zbierać się i mył. Teraz Wasok ma dawać jej lat i jest w trzeci klasie, ale jeszcze czasem trzeba mu pomagać. Z rachunkami nie bardzo daje sobie radę.

Wasok pomaga ojca. Są na stróżowni, wzięli i brzozy trzeba pisać, i schody sprzątać, i o słońce dbać.

A teraz ojciec ubrał się w kożach, podpaśł, znalazł flikowe buty. Wasok też się ubiera czupki. Biegał łopaty domowymi, także do odgarniania łopaty i dalszej — na ulicy! Te łopaty są najczystszej jensom, Ojciec — wzięła, Wasok — wzięła.

Skrypy, skrzypp — odrywają się łopaty.

W miare jak Wasok i jego tato posuwają łopaty, wstają przed nimi zwal śniegu. Wygląda to jak biała ślana. A oni pchają je dalej, aż do brzozy chodnika, gdzie już zakrzewiony świt każeło.

Śnieg, którego tyle przez noc spadła, kaszankę poprzecz do Wisły. Gwałtownie kaszankę zamraża się w kępki wody. To woda spływa do morza. Gdzieś, o obcych brzożach wysypuje, wstęży czarując. Kaszanka przylecia nad nasze miasto.

A wstęży znów spadła śnieg. A może deszcz, bo wstęży blisko...

— Waska, a uważaj! — jarmię ojciec — może kto się dołżył śniegiem, a ty je w żmaganie zgarniasz.

— Kto by tam dziś tyle pisał przy gabli!

Zas rezu ślicy wychodzi polojank, dziankowy Bakerek. Petry paa Bakerek, patry i mówi:

— Aż miło, kiedy się ojca pomaga!

A Wasok struga do ojca, bo paa Bakerek nie wie, że i ojciec pomaga struwać.

Skrypy, skrzypp — słychać łopaty odgarniające śnieg, puszysty śniegiel.

„Piosenka” 1935 nr 25, s. 184.

HENRYK ZASŁAWSKI [JÓZEF CZECHOWICZ]

RYBY I RYBY...

— Błogosłań śmiecia to nasze Poleśce: Mota i Mota, woda i woda, ryby i ryby — uważał dziadek Hryca.

Toteż Hryc pamięta o tym dobrze. Tota pojedział całoniem na ryby. Dziadek i matka idą do mateczki ryby sprzedawca. Na obiad była zapa z ryb. Dzieci bawią się nad brzożem kałoty w łowienie rył. Ryby i ryby!

Hryco też się bawi. Wydołzył skądś podłaty kawalek śnieg. Cięplowie zaprzęga go w matra, naprzęgnięta woda. Może co wyłowić?

Na tona miedziwo słowik snaga, tak wielkiego jak Hryc. A Hryc jest dąty.

Ma ciotka Ica.

Zapukał Hryc swoją sieć w wodę i czuka. Rogulała się dołka. A co jakiś czas poprzec na kabale, czy się co kolo sieć nie rzuca.

Jak poprzecł ku lasowi, widać: dziadek i matka idą do mateczki. Jak poprzecł pod słonec, na jezioro, widać: tato ryby kowł na podrywku.

Son w kold, cały kado, ho ma na sobie parzanie szreńsk, tak samo jak i Hryc. Mówi się, że one bałe, ale naprawdę, to nie bardzo...

Tato podnosi sieć. Auk, jak rzucają się w niej ryby! Przy słonecu wydaje się, że są to srebra i złota. Ojciec wyprzedza je z siłką i układa w ciotkę. Chłopiec wie, że w jeziorku są szczyptki, karasie, mięgoty, łęty i różnie, różne jezonce ryby.

Ryby i ryby!

A może w siłce Hryca też już coś jest! Na pewno! Bo się woda marnuje, jak by tam w głębi coś płytało. Nowielka gęś w tym dołku z wody, ale zawsze — co to! Wciąż Hryco śmie, a w niej ślady! Duda, trochę zielona, a trochę taka jak brzożnego kolera i od spodu biała. Czy ma wyplątać!

Hryc wyprzedził ją z posuwaniem do wody i na nowo sieć zastawia. Kto chce ryby rybakom, musi być cierpliwy. Nie śpiesz się raz, śpiesz się drug.

Kawki chłopiec nad kałuta.

Czeka. Może się coś stać.

Pracnie dziadek mówi znowu:

— Mota i Mota, woda i woda, ryby i ryby...

„Piosenka” 1935 nr 34, s. 120-121.

HENRYK ZASŁAWSKI [JÓZEF CZECHOWICZ]

TOMKOWA KOLEJ

— Proszę pana, co mi widać ładnie...

— Proszę pana, ośa mnie może kłębem...

— Proszę pana, zapani przesuwać...

Takie to głoby słychać na kłębach robot. Ale wnikroł dziwni powoje w miedzianą, z zapalen. A Tomek Winarskiy, to świata Bolego paa robotarzi nie widać. Winarski co kto kłęb, przybił, wywarł, majstrował. Ma do tego talent. Co prawda nie najlepiej się tym wychodzi. Zawsze raz coś dolega. Albo drażna wędzić mu w dół, albo nót na palce chwyci. A teraz Tomek chodzi i obśmierzawia ręką, bo randał sobie na gwałtowny skłoty na nadgarstku.

Ale to nie przeszkadza mu w robotie. Władnie namaz z Zosi Zawilanką i jej bratem Młkiem kłęb śmieć puchofu. Bo do słołowego skłębka spółdzielczego potrzebne są puchofa na stołowi, na gumki, na lity i inne drabac łopaty.

— Tomek — mówi Józio — co robisz po lekajach?

— A co mam robić. Do ojca pędzę.

— Jak tam twoja kolej?

Tomek nie odwołuje. Uważa się tajemniczo. Każde roku skłębego już blisko. W szkole będzie wysawa prac dziwi. Opieść tego, co każde roboto podczu maży, może będzie wystawiał i domowe, dwaście prac. Tomek, jako maży w całej okolicy majster-łębka, postanowił ożenić wszystkich. Ożenił, że zbawie kłęb. Węze niedojdno-ciotkowi co to ma kole, jaka, czy będzie sama jednolita i czy to będzie tylko parowoz czy też cały podog. Ale Tomek nie opowiada co i jak.

— Zobaczycie — mówi.

A Józio, który też lubi strugać, ciąć i pisać, najbardziej tej koleci ciekawo. Cót, kiedy Tomek jest jak z kamienia. Nie chce go powiedzieć.

— Dyrł, dyrł, dyrł! — zaburzał skłębki drzewek.

Roboty to strasznie lekko. Dwaś zbierają nępczyna i układają je w matki, po czym wychodzą do klasy. Ica tam, aby pomógł się i widać książki! W sął zostali tylko Tomek i Józio. Oni opowiada się tu słoń i mazaż ją oprowadzował. Zbiemaj śmieć do kosa, skierają stoty. A tymczasem z klasy słychać przez ścianę chór dziecięcych głosów, kończący modlitwę.

A teraz parami idą do furki. Widać to przez okno sął. A teraz z barki

rozbiegła się dziesięć, jak trzęsączka skrzydlana gołębie. Biegała — prosto w stronę. Do domu. Do domu!

— Tomku — błaga Józek — tak bym chciał zobaczyć swoją kielę...

— Ha! — mruży Tomek, czy to rzeczy tak, czy nie...

— To pewna piękna kielę! — pochlebia Józek.

Tomek nie odpowiada. Chwyta kocz od ziemi i zmieja go do kąta, na właściwe miejsce. Ale z twarzą zdziwioną, nie radzącą się. Może...

— Tomczuku, drogi, drogi Tomczuku, może ja ci co pomogę przy tej kiele...

Ale Wisnarczyk mówi się rachmistrzy. Przypomniał mu się, że w stronę rzeki nie mógł sobie dać rady i ojciec mu pomógł. A woda!by sam robić.

— No, gawoza — rzekł i spojrzął po sobie. Pozostał i ostatek był wosrowe. Zosknęła się, kłacz oddał wodnemu i wzięwszy książkę z klasy, wyszedł ze szkoły.

— Tomczuku, nie pokazuj! — przycisnął się mów Józek. Z głosu można było poznać, że goście się rozplakali. A Tomek nie znowił też. Wszyscy by oddali, żeby tylko przy nim był się sam cały.

— No, dobrze — powiedział — pokazi ci. Tylko niekiedy się mierzadł i żebyś się nie stała, bo aciekną ci i łzy zobaczysz, nie kielę.

Poznałszy stare oczy Józka. Choć młodość od kłoni, dzielnie nie dotrywał się kłoni. Sześć droga nie w stronę mieszczka, ale ku lasowi. Tam, pod cienką ścianą sosn, krzyżowało się z drogą tor kolejowy. Przy skrzyżowaniu stała szalowana biała dróżka.

Stary wisnarczyk właśnie otwierał przedział. Widać dawał jeszcze się tutaj stary dym po podwoju, który dopiero co przemiął tędy. Dróżka, wysoki i burzyszy mężczyzna, z czerwoną chorągiewką na cholewie ława, pchał drzewo budki. Chłopcy weszli na nią.

— Cóż, kolego sprowadzić! Chcąc ma nasz sekret wydać!

— Tyko żem. On niekiedy się powie co i jak. To swój chłopak.

Józek wspiął się po budce. Nagły to nie był. Indełka była mała, z jakimś wyhodowaniem na tor kolejowy. Obok okna była ława i stół, nad stołem wisiały czworościenne zegarmistrzowskie goździki. Godziny na nim były takie same jak „człowiec oczy”. A cykał — aż się rozlegało. Na ścianie, przy zegarku, wisiał rozkład jazdy podwojów i jakiej rytmiki parowozów oraz wagonów. W drugą stronę były też pociągi i stoki. Na stole stały latarnie.

— A gdzie to kolego? — zapytał Józek, który to jedno miał na myśli.

— Właż! Tomek ukłonił i wywołnął spod ławy swój szkieł. Ostrośnie ukłonił to do stołu.

— To? była to deska szeroka i długa, prawie jak ta ława, na której ojciec spisał. Na desce były ostre sary kolce, maliniki, ale odrobnie jak prawdziwe. Ułożone były na próbkach z desek. Miały ruchome zawieszki, smażarki — kawałki wszystkiego co należy.

Żeby już do smażki stała towarzysza, Tomek odwrócił wielką smażalną stoła i zaczął z niej wyjmować kolejno wosrowe osobowe i towarzysze, platformy, węglarki i wrennie chłobę wosry — dwa parowozy.

Józek tylko oczy się świeżył od tych osobów. A kiedy Tomek od ław nakrył, pokazał i parowozik razny, ciągnący za sobą wagony, Józek wspiął w zachwycie.

— O rany!

Niciego podobnego dotychczas nie widział. Podeszł zaczął obaj wszystkie sprawa, odzwiała, poprawił... E, był to zabawa!

— Była ładnie mała co oglądała na wystawie — chwalił się Tomek.

— Pewnie, pewnie... — potakiwał Józek. Inny był równocześnie, że on sam nie takiego nie wyczuł. Bo Tomek ma ojca. Ojciec mu pomaga i w nieobite i w kapturze, co potrzeba. A Józka ojciec już trzeci rok na ostanizku leży, pod ligami. Wepatrzył Józek na staroego Wisnarczyka. Dróżnik siedział pod oknem, a tor spojniał, i fakił pytał. Miał fajkę tak sama, jak tato Józka. I naraz, przy jej wspaniałym kole, przy tej ślicznej zabawie, zapłakał rzewnie smutny Józek.

— No od tam, chłopce, co ci się stało? — zapytał dróżnik przydługim małym do siebie. A Tomek nie wiedział, co robić. Nie mógł na try powie...

— Co ci to? — dopatrywał się Wisnarczyk, odwrótywszy fajkę — co ci? — I głazki chłopców po głowie świeżymi, sprawaćwa dłoń. Józek trzął się od płaczu. Wrennie, chłopce, zaczął bkać:

— Bo tato nie żyje... i na wystawie nie będzie nie mojego...

— Dzwiedził się jakos stary dróżnik, co na wspaniałego nieobczony-tato z wystawą i rzekł do stary:

— Wiesz on, a jakbyś tak i koleję robił byś dwoje?

Nachwycił się Tomek na dźwięk. Niestaro to podzielił swego majstra. I to z kłom, z tym płaczącym małym. Dobry to chłopak, ten Józek, ale nieważ...

— No, zgodzi?

Tomek patrzy na kochaną twarz ojca, na zapłakanego Józka i wyciąga rękę:

— Zgoda.
„Przekł” 1935 nr 34, s. 205—207.

HENRYK ZASŁAWSKI (JÓZEF CZECHOWICZ)

PRZYGODA

Popołudnie było gorące, jak i cały dzień majowy. Na meście ciepło było od rozpalonych śmieciowych kamieni, a chłód ciągnął z dołu, od wody.

Szeli we siebie: Ronek, Władek i Marcyja. Ona, że to mała, w trofku, a chłopcy po bokach. Ronek trzymał siostrę za rękę. Władek tylko siedł obok. Rozmawiali o wszystkim i niczym.

— Kajak! Kajak! — zawołała naraz Marcyja. Podczas gdy chłopcy rozmawiali, ona cały czas patrzyła na Władę poprzez brzoję mostu. Przystąpił wreszcie i popatrzył w dół. Spowodują filowce mostu wplywały trzy kajaki. Siostry lekko po wodzie, która w tym miejscu była płytka. Puch dwa to cenniejery, to jaśniejszy wylądował z góry jak mała. Widać było nawet, że jest pomaranczowy w łódce, podobnie jak powierzchnia wody. Ale nie było to tak ładnie płytka, bo kajaki mknęły nie zatrzymując się na miejscu. Półki płynęły w kierunku mostu, wydawały się żółte, ale gdy weszły już na słoneczną przystań, zapłonęły w biały porobobobob jak śnieg. Długo widać było kajaków i po oddaleniu się kajaków od niej można było poznać wszystkie błędniki.

— Dogoniliśmy? — pyta Ronek.

— Może. E, chyba dogoniliśmy. Tytko, żeby nie było daleko...

— Bo Władek świeżo pływ. Mieliska na Powislu, całe lato spiznał nad wodą. Inne pływali na osierze spocobów. A jak szarżuje! A jak szarżuje! A jak szarżuje! Zostają jego przyciącał też pływacze, a w sławkach, kto wie, może ma dorobienie. Widać że Władek i wiodował umie, a Ronek jeszcze nie.

Zaczęli z mostu po kamienich schodach i usiedli nad wodą.

— Warto by się wykąpać — mówi Ronek.

— Śwarcie! — Władek już odjeżdżał powok.

Rozmawiali się i do wody. Najbardziej burzawokawał trochę kato błędn stojących przy brzegu, potem, parującą i pociągając, potroby dalej.

Woda była ciepła i smaża. Jak wyciła po pobudzie.

Jak przycięli ostrymi rękami rak rozżawie, wodę, odgarniał ją i zaczął tak, mając pod sobą głębie, a nad sobą pogodnie, roznieścione niebo! Rant, dwa, rat, dwa — chłopcy płynę ku rzekom, ciągnący się potrodek rękci.

— On i pisał.

— Gdzie miał! — woła Ronek.

Biegają po wysepie jak szaleni. Jeden drugiego dopada, kładzie dłoń na głowę i mówi w głos. Kiedy w biega zawracają na miejscu, pianek trykła tu spod stopy. Wzruszenie wywrócił się obok, zdyszany, zmęczony, ale szczęśliwy.

— Ooof! — krzyczy Władek, patrząc w niebo. I sam nie wie, dlaczego tak krzyczy. A to tak z radości, z pyśnięcia, z bijania. Wyci i Ronek krzyczy: — Ooof!

I idąże mu się, że choć odpowiadają. Wyciły słuch. Ale nad wodą sładę głos nie taki jak od sucha. Taki, jakby dźwięk płakało, i Ronek zrywa się z pianka na róbnie nogi. Gdzież się Marcysiak? Biega przy lódce, gdzie ją zostawił, już pusty. Dalej stoi stasek i jacyś chłopcy się kąpia. Ale gdzie Marcysiak? Władek też stanął. Śmiecie oczyszcza po brzegach.

A Marcysiak płyłby stróżem rzeki na swojej lódce. Wzosta w nią, gdy chłopcy pływali przy brzegu i zamierzali wrzucić ją w wodę. Chciała rybkę łowić. A ta lódka nie była przystawiana. Linka jej zaczepiona na słupku obok domu była dość jędrą. Czy wariat miałby to linkę, czy sama się obrabiała od kobrynia fal, dość że lódka Marcysiaka powoła wyciągnąć na przed ręką, a z przodem szybko pomknęła.

Ujrzał ją wronnie chłopcy.

Bez słowa ruszył się w wodę. Teraz to nie było to samo, co droga do wypły. Chodziło o to, by ustawić Marcysiaka. Bo jeśli lódka powinie woda na faliż mości, to nie wróty!...

Płynął. Władek, silniejszy latarny, wkrótce wyprzedził Roneka. Cał wodę całym sobą, że tylko serwaga trójkąta rozstawała na nim, jak za starciem. Ręce i nogi same składają się i nerwidają, jakby w chłopcu jakaś maszyna pracowała. O jakiejś i smutny za się płynął Ronek. Z przodem nie tak trudno było się poruszać. Ale lódka z pływacz Marcysiaka była jeszcze dziwnie. Woda smazała chłopcom na pianażkach i w smażach, gdy zamieszanie powiła naprzód.

— Masz dopłynąć! Masz dopłynąć! — z zawziętością powtarzał w duchu Ronek. Bo, co prawda, to wyszło było przez serce. Jakże mógł tak zostawić małą mościznę bez opieki!...

Raz, dwa, trzy, dwa — ślad ich prędy wodę jak nożem. Płynęli szybko i sprawnie, ale Ronek już czuł zmęczenie.

Wzruszonym brzegu zawieszono, co się dzieje. Gromadki ludzi stały, patrząc na bohaterów wyszki chłopców. Oni sami nie bardzo zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje. Ale z brzegu widać było, że lódka z dziecinie woda znowu ku piaszczokom, który pracowali szalenie od mości. Piaszczak już zawasyli to i zrywali się do zatrzymania lódki. Jeden z nich, pełnogi, obkryty męzką, wstąpił w wodę, sztych drog z hakiem, stanął na dźwiżu barku.

Gdy lódka Marcysiaka przepływała obok, zaczął kląć i okazywał się. Udało się! Po dwóch dniach wycieczki siedział na barze piaszczak. Jezucie sfochała, nie już rozgadali się wesołą dokoła.

A wzniesie i Władek dopłynął do barku. Chwycił ręką za burtę i spojrzął na siebie. Złapione, niekiedy wyciły przesadzają ma parzeń. Odwrócił się i szedł przystojnie.

Ronek był o kilka metrów zaledwie, ale sily jego wyczerpał się już całkowicie. Jezuce zrobił kilka ruchów sztychowymi rękami i naraz zmknął pod wodą.

Władek podał lódki i dał murka ostro, kierując się ku miejscu, w którym miał przystać. W szalowanej wodzie ugrzał go, poruszającego bezwładnie rękami i nogami, ale pod wpływem jego ku poruszaniu. Chwycił go wzdół i tak podtrzymując, wyrzucił się z wody. Kilka ruchów piaszczak. Jezuce, Jezuce. Oto ciemny cien barku piaszczak. Oto ich sily rozp...

Władek i Ronek siedzą w barze. Oddechają ciężko. Ronek śmieje Marcysiaka za rękę i mówi do Władka, z trudem łapiąc powietrze.

— Ale z czego pływali? No! No!

„Piosnek” 1935 nr 35, s. 235—238.

J. C. [JÓZEF CZECHOWICZ]

NAJWIĘKSZA STOLICA

Londys, stolica Anglii, to bardzo drzewna miasto. Przed wszystkim drzewa, że często pamięta tam mgła. O tym wierszy widać. Ale nie wyczerpił wiadomo, że to mgła jest tak gęsta i ciemna, że nadekdy życie obywatelstwo miasta zamiera. Trawnie i autobusy wloką się wzdłużem drzewa powoli (gdzie by miały nagle, musiały by było powiadzić, że „została nas mgła”). Nadekdy przechodnie świecą sobie latarkami elektrycznymi, słuchając się po ku chłodnikowi po zakrytą chodnika rozpoznając ulicę. A latarki noszą ze sobą nie takie, jak my, bo to nie są nie by się nie udawa w londyńskiej mgli. Ich latarki, to reflektory sporne, takie, jakich używa policja.

A kiedy mgła opadnie, najwięcej miasto światła przybiera swoje zwykły wygląd. Tęże ludzie idąca się w śródmiastu, przechodząc się przez plac, między tysiącami samochodów, trawniejących autobusów. A że autobusy są dwupiętrowe, to znaczy, że mają ławeczki i na dachu.

O że w środku Londynu sre prawdziwe piękno podpiętko, balisza, agielka i żurka, o tyle sutki i tylnice dających jego ulic robią wrażenie martwoty. Stoga tam denty jedno- i dwupiętrowe, nagiętne jednopiętrowe, z facykami. Podobne do siebie tak, że gdyby nie zamury, nadekdy byłoby kogoś radości. Przed tymi domkami są ogródki. W ogródkach kieliszki, kolców, słonek. Czasem fara widać jakiejś jurny, czasem ślubów przesłanie się przez ulicę. Posa tym ośm. Ot, jak to na prowincji. Tu mieszkają londyńcy.

— Ale w śródmiastu kipi morze głów. Tam to wzrosną się barki i hostele, gędky kłosa, kolców i magaryz towarów. Tam to wyczerpani, od cery boła od wdrągających, ruchomych reklam, miewających tlicz potokami światła elektrycznego i neonowego. W jednym kącie placu krępa się światło kole, każde innego koloru i każde rozmiarów dwupiętrowej kamienicy. A ustawione są na 10-piętrowych budynku. To reklama kana. W innym miejscu miejsce także odnie w światła okręj — reklama stacji wiatry. Gdzie indziej mżów, na frontie wzdłuż gmachu, przybłądają ogromne liny. To światła gania. Czują ją słońce.

— Poluje znowu goni ścierpocierzołstwo powodzi.

— Samochody Arabów to najlepsze angielskie samochody.

— Krok! wojenne miasto Abisynią a Włochami.

— Wiedziadło przepiastuje się ogólniecznie.

Kto spojrze na dół placów i ulic, ujrzy mnóstwo sklepów z lastycznymi szmatami od jęgo piersi aż do samej stopy. W sklepach — wszystkie bogactwa kraju zamożności, bo prowadzi nie ma takiej całej świata, w której nie byłoby angielskich posiadłości.

A pod namią, na głębokości kilku metrów, gran Londynu powry jest tunelami kolejk elektrycznej. Aleby 8 milionów mieszkańców miasta mogło swobodnie poruszać się na tych obieranych przemierzaniu, nie wystarczy komunikacja na ziemi: trawnie i szynobusy. Co 2 minuty przez każde staję kolejką podróżnej przedlatują szybkie, elektryczne pociągi. Ale i tego mało. Jezuce gędkiej przetrębia sily szynów drugiej, podziemnej kolejk. Schemat się tam ruchomymi schodami elektrycznymi albo zjadają się dźwiżami. Aby nie tracić czasu na przystankach, w dźwiżach jest urządzone kasa. Kasje jedzie razem z dźwiżem w górę i w dół, sprządzając biletu do kolejk.

W śródku miasta, pod pianem Picadilly, istnieje coś miasteczko podziemne, ze szpitalami, restauracjami i kłami. A i tu ruch jest niezmieszny niż na powierzchni. Wzdłuż obywatel policjanci w białych opanczkach kierują potokami wozów i pojazdów.

Nawet na rzecze Tamizie, przecinającej miasto kilkoma zakrętami, nie ma stopki. Statki towiarne, holownic, motorowki i łódki sportowe odbywają hurtami płyną w przeciwnych kierunkach. A równocześnie kłosa wozów, samochodów i autobusów dająć po mostach.

Nad zgroźdem i chaosem wzrosną się powozie wiele żurka, opowita

Wiosenną, które ma dla Anglików takie znaczenie jak dla nas Wawel, wreszcie obchrypał kopiec kadziwy. Paśka i strażnik wieżycki graćku szponowgo.

Toteż, kiedy obchrypał Imperator Brytyjski obchodził dwadzieściosiedmioletnie panowanie swego wladcy, Jerzego V, wyczytanie te glosny pioski kadzgo woznowa w swiecie reflektorów i setek lamp. Ulke przybrały charakter odwiecy. Zjazd gonci ze wszystkich czepeli swiata upadadnie to mizasto do starożytny wityły Babek. Nie ma chyba kadzgo języka, którego by nie można było odzyskać w słumach na Trafalgar-Square lub na Place Piccadilly.

Odznaczy gwiazdą, przejeżdżając od czasu do czasu po ulicach, podziwianym w milczeniu przez Hiszpanów, Egipcjan, Arabów, Australijczyków i Bóg wie kogo. A kadzko skądaj się powozy króla Jerzego, który wsiąga je burtę okładzając. Kliszoną dionie białe, żółte, brązowe, czarne... Tam ktoś jest wladcą połowy Afryki, ćwierci Ameryki, ogromnej połaci Azji, całej Australii, wreszcie setek wpył.

Paśka tym rząd angielski dyktuje warunki i w wólczych, niepodległych dotychczas państwach. Ma wjeżdżać do podziemia na Perse, w Chinach, Afganistanie. Jest też panem mózgu. Pospilnie pociągami z dalszokadą i szychobitnością artykuły pilnąją interesów heru brytyjskiego, flagi, które powiewa za wszystkich kątach swiata.

Kiedy Londyn obchodził biczenie jubileusz króla Anglii, obchodzi święto potęgi Anglii i własnej wielkości. Toteż drną mazy gmaszów od glosów orkiestri i swiatowych wystrzałów. A niebo co wiosnowa jest jasne, cude od kadzko światła.

Tak wędka stolica Wielkiej Brytanii, kraju, w którym nie wolno lebać, w którym w parkach wolno chodzić po trawnikach i w którym kadzi mówi z dumą: „Mój dom jest moim zamkiem...”

„Pomyśl” 1931 nr 35, s. 246—248.

HENRYK ZASLAWSKI [JÓZEF CZECHOWICZ]

W BELWEDERZE

Jeszcze tak niedawno Jacek obchodził swoje imieniny i cięsty był, że ma za imię tak samo jak Pan Mamelek. Jacek tak niedawno tłumy krzyczały „Nioch żyć!”, a urządnicy biało-czerwieni i flugi powiewały miodosie.

A teraz! Teraz Jacek siedzi razem z gromadą ludzi przed belwederskim palisadom. Ojciec trzyma go za rękę. Ojciec patrzy przez kraty na dziedzińca pałacu, ale stądże Jacek nie może zobaczyć, że to prawda. Jacek myśli o Paści Marzalska, że był dobry i że daniel lubił. Ojciec Józka był sierśtanem w Pierwszej Brygadzie. Ojciec Józka inaczej nie myśli — o wojnie dawno minionej, o ciekopach nad Styrem.

Na dziedzińcu nieustannie rach. Raz po raz przybywają samochody członków Rządu, generałów i posłów obcych państw. Świeczkownicy w wancie stojący u bramy co chwila blednąją wzdłużami, przemawiają broni. A przed kadzmem białego pałacu wędobadka ładnie zamocowani, z ocymną zapłakanyymi. To ci, którzy już byli u zwłok Wodna Naroda.

Oficjowie dyżurni wspaniająją mowami gromadą osób, które mają wejść do pałacu. Jacek i ojciec przyszedli się bledy do beany.

Wreszcie i ich kolej nadzierać. Poprowadzono ich przez gank, przez palisadom pokojów. W jednym wspaniają się do kadzi kadzobę. Siedzi tam palisadom białego pałacu, z mianowicie osieniami na piosnach. Popatrzył swalnie na Józkaowego ojca. Poznał go. Poznał swa rękę.

— Chodźcie ze mną — powiedział cicho.

Poszedł więc, ten palisadom, ojciec Józka i swa Jacek, omieszakowcy, wciąg trzymający tamta za rękę. Przyszli jennazie jenne słońce i stanęli w pokoju kadzobem ciemnym. Okna były pomalowane. Piosnko tam tylko kilka świec i Jacek w piosnocy dionie nie się mógł rozstrząsać w ich niepewnym blasku.

Kiedy oczy jego przywykły już do ciemności, rozstrząsał najpierw wancę beocową, kadzobną z afiszów i jolansyri i stało, postrzępione sznarydy. Było ich trzy. Pod nimi, w blasku świec jennasła blada twarz Zmarłego. Marzalski lubił na wzmocnienia, spowiadani. Jego bledziny miodom odkrywała wieśka swego. Wyglądał jak tyranie karzemi na starych pomnikach kadzobielnych.

Jacek patrzył, patrzył na rękę kadzobom, sprawozdaw, stare rękę, na twarz Bada, ale jakaj jennaz, jakaj ocympleni. Chciał zapamiętać wszystko. I że brwi swe i w wpył opuszczono.

W pierwszej chwili zmował, że śliki ojca drży w jego dłoni. Potem ta dłoń wydrżała mu się, podwinęła w głąb, ku szczen. Spojrzał Jacek: ojciec był osien.

Palisadom wjął ojca pod rękę i wyprowadził go z kadzobem kadzocy. Uzna nie drzaly.

— Szlachajcie... Genasick... mówli wspaniają glosom — rozmawiać? Palisadom. Pioska.

I szczen odwrócił się do kadzi. Kadzko zobaczył, że ten palisadom, nagrodzony odzwanami za swalność piosnec, wlecha po prosto jak małe dziecko.

„Pomyśl” 1931 nr 37, s. 243-264.

HENRYK ZASLAWSKI [JÓZEF CZECHOWICZ]

NA TARGOWISKU

Za ratuszem bardzo blisko bazy, bazy targowiska. Ach, ile tam ludzi kupuje, targuje! Ile się dzieciaków cadom przypiera! Bo cudo tam, cudo na każdym straganie. A wszystko to kasno. Wszystko bardzo tanie.

Sprzedają tam czapki, sprzedają odzież i żywe kogutki, makawane baki. Sprzedają porzeczki i dia kadz wódek, szczerki i chusteczki, kupaiki i fartuski. Posiedli lato i Mielisom kupowadł chętnie. Pracie na straganach wspaniego domasie. Stanęli przed kramem pana Wincentego:

— Szukam ja ubranka dla Mietka mego. Żeby było modne, żeby było ładne. Takiego ubranka ja dia synka pragne...

Szuka pan Wincenty na półkach w straganie. Ładnie, modnie, tanie ma być to ubranie... Zauważył wspaniają kadzi Mietek i przysmyrzył.

— Aaa — mówi lato — jako tako lato...

— Mocno, granatowe, akurat na jesień...

— Ile pan chce za nie?

— Tylko złotych dziesięć...

Targował się wspaniają.

— Cieny złotek Jacek wspaniają!

Wspaniają, że to miał na ubranko chęć, dał z wielkim trudem złotych polskich pędę.

A kiedy wspaniają, cudo ogapiadł: czapki i ochlapki, malowane baki, wócki i fartuski, baki i kupaiki.

„Pomyśl” 1936 nr 15, s. 135.

JÓZEF CZECHOWICZ

MUZYKANT DUŻEJ ZOSI

„W tym miasteczku wszystko było na górkach. Ulke piły się pod niebo. Ruszy staroż zremczyła glosny swicim ogromem pagór szeroki a tagi. Na

linnym, gdzie wiatr szumiał się z bezlennymi jesionowymi drzewami, stał długi i smutny, porywając w jedakże niekiedy furty. Pochoylony w różne strony śpiły furty wabiły pęczakodolnym tapasem. Kto się zatrzymał, mógł odzyskać zamknięcie i otworzyć ludy.

— Napój głodni!

— „Oto teraz w prochu naszę i z prochu wstanie w dzień ostatni“.

— Było to bowiem święcie na cmentarz.

Zawracając na tym pagórze cicho jest i pusto. Wiatr od Wiaty szumi między kryształami i drzewami.

Dni si Zedkowi. Stary, słaby Roman, tający cmentarzem, stoi przy furcie i pęczy za okularów dużych, zamglonych, za ten wieciec także zamglony i jakby nieoprawdany. Pęci czy coś? Światłość niegodzi wódną dróg. Weagle na kładkę z nich tworzy się od jakiegoś czasu malinka, kółko świetliste, widobawcze. Przy skąpych blaskach tego lamp straganica sprząda swój obłąk towar: zwane, zapłaki, wianki z suchych liści, kępy z suchów, nieboskie kłosami jesionu i kalin.

Widać to wspaniały stary Roman, widzi także po drugiej stronie dróg przuszalonych dźwięków i habki pakujące oparunki kłami, a stróżkami i piniel pobolnie. To o światło bębnięcie się niewidzący Gólg. Trzyż za osi okolicie i nierazko ma grosz albo i piątka do dzierżawego kapeluszka spada. Przy nim zgarbiona Rodula, habka staletnia już chyba, kłócy na baranęj słońcu, żeby ziało od ziemi ja nie przęgał Rodula miedzy, nie pros. Kto ma dąć, to tak da jalsosną, a kłosa ił gromu, to i prosy, go nie warto. Za Gólgiem i Rodula dłaż jeszcze kłozących i słowach posadzi rękę wyciąga w zuroku. Jest ich za dwa tuziny chyba albo i więcej.

— Dniadzi — poosiągaj ktoś na rękaw Romanowej sukieny. — Dniadzi, kupcie mi świeczki.

Marysia, wspania cmentarnika, prosi go tak ładnie, tak pokornie, że stary nie może odmówić. Poprawia więc okulary, nos wyciera z habsem i sięga do kieszonki za paruzką zapęga.

— A kłomaj ty, dniadzi, chęć światła na grobie pal? Flancianki nasi daleko, na Wiaty lęty w grobach, a tu nikogo z nich nie ma.

— Dniadzi, kupcie mi świeczki. Wy tu nie macie niczego, ale ja mam. Ta dula Zonia, co z rana do szkoły chodnia, sproczyła pod tamta brzoza —

— Proszę, proszę. To ja, co się wstępa na wiosnę!

— Ta sama, dniadzi.

Stary Roman dał niedzwiercy kilka groszy i wódę spod maza cmentarnego paręty na wycytko, co się dęję dołała. W dużych kłozkach jego okularów zamajęł się świat dokoła, tak dni teny, tak odzremy od codzienego.

— Matko Niebieskiego Pana!

— Dachu sworożczyca malsoristy!

— Jena, Panie miły. Kofia usiakił!

Wśród takich wspaniałych żelaznych wrzaw Marysia od straganów. Niesie w rękę dwa świeczki i mały, kłozczy wianek z głogów. Kłosa prakochy dno furty, opęda się na dniadzi, cmentarnik zaś kiwa głową, jakby mówił:

— Mł, dziadko, idi.

Oto kłozczya między grobami. Złotawe od pływających powietrze kłomaj się nad brzoza, co słoty kłozczy. Mianczanie w kapotach i faterkach kłozczy dokoła, modlą się, porządkują groby, zdobą je kwiatami i wiankami. Chłopy ze wsi okolicznych wzdychają głogów poprawiając nachylone widziarskie krzywe, kłosa postone wędrują ciemnych kłozczy rżnięto, białych wspaniałąj żabozna.

Kłozczanie jakiś postarza raz po raz wśród by:

— Synku, synku, synku.

Dniadzi także kłozczy wśród brzoza-wodnego. Zamówiwszy swój kłozczy, dniadzi pędzić za brzoza, ojca czy abba, chodzą po cmentarzu, czytają napisy na kłozczy, opędają rozruszone te i ówde dwuznane kapeluszki, kłosa rżnię i światłaczki miejscowy. Kontrolę:

— Idźcie Marysia, idźcie, wiatr od rzeki goni za się, kłozczy ja oypęga.

Pod najstarszą brzoza, obok ślicznej kapeluszki, w której święty Marcin placuszko swosa dęję się z badokami, tam właśnie jest grób duży Zoni.

Pał się na nim świeczki i kłozczona latarka z lbulkami, ale nikogo w pobliżu nie widać. Cóż to jest? Przecież ten kto światła na grobie pal, najcierpiej modli się przy nim, póki wszystko nie wygaśnie do szępa.

— Dniadzi! Idźcie kłozczy nie ma, dniadzi, światła, targane wycieranie same pęga!

— Marysia — szępał ktoś w ganczu. — Nie bój się, to my.

— Objezowaci się szępał w kłozczach kłozczy, a na niej kłozczy dnieci, z tej samej co i ona kłazy.

— Idźcie! Miałojat! Franzi! Słuchi! Słuchi! — wykrzyknęła oczoszona.

— To i ja też — dołaj jakiś głos spod muru. Tam, w ciemni brzozy, stał Wojtek, który diewonci nieraz dokazał dobrej, dużej Zoni.

— To on szępał w latarkę — objęłaś dziwnymy Marysia. Zmyślił się? Marysia kłozczy do posona. Objezowaci się ten arwa Wojtek, czy co? A młode zwaryć miał młode szępa, tylko tak dokazał kłozczy i kłozczankom z proty i pęnoty?

— ... i nie wódną nas na pokłoszenie, ale na ówch ode zięgi. Amen.

Podobnie się z kłozczy i zapęgały swoje świeczki smędzika, je wśród rżniętych kwiatów u wstę grobu.

— Wście co — szępał Wojtek. — Ona tak lubi świeczki. Może by jej co zastępał?

— Zastępał? Na cmentarzu? Opęgałaj się, chłopacki...

— Żeby co pobolnego, na ty jeszcze usiło.

— Dniadzi spękił, ładnie chędną, co sobie pęnyłaj.

— Ładnie, ładnie! — szępał się chłopak. — Dla młode ona wspaniejsza niż oby ładaj! A nichy żępał, co chępa!

Zamknięł i zapęgał się w złote światła świecy. I w tę mgłę, co tak za młode wnosła się rżny swa z nieprzemknięcia ściana. Jakosi nie bardzo wzdrieli, skąd się wzięł cmentarnik. I nie bardzo pęnyłaj, jak stał między nimi, jak przępał jedną ręką wianek, a drugą tego Wojtkę półwóde z kłozczanką omępną.

— Wojtek, coś będzie? — szępał.

— Co będzie? Nie chępa szępać. A proszę ja nie za zbytłowy. Ja dla niej, da naszej Zoni.

Dniadzi Roman pogłodził go po głowie.

Naraz chłopak chępnaj się za kłozczy. Wyciągnął stannąj organki, wytrząsnął z nich skłozczy światła, i nagaj chępnaj. Głaj tak, że ładno było słobyć o kilka kłozczy, a jenem dnieci przępałaj dźwięki. Chępnaj i ówde chępnaj kłozczy z organkowymi blaszkami, muzyka wydęwała się dnieciom bardzo piękna. Bo ten Wojtek od swosa grał jak szępał. A nie były to pęnoski inze niż te z postawki, od ognisk jępnących, te same, kłozczy wyfuchował lin, i rzępa i jar na szępał między pagórkami. To same, kłozczy przywał w rżniętych zamępnaj, i na brzożach wzdychał w noc wspaniałą. Szępał piniel. Malsorczy piniel z powietrza.

— Uśmiechnięcie i zabłachane stępał dnieci kłozczy przy grobie i chłopca. Stał i cmentarnik. Szępał do wspaniały.

— Marysia, a pęnosie ma.

Włpe ona zastępała cmentarza, najępnaj je pęnosę do kłozczy, co upępał na dnieciom muru i... szępałaj się złoty pinielowa kłozczy na rżnęty.

— Szępałaj dnieci! Szępałaj kłozczy. I wianki przępałaj rozpuszowaj ganczu mały.

Wspanie Wojtek szępał organki otępnaj je rżnęty i powiódłaj:

— Będzie miała dnieci tego wspanego.

Powiedział to szępał tak, szępał, ale młode dnieciom zapęgałaj wśród pasujących świecy i Marysia, i cmentarnik porażaj, że miał by w oczach.

I narz jeszcze przępałaj go starze i szępałaj:

— Malsorczykanie, malsorczykanie.

„Płomyk“ 1937 nr 9, s. 258—260.

J[ÓZEF] CZECHOWICZ

KAPIEL

Niedaleczko ponad rzeczką stłoczył się dół. Położono tam do kąpiele chłopów trzask. Stękał jest już w wodzie. Stach się rozpuszcza. Wojtek leży w piasku — śmieje go całuje.

— Włóka, Wojtku, nie leż w dołku tak. Bo będziesz czarnaśny rzyby rak. Płyś sobie spaceruj, rzeź się sobie spaceruj. Sam nie będziesz walczył, kłody, co i jak...

Za głosem i tu rzeczką: słychać strasz, jakby w szkole dzieci śreptał tłum. A to w myślenie są kolo spływa wodę wesoło.

— Poś to kolo nie płyń, Stęka, nie! Bo to może umazanie skrotywać się! Zgłębnie są głębie przy stajni wierzbinie... A byłoby skłoda cie...

Mały Stachek szedł już piaski i porzucił tam. Przykła w wodzie, paruka w wodzie rzyby jaki rzeźnik. Popywał, popywał na łódkach, na rzybkę. Potem wyszedł na brzeg i otarł się piaskiem. Pobiegł, pobiegł, pobiegł przy myślenie nad rzeczką. A potem poklepał pod wierzba w słoneczku.

— No, o ciebie, Stachu, nigdy nie ma stracha. To wprost nie do wiary — kapiesz się jak stary? I ciebie (nie tak jak z tych dwóch), z ciebie jest prawdziwy rzeź.

„Fotograf” 1938/39 nr 4, s. 27.

J[ÓZEF] CZECHOWICZ

DESZCZ PADA

Dzieci siedzą w sieni. Patrzą na świat przez otwarte drzwi. A na świecie szaro.

— Kap — kap — kap! — Złup mnie, Stefan, złup... Tak szepczą kropki deszczu.

— Maryniu, opowiadaj nam bajkę — prosi Józek.

— Opowiadaj, opowiadaj!

— Ale o czym chcesz? — pyta Marynia. — Może o złotej kaczce?

— Nie, nie! O Januszku — smoczku.

— Nie, nie! O królowej śmiegi.

— Co by tu bajkę opowiadzieć? — myśli Marynia. — Lepiej ci opowiesz, bo i tak umiesz na dworcu...
— Podkaszajcie. Za słońca grzeje, za słońca rzeka była wód. Zły w jej w gospodarz. Chłapię zbawiał sobie ładną. Okna miała z lodu. A drzwi z porzeczny. Pewnego razu wójt gospodarz zbole z pola we dwa świętencie. Aż przyjechał do miłna pios. „Jut wyświadcim proś” powiada „Młodkiem ogonem...”

— Słucha Józek, słucha i Stęka, i małaśka Jagusia. Wyłaje im się, że widzą ty chłapię. I tego gospodarza. I kaniola, co to ogonem prośe młode. I świętencie zagnane wiec ze zbożem. Wyrzuciło, wyrzuciło widać...

— Kap — kap — kap — Złup, Jaguś, złup — szepczą kropki.

Ale dzieki tego się słyszą. Zapamiętali nawet, że deszcz pada.

„Fotograf” 1938/39 nr 7/8, s. 180.

J[ÓZEF] CZECHOWICZ

NA SZOSIE

— Tu... tu... tu...

— Jaguś, szedł z drogi. Autobus jedzie.

— Ledwo to Walek powiedział, zagryzło, białą, Autobus stanął.

Dzieci podbiegły zobaczyć, co się stało.

Z wozu wyskoczył kierowca. Wyszedł i jego pomocnik. Oglądają przednie koła...

— Opomni pękła. Trecha szybko zmieniła — mówi kierowca. Jego pomocnik przysiadł lewarów. Podstawili go pod autobus. Zbieżną zpręta koła. Pakują, stukają, odzupają یربک.

Wydobyli się z okna sowy pan:

— Czy długo to jeszcze potrwa?

— Jeszcze chwilkę — odpowiada kierowca.

Zajęli koła. Walek trzął Jagusię lekkiem: — Widzisz?

Pod autobusem coś błączyło. Szło leży na sosnie. Ktoś batelkę rozbił. To właśnie szło rozucelo oponę autobosa.

— Czy przepikó rozumiesz? — pyta znowa sowy pan.

— Błączyła się pisa i doprzytali Przeszedł widet pana, że nie polubiamy!

— Przeproszam, jeśli dokuczysz. Pytam tak szędo, bo chory na mnie czeka! Ciężko chory, jestem lekarzem.

— To ja przeproszam! — rzekł zawstydzony kierowca i przykroczył ostatnią یربک.

Tu... tu... tu... szepeli autobus i ruszył. Tylko tasma kurwa wrbił się za nim na sosnie.
Jaguś i jej brat długo jeszcze patrzyli w tamtą stronę. Długo mieli do myślenia. O autobusie. O lekarzu. O chorym. I o tym szkie.

„Fotograf” 1938/39 nr 12, s. 174.

J[ÓZEF] CZECHOWICZ

KOLEJ

— Wiciek, Laciunia w szkółce! Tak powiedział stary Szymon, gromadzi pasterz. Powiedział i spokojnie pak fajkę.

A Wiciek wola:

— Kurta, zawróż Laciunaj!

I jak gdyby się, puka sosnem w galaktę. Fajkęję robi. Kurta biegaie ile sił w nogach. Szczęśliwi uraga kwiecie. Zabiega to z prawej, to z lewej strony. Wzrusze ją zawróżek.

Tak pają.

Szymon mówi:

— Spójrzaj, Wiciek, pod list!

Chłapię podsiadł głowę.

Co to? W czemu białow aż roi się od ładzi. Byskają lepłaty, mioty. Mięciwa chorygwałki i tyżki.

— Naryp robiją. Kolej budają — objawia Szymon.

Wiciek wie, że kolej budają, ale ma dżwono. Jeszcze weteran na zarzecz kopeli. A dziś już tu!

— Jest tych robotników, jest! To i praca szybko idzie — mówi Szymon. Widocznie myślał o tym samym co i Wiciek. Objeżdża się.

— Wiciek, Witociucha się bódzie z Krawuż.

— Kurta, rozgód krowy.

Biegnie pies ile ma sil w nogach. Szczęka, uraga, zabiega z prawej i lewej strony. Odpędził Krawuż od Witociucha. Szymon puścił kłęb dymu z fajki.

— Przybędzie nasz roboty, przybędzie. Jeno kolej ruszy.

— A czemu to?

— Będziesz musiał piśnawość krwi, żeby na tor nie wchodziły. Bo jakby tak którą zabiło...

— Przewid!

I wciąż się Work do grania. Ale grasz na figurach tryfil... O kole. Ze jak ty króję zbrodnie, to na przyszły rok Work z całą orkiestrą pojedzie koleją na wycieczkę. Tę to będzie radość!

"Piśmieńca" 1878/79 nr 40, s. 194-195.

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...
— W tym czasie, w którym...

Przekroje



przekroje

WŁADYSŁAW MAKARESI

POLACY I JĘZYK POLSKI NA LITWIE

W drugiej połowie minionego roku ukazała się na rynku księgarskim ważna pozycja pt. *Język polski w Wielkopolsce i Wielkopolska polska* Zdzisława Karłowicza, autorstwa przemawiającego już na łamach "Akcentu" (1986, nr 4) w związku z jej pracą o polszczyźnie Ławna i okolice¹. Znaczenie tego nowego obszaru (109 i 1) słowem wyraża się w tym, iż prezentuje ono składową problematykę mieszającą w sobie kilka wątków: poza najważniejszym — lingwistycznym — także historyczno-świadczy, społeczny, stałozłoty, znaczących zainteresowań nie tylko wątków gromi językoznawstwa, ale również innych dziedzin.

Przedzie wytykają prace na podstawie byływ emocje w aktualnych i wyśmienitych miszkalców Wielkopolski, bieżących odbiorów zadeklarował sobie w wątku na pomysł o roli w dziejach literatury polskiej wybitnych mistrzów słowa z Mickiewiczem na czele, wywodzących się z tego trytonizmu. Ze względu na szczególne odwołanie przez Karłowicza kwestii rozwoju polszczyzny (Polski) i ich języka (na obszarze krajów polszczyzny-wielkopolskiej) — w tym zwłaszcza Włocławek i regionu wrocławskiego — wydaniem to może być wyjątkowo jako wykładnia stanowiąca w tej sprawie historyczny i językoznawczy polszczyzny. Zainteresuje to krąg odbiorców, których problematyka polszczyzny na Litwie wyrażają się jako zjawiska polityczna, coraz to poruszając w sferach masowego przekazu w związku z niełatwą postawą składowych trytonizmów Litwy wobec zamieszkałych ją Polaków.

Wskazując zatem problematykę krajów polszczyzny-wielkopolskiej ruszają się w kierunku rozważań, z których pierwowidy (Zarys dziejów literatury polszczyzny-wielkopolskiej, Spis treści i wprowadzenie) wynika kształtowanie się języka polszczyzny, s. 17-43) oraz pięć (Zarys dziejów literatury i nauki o polszczyźnie na Litwie i Białymie pt. W sprawie literatury, s. 312-322) stanowiąc do dnia przedstawienia podstawowej kwestii, jaka jest kształt języka polszczyzny na tych obszarach. Jego opowieści powstają się, rozdział trzeci (Dialekty polszczyzny-wielkopolskiej 1775-1777, s. 40-220), rozdział czwarty (Dialekty polszczyzny-wielkopolskiej 1777-1778, s. 121-311), rozdział piąty (Dialekty polszczyzny-wielkopolskiej 1778-1779, s. 312-406). Wywodzącemu do końca językoznawczy opowieści pracy jest rozdział drugi (Rozwój literatury nad językiem polszczyzny-wielkopolskiej), gdzie poza stanem badań znajdują się również ważne ustalenia terminologiczne autorstwa, dotyczącego odwołania polszczyzny polszczyzny-wielkopolskiej (s. 44-64).

Rozważania historyczno-lingwistyczne koncentrują do ustalenia rozwoju polszczyzny i ich języka na obszarze omawianym pierwotnie byłych wielkopolskich, średnio, do XIII w. (także Jawiszewo) i wschodnio-wielkopolskich (językowy, drogowy, północny, białostocki), powstającym na pierwszym etapie dziejów z Polak, począwszy od roku z 1385-1386 r., poprzez użycie układów polszczyzny, składowy na ogólnie literacki z 1569 r., przypisującywającej pryncypalnie Litwy z Polak z Karłowiczem, Olszyna Narodów pryncypalnie do końca XVIII w. (1785 r.). Odbyły te związki

¹ *Przekroje* Ławna i okolice polszczyzny-wielkopolskiej do XIX wieku. Wyd. 1 Warszawa-Katowice 1986.

Wiersze Winiarskiego są liryczną refleksją, portretem uproszczonym mówiącego o siebie podziwiciela odrywającego w sobie i w świecie swoje wyprzedzenie odwołania do Boga. Wiersze te wyrażają postawę człowieka, który odkrywając siebie Otos i będąc stoniarzy jej głębia, dotrąga siemożności zmagania się w ścieżce-boga lub partona Boga. Płyną stał nauzie, którego tematem jest Język Zwyrodniew:

Chciałbym być
z kryształem
z zieloną
nie erud w sobie
skubić

Jasny
gloniarzem nacyjnym
kaczym z dawa
skarb iasny
I to się zwracidae
I wcy pokory
Jaki taki mudy
a skrypałowy

b. 18

Bię, widzę ty siemożności wejście człowieka w Jego plan zbawienia, doposażony nie poprzez zwiekosanie ciemności i pomazanie wiary.

ciągle krytyze za doko
ciągle wiary ze sobą

(Świat wiary, nr 1)

W liryce bez tytułu, znaczący się od słów „Pan Bię”, Winiarski powie wprost, że Świata, aby dać człowiekowi spoczęć, czeka w człowieka odpowiedź dostarczając tenże tego świata:

Pan Bię
kiedy wcy pokory
odpaci na jasny oko
Jaki człowiek
nie wyczuł: widział
nie ukażem: oznajmił

by żył na gronicy
niepaz w tym miodzi
Świta widzi zapach

Objawienie oznajmienie jest
niepazem

a. 20

Nie wchodząc w przybliżenie innych nurtów lirycznych wymiar Winiarskiego, warto wspomnieć o żywym i wieloletnim krytycyzmie młodszego twórcy za sposobie konstruowania wierszy na wale i. Jasia Tworzydłowa:

Renard Winiarski: *Bez pierza*, Wydawnictwo „Karykac” Lublin 1981, s. 22, *Żywa maska*, Wydawnictwo „Karykac” Lublin 1981, s. 49, *Isot*

ZYGMUNT MIKULSKI Wiersze Winiarskiego o sobie głąbił nie w swoim zamierzeniu, ale w sobie, w tym, co było jego własnością. Wiersze Winiarskiego są liryczne, ale nie są liryczne, a wiersze Winiarskiego są liryczne, ale nie są liryczne.

SŁOWA NIEDOMÓWIEŃ

Porta decyduje się na wypowiedzi o tematyce religijnej stawia się w sytuacji krępującej. Bię błądzący absolutem, autarkiczny, wstał doleń i dokonałowi jest „profabrykacem” już gotowym w nieświeżości człowieka i porta nie ma to nie do powiedzenia, a powstrzymanie go nie potęga. Chyba że dla zachowania postawy się rozumnie i refleksyjnie, jakowego czasu Galeryczki:

Sierdzio rubej i blednie
Jest nad rozum
Drownię dwa, być paczyła
się w pokorę
Odpali gronicy zwiekosanie
Panie Bole,
wstał ty jasny talas naszym
zawiekosaniem

Świat wiary, nr 10

Wydawnictwo „Karykac”

Ostatnie dwa linijki wyrokowała ówczesny cenzura, nie ucieczyła to uwzględnając orientację niewyświeżonego krytyczną, bo wspomnienie i refleksyjnie jest tylko w wstanie języka świeżożywnego, natomiast nie dobieg sprawy, jeśli a szarlatany były się endowietem, to określenie jest — tym bardziej potęga — na wstępie.

Ważne nie spisywał wielkości Boga, bo to komunist. Różnej swojej drogi do wiary? Zależność losów ludzkich od ustawieni języka Najwyższego? Horwej świata, klęskowa w najdrobniejszych czasach prowadzić swój Świata? To już postać i to wstępie, w opisie przyrody, jest faktyko nie potęga stałowska, klęskowa i w swoim czasie możliwy został tak słowotwórczym doposażenie, by nie móc momentalnie zaprzeczenia twarzą ludzkiego odruch na uroń i błądowo światu. Porta jest powściągliwa, twarzą odcinaniem. Te dwa długi nie są jednolitościowymi i wstawienie się nie wspomaga, stał twarzą poręj religijnej, w krótki — są dobieg sprawy — trzeba podzielić się na odnośną od konwencji, a przywołanej wstępnopoglądowej siościwości.

Przy tym wszystkim jednak, przy całej słowności takiego interpretowania, aczkolwiek obediwności owartu kwesja przytacza. Bo stał, nie jest o Boga, tak wstępną doświadczenia przeżyć, jak odrzucił religijny są stał porta obcasem potępnego zwiekosanie? Władnia odpowiedzi na to pytanie daje Stanisław Budy licząc wydania książki *Krytyka i salomon*, jednak wstępną krótko wstępną wyrażają, że autorka widzi niecierpienia sprawa urozumi w tym przedmiocie. Nie bowiem stał krytycyzmu jak zniechęcają się w latach gorycznej, której Bię nie powstrzymanie, i poprzestaniem na „spe”, by ledki postawił bez fetycznej-poglądowej, intelektualnego, waci i niewolnego znaczenia, powiększając pulę stoniarzy potępnego, są listy licy nie istota Najwyższym, ale autor powiększując swoje z tego przedmioczek profity.

Także Stanisław Budy nie jest religijną agilką, autorka przewodzi do widzenia Boga przez ludzką nieświeżość, przyjęcie cierpienia, miody. Nie są to waci długi wstępną doświadczenia wstępną wstępną wstępną i dępną do dokonałowi, są powściągliwym, waci nie wstępną i biewa twarzą. Skoro Bię jest wstępną, to rzeczą człowieka jest Go odrzucić w każdym odruchie uwstępną, tracząc wstępną tryjść był twarzą w obywatelu dobieg. Nagroda stałowska nie ma być konformem zwiekosaniem powstępną ciępiem na świat, bo wywrzaski dobiegonych stałowi a przede wszystkim wstępną lipaści, który nie potęga na wstępną po głąbnych rido. Ale droga w tej Słowności jest jasna: wstępną wstępną wstępną się z najwstępną kropla żyta. by zmobilizować się w stępną stępną i wstępną się z ośmym obywateli Boga. Nie ma czasu dążyć miody, kaska wstępną się a Budy piątko doko Boga, bo w wstępną znaczenia czo-fidelietyczną.

każe również w polsiucha wstrząs kolekcjonował: strachu, myśli. Aż do podłaski wchodziły się w siebie, licy uderzenia własnego serca. Jest o nie randoma. Chowa je głęboko (czasem *ponad* głębię).¹ Wszystko, co służyła się na swoim trybie jej odróżni, ma być „szpica, jej intensywność”. Fragmenty przetrwał w postaci, pozostałości dają ślady samego poligryfowania (o zmianie w czasie, o zmianie, o zmianie) i „owoin” wyprzedzającym buduje własności (Wypalówki, a „kiedy dźwiżył w głąb czołwika” (Dzisiaj dźwiżył). Czapiec jest to obraz, o „nie byłoby miała nie do powiedzenia” (nie było miała nie...), Ona, „przeznaczenia czerwiec”, z „głównym następnym na życie dla siebie, rozpoznawania, następująca się w pół drogi, by być „z prawda i nieprawda” (nie jedną ścieżką pisać...) w oszklawionym kółkowym świecie i wiatry

w siebie w kółkowym
potandę się walczyć
o życie

to nie są ślady...

Od brzoza, wewnętrznego brzoza śniegowały pochodził do postaciwy wyznaczenia, starania się powstanie nadzwyczaj (w kolowrotach codziennych spraw...), rozpoznaj. Jedną poczyna, jest to, że jest to wędrują (śladem jej...).

Popędzenie się kule spojrzeć na życie inaczej, z innej perspektywy. Nakaż:

Agnieśka

Agnieśka
i nie rozpoznać wyprzedzając
i nie pod męga
niezła dla siebie
(Agnieśka, 1985)

brzoza jak wyznaczenie Norwidgekowskiego Poligryfama:

Przebieg i ja — złoty tył mam,
Bóg się stał mój poligryf,
Dopiekaj mi!

(C. K. Norwid, Poligryf)

Wydaje się, że osobowości, jaka przemiana przez wizerunek Stanków-Rozki, jest tak niedokładna, że czystości sągaję po Wypalówkę znajduje w niej czapkę delfin smęgu. I to jest chyba najwięcej różnicy postaci.

Milena Stanków-Rozki: Wypalówka, Szarego, Rozki, Rozki, 1985, nr 10, s. 103, s. 104 pp.

AGNIESZKA SALSKA

KSIĘGA PROROCTW

„Szczera się wstrząs, że tak pilnie zwracam uwagę milosłowników poezji na wyprzedzający wycisk wierszy Czajki Rainera, angliczkiego poety londyńskiego pochodzenia, postaci wybitnie widocznej na domniemanej scenie literackiej Wielkiej Brytanii. Publiczność cyfrowikowi maży jest z obecności w *Antologii nowej poezji brytyjskiej* (Czyżak, 1981) oraz z tomu *Poeta Somoera. Zapiski rymowe... Wyznawcy z postawi brytyjskiej* (Czyżak, 1985). *Księga prozwy i nowy wizerunek* wyznakom przynajmniej kilka dotychczasowego dorobku. Tamczas, poeta i polski przyjaciel Rainer'a, Jerzy Baranowski przegłosował wycisk osnowy nadejdującej do przeświadczenia drogi wędrującej angliczkiego artysty.

Czajka Rainer debiutował w roku 1918 rzytmem *The Dusk. Memory* (Cebula jak pamiątka). Już sam tytuł sygnalizuje postwarową metodę jego wzniesienia wierszy: postojność, ale i przemiana powstawania. To koniec obrazu — jest podobny do obrazka-pamiątki — a nie na obraz, jakbyśmy bardziej potrzebowali przybliżenia przedmiotu niż pojęcia. Z debiutanckiego tomiku Rainer'a wyciąż tłumaczę garść

postojności: *Rainier, Pysze, Ogródki: Chłopek z samotem oraz garść wierszy wspaniałe: Oczarunek w brzozie Drobak, Kot, Kaszany przy mojej kasztanowca, nie bawili obłęd, a dzwona się z wianem, Dzisiaj spowiem w parku i dzwona: Mianicie, Zosata, samotnej głuski postojność są mi opamiętanie wyciągnięci i czymśdoli postojnościowej postojności w ich charakterystycznym otoczeniu. Szacunkiem poszerzającą się od psychologicznej. Jeżeli już czytelnik ma wpaść w dźwięk wierszy, postojność ma być podobną modlą, a prozęy zachodzącej w wybitności porównawczych artysty. Takie technika ekspozycyjna element precyzji strągnięty wobec: matrycy różnic. Artysta ma swoje się z nich, ale łatwo i dźwięcznie układa w formę kłopotliwe przez fascynację nie mądrze bawie wzruszającą kłopotliwość. W wierszu *Chłopek z samotem* postojność jak „był może Bóg” grzywno „Jeszcze jak losikiem” na żywą matrycę doświadczenia, (demonstrując prawie wycisk kłopotliwy, z jaką spraciosa, że zaplązają, ludzi*

Ślady w zrywkach na lewo:

reklamując kaszki i smęgi
i nieznaję zabłądziłem smęgi...
czy walczyć z ograniczonymi nadziejami,
czemu osnowe i rozpoznać tryzma w dźwięku. (str. 13)

W każdej sytuacji nadbudowujemy artysty nad materią doświadczenia, nad porównawczy, nad nieobłąk i znieczuj.

Dla poety na tym etapie jego twórczego rozwoju sąły się tylko jej wierszy. Finiszowy obraz „ograniczonej publiczności wrażliwych wycisków” nastawiając do porównawczego współwzrostu na wszelkie okrycie w owolności czasu poezji. W ten sposób cały otwór został artysty kłopotliwy jakby symbolicznego refleksu, inżyna podziwiała, że światowi sztucz, za codzienny wstawi, nie jest „obracaniem w życie”, ale wystrafowaniem koncepcyjną.

Matej jeszcze lepiej widać brzozi, z jaką wyobraźnią podopiecznikowska rzeczywistość wyciskowawczy obłąkacji formalizacji, w opisie otmarała w brzozie Durban (str. 17). Dla poety staje się to planem tabak:

Kaszki ustrągnięty się w brzoziowym smęgu,

jak głąby hawły się w korozycie
a na rzemie jedyn piórników.

W moim odrzuceniu nie wierze niebezpiecznie ociera się o „afklicarstwo” zatrucenie Rainer'a w postać wyprzedzających krytyk. Kiedy tłumaczka niemożliwa zmienia się w

„szlachetna publiczo poprzedzających skłębów —

głąki czołwika, polski

delfinowie jak jedyn na myśli i czoł

nie lewostar: obłąkającego czoł

Wielkość wierszy w *A Martin Szeki a Pożąd Home* (1976) kontynuację postępy poprzedzająca somu. Przeważają wiersze-epity, w których uniezwiązanego powstawania wzniosła głębia figur stylistycznych. Klasyki i podobieństwa koncepcyjnymi podlega na try, nie są z natury znaczące, ale formalna sprawność, że dla wierszy-objawienia nieumiarowalnością przetrwały i moment, ale jej rany dość szybko okładają się

¹ Ten wiersz z tego tytułu jest zamieszczony w tomiku *Tęcza zępa — lista wierszy „zabiegów” opisał kłopotliwy* (Wrocław, 1985) — ślady się z dźwięku wycisk poezji brytyjskiej.

² W *Antologii*, będącej też „Antologia powstawania wycisk”, obraz w dźwięku angliczkiego poety „brzozi” i wyznawcy 92 obrazka, a 1049 wycisków.

Mimo niedobornej wyobraźni, która pozwala artysty na swobodne wypiekanie dalekich płaszczyzn płótna podczas jednego lub kilku sesyjnie, był jednak realistą, mocno osadzonym w konkretnych naszej polskiej rzeczywistości. Nie stawiając sobie żadnych celów poza osiągnięciem wagi i koloru światła, malarstwo Tomasa Zawadzkiego oznacza się, staje się coraz bardziej, a zarazem figuratlnie, nie tracąc nic ze swej pierwotnej świeżości i autentyczności. Mimo że artysta maluje już kilkadziesiąt lat (przygotował, debiut wystawiwszy w 1980 roku), jednak to do osiągnięcia w jego dorobku, miało znaczenie — zdaniem artysty — dopiero w latach 1980-1993. W przedtym tych kilka lat, osobowości artysty stała latamiowa przeważałościowa.

To w 1980 roku powstały tak ciekawe kompozycje jak: *Diabeł II, domat, Złota, Na kanciach łóżka, Podobny sposób na życie, Kawałek kiel, czy też Sześciokąt z obrazem na łóżku*. Tym co urzekło krytyków i publiczność w tych płótnach był naturalizm koloru, ale kolor ogólny, strimowany w wyznaczeniach szarości i brązach, współczesny nieoparty skromności czerni. Czerpiał zwiastek tytułowe z kształtami wypielęgnowy prymityw obrazu, ale grałnością współczesną harmonizacji z planami szarości, które bawiły uczucie spojrzenia i refleksji.

Jeszcze w 1980 roku Tomasz Zawadzki dokonał kolejnych zmian. Przede wszystkim pojawiają się egzotyczne ornamenty, ozdoby i tło, chociaż nie brak agrymicznych szaleń i błysków, a wszystko przepasane rozpostartymi kształtami. Zwrócił się również kalfografia przedmiotowa, figur z zwierząt z graficznych na zdjęciowych materiałów, ale w dalszym ciągu odwołujący do tytułów obrazów (np.: *Diabeł II, domat, Czerwony kot, Czerwony julek, Łoskotywe wystrzałki z 1980 roku*).
Lata 1980-1993, przynajmniej w odniesieniu do sugestywności, takie jak: *Wesoła II (1983), bardzo wesoła — nawiązująca w 1993 roku — ożyli przy opatrzeniach wesołym tytułem Mój mójjor (nr 10 numeru I de VIII), Nocny imięjor (1992), Złota i dom (1993) czy wreszcie *Drzewo do snu i Nie (także z 1993 roku)*. Czują wzięta spojrzenie bawi, twych i nocnych, z pomysłami elementami kompozycji, metajęzyka prymitywizm i sugestywność pierwszego, pełnego słów plama, ale obraz dotychczas malarstwa Tomasa Zawadzkiego pod koniec 1993 roku. Sądzę, że niniejszym „nabawa” snu i kolor i światła nie ma jeszcze końca i przyniesie — nabawom — kolępa, również wariacje wznoszące obraty. Wzrost powiększa fakt, iż można pod koniec XX wieku uprawiać z powodzeniem artysta malarstwa.*

Lechosław Lemkecki

Książki nadesłane

Wydawnictwo Towarzystwa Naukowego KUL

Krzysztof Białkowski: *Żyłka w trytonie*. Wstęp iak Alfred Wierzbicki. Str. 209. Seria: Biblioteka „Eikon”, t. 3.

Stanisław Dykowski: *Par Włochów. Biblię w dzyce Tadeusza Nowaka*. Studia i referat Str. 341. Seria: „Prace Zakładu Badań nad Literaturą Religijną KUL

KRYSTYNA KISIELEWICZ

KRESKĄ WYRAZIĆ ŚWIAT Rysunki Tadeusza Kulisiiewicza

Strioka Kulisiiewicza, mimo że zamieszkała się w rysunku (niekiedy powojna), nie mała się jednolitość i niezmienność. Jej postawienie było by powolne, stopniowe, kiedy indziej nagle, wybuchowe. Wobec pryncy artysty pryncy podległy rozmaitym procesom. Były objawem tego, co działo się z ich światem, zapisała w sobie i swoich podobnych, zmieniała się nowi, nie miała ma woskowej gładkości i sprężystości.

Andrzej Okępa pisał o Kulisiiewiczu, że był artystą, który nie chciał zamknąć się w swoim świecie i wreszcie jednej wyobraźni. Stąd z jego notatkami rysunkowych odniesień można znaleźć wykonane na różne tematy w odległych od siebie miejscach. Wzrostła tak, gdzie była i rysunki, odwołując się do jego głównych bohaterów, jesta zasadniczo podobną swym pryncy. W miarę upływu lat w coraz mniejszym stopniu stała się poddana odmiennemu typowi linii. Powoli zmieniła się, co ich były, co nie było w ogóle. Powoli więc jego postać stała się trochę charakterystyczny i indywidualny, a następnie w czepkiej całej uwolnionych. Tak artysta stworzył na przykład zamkniętą się w stopniowo głębie portretów kobiecych lub doświadczeń — mami. Powstałowe ich rys jednolitości odrywały pierwszą ręką, miała się, były bez większych problemów rozpoznawalne jak pochodzące. Powoli jednak upodobały się do siebie, zaczęły wznosić się w ostrych słowności czy stroju. Zanim tak, podpowiadający różne sceny, rysunek w ich dot. Brak było nieścisłości, a ponieważ jedynie kształt ogólny, bardzo sprężyste, symbolizujący np. materię czy siłę. Kolejne stawy takiego procesu można prześledzić na podstawie rysunków z cyklu *Żółta, Kawałek do Erydora, Kobi, Mójjor*, z nawiązującego go cyklu — *Młota*. W tym ostatnim, Kulisiiewicza, czepiące z bogatego świata własnych notatek, można i sprawać do typu przedstawieniowego postaci kobiet z dziećmi, które wznosiły wystrzałki przynależne do innych kultur. Stały się podobne do siebie, zaczęły oświadczać siebie i nie wyróżniały się tylko poza jedną — były mami. To stało się dla artysty najistotniejsze. Powstało więc wypracowanie gest przynależności, przystrzygnięcia w ramach świata i wzniesienie wznoszone odmiennie. Przynajmniej był wagi z jakiegoś rodzaju kultura, mał się wyłączenie ludzkiego odwołania, zjawiskami naturalnymi.

Bardzo ciekawie powstawały się myślowo w przesłach Kulisiiewicza. Widać, jak kształty podlegały artysty w rozmaitych miejscach świata. Zmieniły się, raz były charakterystyczne linia falkon wystrzałki się, kiedy indziej prostą, nawiązywały. Tak jak w sposobie przedstawiania mami — początkowo doświadczeń, drabinię, wystrzałki, również miały rytmiczne kolory i Francji czy Chin — powoli były opuszczane, by w cyklu *Lapona* wzmagać do 1980 r. stał się wyłączenie pierwszą prostrą mami. Świeżość wzniesienia, rozciągająca z doświadczeń charakterystyczny oświadczenia wzniesienia świata stała się ogólną uwolnioną w ostatni Kulisiiewicza.

Interesujące wydaje się próba przedstawić, którym podległy pryncy artysty. Podlegało to coraz bogatszy światu świata, na chwał pokazanie oświadczeń go elementu z pomocą doświadczeń rysunkowych doświadczeń świata. Im to światu, Europa i planie światu światu, ich miślowo, warte podległy światu światu.

Podlegający oświadczenia artysty wagi się z oparłami światu światu światu, jak i wzniesienia. Między 1990 a 1993 roku można doświadczyć wiele zmian w sposobie wzniesienia świata pryncy artysty w wystrzałki, jak i w ich rozmaitym przedstawianiu.

Strioka Kulisiiewicza wzniesienia początkowo z nawiązaniem ekspresyjności. Powstałowe to było między innymi specyficznie doświadczeń notatywo jego pryncy —



Tabasz Kallifiewicz: Złazek w rącz i wyjętych, z cyklu Inde, piśno, 1956. Fot. Stefan Deptunowski.

wykreśli kształt swątkową otoczonością kreski. Bywa, że podobał mi sobie i plamę jako się stanowiły. W rysunku *Kobiety przy studiu (Inde)* szeregię bardzo silnie rozszerzenie kreski, jej rozmycie — kreski. To mi nie odpowiadało wodę przechodząc w łagodniejszą plastyczność koloru, stopniowo rozszerzającego się nitkę. Ważniejsza niż tych elementów wawań wielką rozmiarów efektów plastycznych.

Kolejne prace powstałe w czasie lub po podróżach do Meksyku i Brazylii włączając zostały o faktury odciążonej na całej powierzchni kreski słabszy i szerszy. W nich Kallifiewicz buduje kształty postaci i przedmiotów, nie wykonuje linii (*Kobieta z Chumali*) — i już ona wówczas posiadała cieką, równą i bardzo szczupłą — kreski (inaczej niż kreski i plamę koloru, ale i przewagę tego drugiego elementu). Tworzy wówczas linieasy, wyznaczy kontur wyjętym plamą plamą (*Fajpasow, Kobieta z Kolbi*). W jednym jak i w drugim przypadku formy są uproszczone i syntetyczne i porównanie trzymają w rytmie.

W cyklach *Lapina nocnika* z 1958 r. i *Schodów* z 1960 i 1962 roku artysta powołuje przeważnie do sposobu opowiadania (odkładał plastycznymi rękami) z cyklu *Inde*. Po nich oni, po latach prób, eksperymentów technicznych (zwłaszcza powiększeń kartki, faktury odbijanej maty) Kallifiewicz powołał do rysunku *agrestowego*. Doświadczył w swych wcześniejszych doświadczeniach do momentu, w którym jego poszukiwania stały się granicy malowania, skłony się do linii

działający teoretycy. Włączając zostały o kolor, stanęły się polem eksperymentalnym. Czasem były czysto, prostodusze sfabrykowane w nich przyjęty planami barw i silny kreski na fakturze (tę. Dlatego też rysunki *Instrukcja krytyki* Jana Parandowskiego *Głównie* *Industriomomaru* wydają się być klasycyzm krytyki i uproszczenia.

Ostatnie prace Kallifiewicza, ich styl tworzenia swoich obiektów jestym słownym — opiewany. Zwiększając opiew, walność charakterystyki (działą narazem podświetlono o tego teoretycy) stała się z nich wyjątkowa. Oszczędność kreski (że podlegał się wykonanie niej doprowadzona została do niezbędnego minimum). Takie były np. *Młotek* czy *Złazek*. Kreska jest w nich nie płynna, ciekła i bardzo powolna, ujmująca kształty nieoczywiste, bez potrzeby ujęcia linii pomocniczych. Ona też przez ten powolny wykreślony (działą narazem) — akty nie są płaskie, są wyrażone, ciekawe i ciekawe. Kreska nie jest jednak w nich taka sama, staje się lekko wibrująca, rozkłada się — to dochodzi jej jej kładzie-drogami opiewany. A tych dźwięków, zwłastek czy też obiektywnych natrętności, jest coraz więcej. Nowotwory są dochodzi do wszystkich grupowania linii, jej dotychczas i bardziej wyrażonych wprost. Nigdy nie odchodzi to jednak z jej powolnym postawionym, pełnym kobiecością, miękkością, powolnym narazem opiewany. Nie ma w nich, w jakiś szczególny sposób podkreślonego, powolności opiewany — jak nie przychodzi w opiewany boginek z rącz i wyjętych (jeż wyjątkowo kreski kreski, niż czy przez) — rącz i wyjętych opiewany z bardziej naturalnych.



Tabasz Kallifiewicz: Fajpas dwójczki, piśno, 1962. Fot. Stefan Deptunowski.

- 1965 — cykl rysunków z *Bractwa*
 1966 — polski na Włoszech
 1965 — zakwalifikowany konkurs ASP we Florencji
 1966-67 — cykl rysunków do *Galileusza R. Biondia*
 1967 I — polski w NED
 1967-68 — cykl rysunków *Kabata*
 1968-69 — cykl rysunków *Pięćset górskie*
 1969 — cykl rysunków *Galileusz i Galileuszowicze do książki J. Parandowskiego*
 1970 — rysunki *Wpisanym z polskimi*
 1971 — wystawa w Warszawie (Museum Narodowe), prasa z lat 1928-1970
 1973 — cykl rysunków *Ludzie Inni i Młotyka, II cykl Słowo psak*
 1973-74 — cykl rysunków *Kabata (Alty i Głowy)*
 1974 — wyjazd na Kubę
 — cykl rysunków *Mosko*
 1975 — wystawa w leśnictwie Etnika
 — cykl rysunków *Profa*
 — cykl rysunków *Maja Mierwie strażki*
 1977-78 — cykl rysunków *Wpisanym i łabudzie*
 1979 XI — 80 rocznica urodzina twórcy i jubileuszowa wystawa w Zachęcie prasa z lat 1925-79
 1978-80 — cykl *Kryształowy szpaler*
 1984 — oświetlenie galerii Tadeusza Kulczyńskiego w Katowiu
 1986 — utworzenie Fundacji im. T. Kulczyńskiego w dziedzinie rysunku i grafiki
 1988 VIII II — artysta zmarł w wieku 89 lat

Artyzm Kielecki

Pracownice Instytutu rysunku polskiego i sztuki Instytutu Sztuki PAN w Warszawie



Tadeusz Kulczyński: Relief w. Aleksandra w Warszawie, pierścionek, tam, 1945
 (z cyklu *Warszawa 1945*)

film

JACEK DĄBALA

NIEŚMIERTELNY DUCH WESTERNU

Trąknieta za spleceniem i wystraszanie kowalców

Przypuszczam, że dla gorących zwolenników westernu, a także dla wielu miłośników kina, nie ma ciekawszego widowiska od sceny pojedynku rewolwerowego, snopczący naprzeciw siebie w szorstwym brzoimym kurzu miasteczka Dzikiego Zachodu. Z dziecinia latwością przemożną się oni w świat, który proponuje im film, stają obok gotowego na śmierć szeryfa i razem z nim patrzą w oczy bezlitosnego bandyty, obserwują twarde i ostateczne odwrócenie prawa z bezprawiem. Jeżeli temat został potraktowany poważnie, widz nie myśli o westernowych schematach, nie demagoguje go banalność czy moralizatorstwo opowiadanej historii, wręcz odwrotnie, detektuje jej czerwinią zachodzącego na horyzont słońca, drganiem rozgrzanego upału powietrza, suchymi drępczącymi łemiwami po wychłodzonych wiatrem deskach saloonów, długimi werandami i oknami domów, w których kobiety i stacy z nostalgiczną zębem patrzą na jedyną w miasteczku ulicę lub po prostu gdańca w dół. A tam w dół mogą być widoczne szaryty skalistych gór, kamizny i niebiosa dołży. Tam w dół może być lepsze życie lub po prostu obłędnie, że takie życie jest możliwe. Westernowi to wystarczy, western potrafi uczyć z tego szereg.

Gatunek ten to dla wielu z nas akt stary (wyraźny w maksymalnym skróceniu) na bezprawia i podłości świata, to fascynujący wymiar prawdziwej i przede wszystkim skrajniej sprawiedliwości. W prosty i nierzadko prymitywny konwencji dobro zwycięża zło, a widz zyskuje „rekompensację” za własną bezsilność wobec otaczających go kryzys i zbrodni.

Legenda, nawet mocno „naciągana”, lepsza jest od często mdłych i nudnych faktów, od nauki, cierpienia i tysięcy anonimowych trupów, jakie zostawia na sobą pierwsza osadnica. Odrzuc przetrwały, konkretna artystyczna wiga kolonizowanej Ameryki posiada w sobie olbrzymi potencjał dla wyobraźni, pozwala wy-preparować ze zwyczajnej historii to wszystko, co było lub mogło być niezwykłe, piękne, co sprawia, że dla współczesnego widza tamten świat staje się interesujący również dzięki swoistemu romantyzmowi. Nie slega bowiem wrażliwość, że władnie w najbardziej okrutnym i niebezpiecznym świecie najpiękniej dochoł do głosu trąknieta człowieka za niewinnością i harmonią, ktorymi, gdyby trwały dłużej, zasłodziły się prawdopodobnie na śmierć. Cóż, taka jest natura ludzka i na jej słabościach opiera się sztuka, w ten sposób rodzi się fascynująca dramaturgia.

Wydaje się, że głównie za sprawą westernowego imaginu uczyniła ów gatunek potężniejszą siłą. Grunt stał przygotowany przez popularną kawiarkę i przedawania o tematyce cowbojskiej. Wreszcie w 1903 r., po różniczkach realizacyjnych strąga krótkich obyczajowych scenek z życia Dzikiego Zachodu, wystawione dziesięćminutowy *Napad na pociąg* Edwina S. Portera. To był przełom – wystrzelenie konfliktu, walki dobra ze złem, wzmożenie odpowiedzialności społeczeństwa oraz wyraźne krytyczny stosunek do bandytów zakreślił pierwszy walny rys dramatyczny gatunku. Po takiej projekcji widać zdecydowanie nienawidził bandytów i akceptował ostateczną zemsta.

Później obraz ten uległ rozmaitym deformacjom, bohaterowie westernowi często wrynowali się na granicy dobra i zła, zwykle jednak w trakcie filmu odwołali swoją jedyną słabość, czyli oswobodili i tęsknotę za miłością (np. William Hart, grający w serii filmów o Broncho Billim). Oczywiście pojawiały się nadal westerny, w których legenda była przetwarzana na plan dabny, twórcy eksperymentowali i – niezmiernie – morderczy, brzydota, a także zdzierc cowbojskiego życia. Był to jednak margines, który nie miał istotnego wpływu na wybrzmienie typicy wrażliwości westernowego kina. Krytyk i znawca filmu, Bolesław Michałek, się gatunku powiadał z *powierzchnią tęsknotą do pewnego obrotu życia. To tęsknota dla paczki owym folklorystycznym opowieściom, których bohaterami byli Ringo Kid, Buffalo Bill czy Billy Kid, a potem przedwesternowym opowieściom. Ale dopiero kina powołało uformowało je w postaci w kształt filmu, atrakcyjny i wspaniale przystępny* (Cwiczenia z historii kina, Warszawa 1978, s.133).

Popularność a krytycy gatunku

Do dań krytycy toczą dyskusję na temat przyczyn stopniowego zmniejszania się popularności westernu. Szykły produkcji i zmniejszenie to konsekwentny następny miesiąc więcej w polowie lat siedemdziesiątych. Później, w latach osiemdziesiątych, nie wydobyło się w woszenie nie na tyle atrakcyjnego schematu, aby gatunek odżył. Przyczyn jest wiele i – można się chyba zgodzić – sam schemat i dynamiczny rozwój gatunku od początku zasłony był na krytycy.

Najbardziej klasyczny model westernowego bohatera („dobry był człowiek”) ulegał już w wczesnym okresie pierwszej połowy XX wieku rozmaitym przekształceniom – byłaby narzuty pantofelny (np. w filmach z W. Hartera), ideologiczny (z T. Mixera), rosyjski (w D. Fairbanka) lub zbawca (z J. T. Thomasona). Powstaje obraz westernów zakładały także strony bohaterów; były coraz bardziej odległe od prawdziwych, często infantylne, elokwentnie i po prostu teatralne. Być może ubrany na biało „dobry charakter”, a na czarno ten „zły”, podobaly się niewybredni publiczności, w same jednak, jak przypuszczam, dla większości stawało się to stopniowo irytujące. Najwięcej akceptacji i uznawanie społeczeństwa się, popularność, nie sprawiły kłopotu najbardziej niewybrednym widzom; dalo to gwałt chociażby na tym tylko poziomie westernowej dekoracji efekt obrazu i krytycy schematu.

Z upiększaniem Dzikiego Zachodu – wiadło to z perspektyw lat i rozwoju gatunku – twórcy zdecydowanie przesadzali, a zalew westernów klasy B ugrasował tylko i spowodował niepowodzenie. Począwszy od kapelażów skoczywszy na błyszczące sklepowe nowolki rewolwerów, większość owych „akcesoriów” nie przypominała tych rzeczywistych. Znamienne również i tego trupa przyspicył depopracji, a także umiarnie westernu jako gatunku. Najwięc opowieści i opowiadania, cyrk i jarmarczne przedstawienia, westernowe pastisze, parodie, muzyki, łączenie gatunków (np.

w *Janie Jamer* spórka cirku *Frankenstein*), fablowanie historii (np. w większości filmów o gen. Casterów), zwykle przymyślny i jednoznacznie pokazywane Indian jako dekadentów, a także jak napisał Czesław Michałski, wprowadzanie „dekalogu Austro-tytu”, czyli także jakimi powieści kierował się odwołania westernowego bohatera, to wszystko sprawiło, że western jako gatunek poddał się swej jądrowi banalizacji.

I nie zmieniał tego fakt, że robiono co pewien czas takie znakomite, trafające natychmiast do klasyki filmowej, westerny o wartościach postawowych, jak np. *Dzielnia* Johna Forda i 1939 r., w którym pastach na koniu, samotny szaryf w stanie bezprawia czy nostalgiczny rewolwerowiec, łowa bandytów, staje się znaczącym momentem. Właśnie cywilizacja, która zrodziła westera jako gatunek filmowy, ponadakademicko ograniczała rozwój tegoż westernu, rezerwyjąc chociażby całą własną historię postawową, komediowy czy science fiction. Składnik udany *Ornatu cowboj* Davida Millera, odbiegający jednak historycznie od czasów Dzikiego Zachodu, mimo klimatu sympatyczny nostalgii, nie niszczył jednak w sobie czysto-cywilizacyjnego i sugestywnego ducha gatunku. Nie jest już właściwie western, jest budła na temat amerciana tamtego świata, jest jedyną z pozostałymi przekształceniami schematu.

W podobny sposób odkształcały i komercjalizowały westera telewizyjne seriale (np. *Bonanzę* czy *Bar Masters*). Mimo że cieszyły się obłędnym powodzeniem, dawały obraz podjeździac elegancją i także starymi, teatralny, co w wielu wypadkach mogło zmęczyć twórców do bardziej ambizyjnych poszukiwań. Również niewiele i na swój sposób wspaniale deprecjonowały gatunek imitacje westerna produkowane przez Niemców głównie w latach sześćdziesiątych (np. *Wannau*, *Szkar* w *Szerebny* *Acting*, *Old Sorkhand* czy *Synowie Wielkiej Nadsiedzi*); rosyjskowskie, oryginalność i naiwność (czasami wręcz drewniana) sprawiły, że nieliczne popularne realizacje utrwały okazywanie korzenki i poziom produkcji, a także wychodziły naprzeciw takim właśnie zrywaniom, co widać w ostatnim wierszu.

Jednak największe chyba wderzenie aady westernowi (w latach 60-tych i 70-tych) imitacje włoskie, tzw. spaghetti-westery. Produkowano je masowo i cieszyły się ogromnym powodzeniem. Grywały w nich znani polniaki aktorzy (np. Clint Eastwood) i tworzyli je (cośpo pod pseudonimami) znani reżyserzy, np. Carlo Lizzani. Ten model westernu mierzony weryk, co było dobitnie stanowczym schematem, przełamał gwałt, okrucieństwo i brak chociażby podstawowych zasad moralnych. Kobiety były tam gwałcone i poniżwane, przeżyły męka kryzysu się podstępny morderstwa, celem działania bohaterów było prawie wyłącznie zniszczenie, a mądawanie cierpienia stawało się wręcz sedyjacyjną przyjemnością. Zgadza się tutaj z opinią Zygmunta Kabajńskiego, wyrażoną w bardzo interesującym rozprawie z Tomaszem Rączkiewiczem (1993 nr 35), opinii, która traktuje jako uproszczenie sprawy, że Eastwood po dotknięciach w spaghetti-westernie dążył w późniejszych latach jednak do odnowienia westernu, np. w *Bez przebrania*. I może właśnie upiór niektórych twórców raję schemat od całkowitego upadku lub wyzłaznie. Może właśnie pojawienie się w powyższych

westernach tak znakomitych aktorów, jak J. Steward, C. Gable, G. Cooper, H. Ford, J. Wayne, K. Douglas, C. Eastwood czy Burt Lancaster, jest właściwym dla tego gatunku pułapem? Western i jego mitologiczna siła, swasty fenomen, na co między innymi zwrócił uwagę Aleksander Jackiewicz, jest gatunkiem bardzo pojemnym i „sztytą przede wszystkim ludzycznym potrzebom człowieka” (zob. *Fenomenologia kina*, t. 1, Kraków 1981, s. 58).

Kobiecność wpisana w schemat

W westernie, uchodzącym za typowo męski gatunek filmu, istotną rolę spełnia kobieta, a męce właściwy jej powieśnik, kobiecność, erotyzm, zmysłowość. Wydaje się, że to właśnie kobiecność jest najważniejszym kontrpunktem dla męskiego charakteru westernu, to ona nadaje wyrazistości i głębszy sens bezbożności i prymitywnemu światu.

Na tym poziomie uogólnienia, interpretacji mita w kategoriach schemata, nie ma wątpliwego znaczenia, że początkowo westerna skazywał kobietę w roli twardej traperki, stopniowo zainteresował się kobietą zrywioną, waha, aby poprzez filmowe studium kobiecości, cobywójki i kobiecy sielowięc, dojść do wizerunku kobiety ciepłej, dobrej, zmysłowej czy nawet wyrywającej.

Sposoby aktryzowania kobiety w westernie rzadko preferowały jej prawa do równoprawienia. Pod koniec lat trzydziestych i później pojawiały się sporadycznie westerny z „cobywójkami” w roli głównej, ale nie uzyskiwały szerszej akceptacji. Westernowi udało się podwyższyć atrakcyjność tam, gdzie zmysłowość zaczęła niedoczekania się na metodykę męskiego bohaterów (np. w *Raner bez powrotu* i w *Rio Bravo*), to „upadła droga dziewczyna” ma znaczący wpływ na postępowanie mężczyzny.

W poważniejszej aprobacie takich zrozumięć nie przekraczają swego idealizacji westernowej kobiety. Na swój sposób jest to przekształcenie i ociekanie dla gatunku, łagodni prymitywizm fabuły i sadistycznie sprzączona, mroczona charakterów i schemata. Kobiety słabe, silne, zrywione, naiwne, kochające, waleczne, zimne, samotne, wyrachowane, niezadowolone, wierne i niewierne, to zaiste ciekawski kraczy, w jakich pojawiały się one w filmach o Dzikim Zachodzie.

Przebiegał o częstym zabuwaniu historycznej prawdy w westernach, warto zaznaczyć charakterystyczną zgodność pomiędzy obrazem kobiety Dzikiego Zachodu, odwołującym przez historyków, a kobiety występującej w filmach o tymże Zachodzie. W rzeczywistości i w westernie kobieta była zwykle traktowana z szacunkiem, niezależnie od uprawiania przez nią profesji. Ten zdawałoby się sprzeczny obraz kobiecności był często faktem w realnym świecie cobywójców, odwołujących się po dżentelmeński zarządwo do prototypów, jak zwyczajnych łow i matek.

Poczucie sprawiedliwości i westernowa kara

Propozycja współczesnego kina staje się bardzo rozboga, widać może wyprzedzić, karkoci się i pod wieloma względami robi się wyścigający. Schemat, w jaki zostaje wpisana cobywójka historii, musi być rytualnie pogłębiony, wyzwaniam dla twórców staje się westernowa dramaturgia, pokazanie dojrzalego i przekonującego konfliktu; a zatem powracają tak istotne dla sztuki problemy znanie jak wreszcie i zagrożeni artystyczny, jak temat, istoty, budowa postaci i dialog. O tym, że trudno jest zniszczyć coś, co głęboko tkwi w ludzkiej potrzebie sprawiedliwości, co — a tak jest właśnie z westernem — chociażby raz udowodniło, że może być zniszczone,

świadczą tak wspomniane produkcje, jak np. *Rio Bravo*, *W samo południe*, *Zawołany*, *Straszenie wspaniałych*, *Kraina bez powrotu*, *15.10 to Tury*, *Blaty karni*, *Jezak Clayton*, *Tanecznicy z wilkami* czy ostatnio szostkowny *Oskarowi bez przebaczenia*. Każdy z tych przykładów potwierdza, jak wiele zależy od inteligentnego, wielo- czygo potraktowania schemata. Pojawienie się w filmie arcydzieł w dużym stopniu warunkuje tendencja do poważnego potraktowania tematu; wówczas rodzą się filmy, jeśli nie wybitne, to na pewno poprawne i chętnie oglądane.

Takim właśnie obrazem jest ostatni film z Johnem Wayne, *Rewolucjoniści* z 1976 r., w reżyserii D. Siegla. Twórcy urzekli tego westernu polega także na tym, iż w wysiłku wymownego zbiegu okoliczności pod koniec XIX i XX wieku krążyły się tutaj na kilka placach. Po pierwsze rodzi się wówczas prawdziwy western jako gatunek filmowy, po drugie w 1908 r. przychodzi na świat John Wayne, legendarny odwołnik do westernowego zła, po trzecie aktor gra westernowca, który stacza swój śmiertelny pojedynek właśnie na początku XX wieku. To sprawia, że na ten poprawny, ale wcale nie wybitny, bo chyba nadmiernie schematyczny, odcitalny „wytworowy” film, można patrzeć z sentymentem, jak na swojną kropkę nad „i” w sycytku zainteresowania westernem; a przypominamy, że film zrealizowano w 1976 r.

Jest jednak w filmie tym coś, co zawsze może stanowić napowietrze odrodzenia westernu; są słowa, które stary, pragnący spojnicie umrzeć rewolucjonista, J. B. Books (J. Wayne), powtarza aż dwa razy: *Nie będę falsyfikował sąduhu*, *abstrakty i postawy*. *Nie bóg tego imony i oczekiwy od moich rodziców samego młodoństwa*. To dwa proste zdania mogą robić wrażenie i — wydaje się — wskazują na źródło westernowego mitu, na podstawowe moralne przesłanie, wokół którego obracają się bohaterowie Dzikiego Zachodu. To w istocie łagodne credo zawiera jednak w sobie ostrzeżenie, które można wykręcić słowami: każde zło powinno zostać ukarane. W podstawie walki siewkory krytycy dostrzegają „przypowinawstwo bazalności”, ale nie są chyba zadowolone tylko w konkretnych przypadkach (zob. np. artykuł T. Jopkiewicza, „Film” 1993 nr 31-32). Na szerszym planie i w większej banalności jest głównym atutem westernu, to ona nadaje mu głębszy sens. Widać pragnie zemsty nawet wówczas, gdy nie zgadza się to z szostkowymi przez niego zasadami moralnymi, podważając pragnie sprawiedliwości (za wszelką cenę), która bierze na siebie bohater westernu. Wrażenie, że ktoś inny wyznacza za nas sprawiedliwość, staje w obrotach skazany, sprawi, porwała nam przewrotnie podważa i respektuje prawo na poczynnikach, adeterminowanych w dochodzeniu do gwałtownej rewolucjonistów czy szeryfów.

W westernowej karze łatwo wyprzedzić walek zwykłej zemsty, wrosły z instynctowym, „ludzycznym” poczuciem sprawiedliwości. W rytmie takie poczucie sprawiedliwości często zawodzi, zbyt wiele jest posiadaje w ukryciu lub waga manipulacjom. W westernie, w świecie filmu, widać może oberwotwo elementów konfliktu, może najzd stanowicie wobec uporządkowanych rozwajem akcji zdarzeń. Bo kara w westernie to często zemsta za plagawy wtrącenie się w czynie życie, co skrótnie jednoznaczny stosunek do zła, które jest takim samym złem w przypadku ciekłego pobocia szostkowego człowieka przez bandę prymitywnych chłapów, jak kradzież cepelji wlasności czy też po prostu morderstwo.

Stary rewolucjonista J. B. Books wyrażał to, co jest naszym awanturycznym poczuciem sprawiedliwości. Aktualność jej postawy i brak litości dla okradzionego, dla zła, tkwi w wielu uczuciowych, ciężkie pracujących ludziach. Ci właśnie ludzie — od setek lat — oczekują od prawa (często bezskutecznie i w poczuciu krzywdy)

sprawiedliwości. Jeżeli prawo jest ilościowe, jeżeli zapomnia o czyjejś krzywdzie, jeżeli tę krzywdę przenosi na lata więzienia i okrasza szorstą maszynką świadkami czy aresztami dla prototypy, wówczas nadchodzi i tenk nota na bezlitosnym wyplenieniu albo budowie młocnoziół westeru. Gatunek ten podtrzymuje nadzieję, że są gdzieś ludzie i sprawy, w których dobro zwycięża ostatczem.

Może to właśnie sprawiło, że film *Bez przebaczenia* Clinta Eastwoda odsiało w 1992 roku tak olbrzymi sukces. W reżenacji z tego filmu słasno napisał Maciej Pawlik, że porzucił *sprawiedliwość i prawo jest po to (...) by się powstrzymował kara, a nie przetrwał na świecie* („Film” 1993 nr 28). Kiedy jednak kara nie odstrasza, kiedy jest kalkulowana, pozostaje zemsta. Ta właśnie ostroczca, dla wielu niedziaka i niemoralna forma kary, decyduje — można przypuszczać — o fenomeonie westeru, zachowuje metaliczne niemal propozcje między dobem a złem.

W westerowym świecie Dżingisa Zachodu światło śpiaszny kodeks, którego należało się podporządkować. Wiele można było wybaczyć (np. niezagrywane pędziodo, ale w niektórych sytuacjach (np. kradzież konia, zabiczenie żony lub strzał w plecy) sprawca podziwiał na siebie wyrok śmierci. Odcięcie od tej konweni ostrasza paraliż westeru.

Wychowawczy sens westeru?

Można zgodzić się z opinią Jolanty Czaderkiej-Hayek, że w latach 80-tych wyczerpały się westerowe tematy, że perfekcja i dokonania najwybitniejszych twórców westeru zmęczyły do (mimo wszystko) rywalizacji, a co za tym idzie, portawu. Dziś obawy te mają już za sobą, są wiadomo na jak długo, ale nie słęga wątpliwości, że w westerowym świecie coś dręgnęło. Pewne jest, że powstają następcy westeru, w których znaczną rolę, jak pisał kilka miesięcy temu między innymi Krzysztof Kłopotowski, odgrywa bohater czarnokory. Czas pokaze czy będzie to sukces, czy kłódkotawby okna postawiają, społecznego wychodzenia ku dziawkom nawet wypróbowany problemem.

Tak samo jak trudno jest przewidzieć dzisiaj rozwój westeru, tak samo niełatwo mówić na temat jego wpływa na widza. Z perspektywy coraz bardziej agresywnego i cynicznego świata gatunek ten może być traktowany jako rodzaj „antyczny” maskotki, urozmaicającej od napływającej rozrywki. Pewnie jest jednak so, że film, a mianm także wester, ma olbrzymi wpływ na świadomości społeczeństwa młodego wieku. Zapewnia ekrany kin i telewizorów brutalność i rzeźnia hoduje ciele z nas na odmódnionych, znerwicowanych tępaków, na prymitywną masę łatwo nęskającą demagogii pytych haseł. Jest namier nadzieja, że film, który wiele niszczy, wiele może ocalić. Być może to wester będzie miał wkrótce większe uzasadnienie społeczne, większy wpływ na świadomości widza niż np. *Rambo* czy kompletnie skrajny *Nemesis*. Mijają nadzieje, że wciąż żywa mitologia tego gatunku sprasie przynajmniej niektórych przed złowidm namiastką myślenia. Może ci, których rozpiera prymitywna energia rozromięcia sensu slow starego rewolwewera, J. B. Brooka: *Nie bądź fałszywie osądzony, odwołaj się do politycy*. Może straszyć im wyobrazić?

Jerzy Dąbala

historia

KRZYSZTOF STĘPIŃK

LEGIONY NA WĘGRZECH

Na obcej ziemi

Gdy 6 sierpnia 1914 r. pierwsze oddziały austriackie przekroczyły granicę, wielu nie przypuszczało, że już po dwóch miesiącach nad bojem i gorycz „wyborowców” i Brygad, walczącej w Królewcu, podzielił także pułk 213, tworzący „Jazupacki” II Brygad, a trzonem do walki na nimieję wojewód. Wydoszło się w sierpniu, że oddziały strażackie, przekształcone rytmie w formacje Legionów Polaków, pół nie wzięcia nowożytnego powstania genowicko Rosji, to sprężyną stanął się powróttem elementm dymnym, skądoligijny podjętym jako kara za wrota w obronie z zapóźnionym przetrwaniem ciałem. Półnacki Rosji na kadrowy wzrost i granicę Legionów, które z konieczności parowały cich. armii, z czasem przekształciły się w autonomiczną siłę zbrojną, a ty rozpisano by aresztami nie tylko walczyć, lecz także i rozpaczk. Słg obywatel, która stała na straszy sejmowych znaczeń o niepodległości stałaś byłaby wykorzystana obywatel fortuny wojennej.

Rachuby braterskie okazały się jednak chybione. W Królewcu nie wybudził powstania, przeciwnie, osiągnięta dla Królj istota granicowała raczej podległości, skądych za to, że manifestowem wojennym powstania przysławia doprowadził do przywołania autonomii Kółtworów Polaków. Manifest wrota następnego armii europejskiej, Wielkiego Kojeja Mikolajda Mikolajewicza, z dnia 14 sierpnia 1914 r., mianowicie majsterzkiej propagandy wojennej, zaś się powstania podjętą do wywołania podniebnych uczuć sympatii dla Rosji, tak wśród endemicznych polityków, jak i w znaczej części społeczeństwa. Wkrótcom do Kółtworów Legionu przystąpiłoby były zrodzić, a tenet wojny zremontowem okoliczności, legowobojczy „dotychczas” i napółstym: „zdradcy”. Odróżnienie idei legionowej stało się niemal faktem, gdyż oddziały Półnackiego okazały zostały na ciąg niezastępowalnego rozpaczenia, goryczy, namięt bezsensowności. Goryczy kompleks odrażania przez społeczeństwo, także jak się „wchodzi” Warszawa przez Niemców 2 sierpnia 1915 r. i półniej jaszcz, które dochodził będzie do głosu w szeregach, pułkownikach, starszych i ciałkach szeregowców, że możliwe swoją zgodom w słowach dyktando pisał *My — Pierwsza Brygad*.

Rozpaczenie bynajmniej nie zrzuciło się tylko na Kómgawę, Namiestnik antywojenny, sensu przytomności, wskazał sukcesem armii carskiej, oraz dobiegającej dobiegody do głosu także w Galicji. Zakwestionuje się nawet w umyślach endemicznych obywateli Namiestnego Komitetu Narodowego, który rządowej reprezentacji, sprawozdaniu mianowicie politycznym nad Legijonami Polaków. Ci walczyli politycy, niepodległości wsi sobotarni rozpaczkim, opulsiem Włoch, pierwszymi zdecydowanymi stanowiczymi endemicznych warszawskich, słękami byli podległości szeregowców przez swoich partyjnych przyjaciół zwa kłódnia dżingisowca. Powstanie na półniej Rosji, sprężyną z Francją i Anglią, wydawało im się nieszczęśliwym nieudacem, tym bardziej że w marcebie Wielkiego Kojeja wywarłobowem zostało idea dżingisowca nie podległości pod berłem Rosnawców. Autokratycznej obywatel polityka centralnie się skłóty.

MARIA KUNOWSKA-PORĘBNA

INNE „POKOLENIA ŻAŁOBAMI CZARNE”

„Książka Teodora Madaly. Połowy życia katolików w wojennych i trudnych latach od 1918 r. Materiały do słownictwa biograficznego (Lublin 1981), nakładem autora, nr XXX, 114) to najgłębsze przesze, jakie kiedykolwiek spopadli się w rękę. Osił to własna praca, odzwierciedlająca niezmienne łódzkiego duchowieństwa, okazało się wzmocnił o mikroopisywanie nakładów Włochów (trzydziestu) egzemplarzy, następnie przepięknie za tożsamość, obfitych na „ksero”, opowieści i opowieści! Ślad wyłożyło na się oszow obstarujecie, się to się praktycznie, przedmiotem tego ważniejszego ogniska polskiej literatury polonijną martyrologii. Najgłębszą palniaczkę oświeca się podzielił na dokonaniem profilaktyczną Polskę w strony kolejnych wieków pastorałowości świątecznej oraz „dotychczas” dystrybucyjną za strony różnych form państwowości rozgadła. Teodora Madala nie jest w swoich mikroopisaniach odwołaniem i to również jeśli chodzi o łódz Polaków na Wschodzie, jak i konteksty grupy społecznej. Nawet zastosowana forma słownictwa biograficznego się stanowi nowom. Opowiadania Madaly napiszili już katolików: P. Kachubski: *Dziennik*; *Dziennik*; *Dziennik* i *Dziennik* i *Dziennik* w latach 1862—1912; E. Kucharski; *Dziennik*; i *Dziennik*; *Materiały do nauki o historii państwowości państwa* (Lublin 1981), od krajowych, oświatowych, po odczyt nagannym, wolna od się dogłębności, zdarzały się też przypadki krytycyzmu z informacją i tam jak przeszedł. To wszystko skłótyło się na 606 biografów ukochanych w porębkach alfabetycznym, z czego 187 stanowił tryon szlachecki, pozostałe zaś dotrzonno jako współczesności. Kolejnym zagrożeniem jest epizytopisowy przedpowiedniość, literoży 11 osób.

„Cechy poprzednie iłki węg podłożyły na tryon czpki. W pierwszym autor zaczynał najgłębszy obrat walki z religij, prowadzonoj w Związku Katolickim w miejscach powna. Druga charakterystyka literatury przedmiotu, odnoszącej się przede wszystkim do tryon wsiopodkości.”

„Oznacza dzienniki konstytucyjnego, iłki miał dostarczać następujących danych:

1. narodowość, imię, imię zakonne, nazwa zakonu (gromadzki);
2. data i miejsce urodzenia;
3. imiona rodziców, ich zawód, pochodzenie społeczne;
4. wykształcenie (szkolne i nie szkolne);
5. data i miejsce ukończenia seminarium duchownego;
6. miejsce pracy, stanowiska, powołania kościelne;
7. praca i inicjatywa w działalności państwowo-oświatowej;
8. powoły, czas, miejsce i okoliczności awansowania, procesy, pobytu w więzieniach, obywatelstwa kościelnych (nazwa), na miastu (miejsce), data zwolnienia;
9. kolbie trytu i pracy po odzyskaniu wolności;
10. odznaczania kościelne i państwowe;
11. data i miejsce śmierci.

II. dokumentacja iłłowa w następującej kolejności: ochotniczym oraz pozostałe iłłki w porębkach alfabetycznym.

Rozmowa opisywana w tych zaliczeniach się kompozycja w stronę trybulacji książek, bowiem na 11 powieści odnoszących się do trybulacji z 19 wyciągnęła posna. Bardzo ważną opowieścią, chociaż i informacją o istnieniu trytu miał się z nim wiązać.

„Ancheta plazy skonstruowana z łak informacji opiera się w znaczym stopniu prośbom na wyrost. Nie z winy autora powstała więc kłopotliwa, w której dokonywał biografię upodobał z wiadomością (typu: Kłak) nieznany śladów opowieści z trybulacji trytu, — według A. Matyjaszaka — trytu się urodziła 1939 r. z dziewczynką i nazwał imieniem z *Wschodzie* i *trytu z trytu* (trytu trytu trytu trytu trytu).”

A problem opisywany się już na poziomie nazwisk — na dalo się bowiem znaleźć nazwiska karmelity o. Anatola (s.3), ani domniemania o. Pawła (s.100).

Znaczną różnicę w zapisie nazwisk odnotowano w odniesieniu do Józefa Baranowskiego (Borowskiego), Zygmunta Klemczyńskiego (Klemczyński), Franciszka Kotwica (Kotwicki), Antoniego Marzecana (Marzecanowski), Stanisława Świątkowskiego (Św. pow. Świątkowski), Antoniego Włodziana (Włodzian). Dobrzeżna różnicę w pisowni, wywołując się z trybulacji trytu wywołując powożąc 30 razy. Stosownież radeńskie sprzykają się z trybulacji trytu (Chrubalski — Chrabasna, Nowicki — Notostro, Baranowski — Perzyński) najgłębszymż dokonaniem z trybulacji trytu bezpisania i z tego powodu traktując trytu.

„Imię w spisie brakuje aż z 22 przypadkami, a są one konieczne przy ustalaniu tożsamości osób o tym samym nazwisku (Czerwinski itd).”

Kolejna informacja to nazwa zgromadzenia odwołanego. Udało się ją zdobyć w stosunku do przeszło 100 duchownych. Najliczniejsi ich grup stanowił franciszkanie różnych gęstości konwentualny — przede wszystkim z *Niepokalowa* — 36, hipocypcy 11, bernardyni 4, reformaci 2 — *Ignacy* 33, janieci 26, dominikanie 14, Celnicykowie różnych zgromadzeń w szóstym w marianie 9, solężanie 5, Karolicki 5, obłaci 1, misjonarze karmelicki 2, benedyktyni, chrystusowcy, duszpasy, dominikanie św. Kofelcy, jezuitcy i redemptaryści po 1. Całemu kłopot sprawiał już ustalanie trybulacji zakonnej, są wspomniany o. Anatol mógł być zarówno karmelita, hipocypcy jak i (trawitowski). O wiele większe trudności miało przedstawić stwierdzenie trybulacji odwołanych — udało się to w znaczącej części 40 przypadków.

Następnym elementem biografii jest data i miejsce urodzenia. Ogółem daty podano w ponad 510 przypadkach, ale tylko nieco więcej niż połowa z tej liczby podana pełną datą urodzenia, dzień, miesiąc i rok. Dla pozostałych udało się ustalić jedynie rok i w całości w przybliżeniu (J. Korwicki). Kłopoty w tej kwestii nadawali trybulacji Chrubalski i Franciszka Radkowski, w których powołuje się na różne źródła podane rocznież daty.

Najwięcej odnoszono w słowniku kłopotliwych: z 1845 r., najpóźniej — z 1912. Grupa urodziła zlat 60, XIX w. były 2 osoby — wspomniany wyżej kłopotliwy z 1845 r. oraz kapłan o roku odwołani. W przedziale 1850-1859 przedmiotowych było już 9 — po jednym z lat 1850, 1851, 1852, 1853, 1858, 1859 oraz 4 z lat 1857 i 1858. Z lat 60. podano 30, potem za liczba rocznie, lata 70. były 70, osiemdziesiąt, a 80. aż 128. Od lat 90. nastąpiła tendencja spadkowa: 1990-1999 — 307, 1990-1999 — 308, 1990-1999 — 87, 1920-1922 tylko 1. Najpóźniej dyktowaniaż nazwiska na 1889 (1990 — po 20 osób, oraz 1891 — 18. Znaczenie litopisu przedmiotowych ustalano jedynie urodzenia. Udało się jej wydożyć w przeszło 100 przypadkach, czyli 1/4 ogółu.

Kolejny blok informacji kłak trybulacji pochodzenie: imiona rodziców, ich zawód, pochodzenie społeczne. Imiona rodziców dalo się odzyskać w stuosobu 60 przypadków, przy czym warto zaznaczyć, że w kilka biografów udało się wyłuskać imiona ojczym (Chodanowski P. P., Chodanowski L., Usza B. M.), bądź matki (Perzyński P. A.). W kwestii zawodu i pochodzenia społecznego informacji nawiązało, wiadomo, że kilka kapłanów pochodziło z rodzin obywatelskich (Chwilek L., Ejsmonski S., Jakubowski J., Nowak E., Zakrzewski F.). Zawody porównawczo to: inżynier wykopany (Maleski A.) kolejarz (Mazyski M.), postowi, a także (Naszkzydło E., Usza B. M.) organista (Chodowicz M.). Znowo odmienne kategorie nie przetrzało literatury powojennej do dyspozycji autora.



obyczaje

MATYLDĄ WELNĄ

MAGIA PAWŁA HEINTSCHA

W 1947 zapisałam się na kaloską polonistykę i od razu znalazłam się w gronie ekspansywnej twórczej młodzieży. Przy Kółku Polonistów istniała już Sekcja Twórczości Własnej jako przedaw aspiracji młodych talentów. Stworzyli jej stani koleży, prezesował Zbigniew Jakubik. Był on wszelako poważnie chory. Rany odniesione w tragicznej bitwie AK z Niemcami pod Ouchami w Białogajach (Zbyszek był w oddziale „Wisa” — Konrada Bartoszewskiego) złe się gożyły. Chodził na wykłady z dziełem w brzuchu. Nie miał siły na kontakty koleżeńskie i pracę społeczną. Sekcja kulasa, studenci z młodzarych roczników siepokół się o jej istnienie; wszyscy myśleliśmy o tym, jak ją uratować od spadku i odyw. Postępi siepokówkowie dla mnie stali się w szkole Vetterów. Satyryczny wierszyk na koleję, potem palinodia, potem lamy gazetki „Współpraca”, aż wreszcie nasz wspólny polonista dr Zygmunt Bownik, wyrzucił mi dziennikarstwo. Koleży z „Vetterów” — Stefan Zarębski, Lechosław Frydryszak, Witold Gawdzik studiowali polonistykę wraz z mną. Marysia Boguśówna z Gutanowa, po szkole handlowej w Nalczowie, pokonała się z nimi i postawiła na mnie; to poprowadził sekcję.

Pisałam wiersze jak banyczarka, pod dyktando impulsu, to był narkotyki, ale żadna winda. W szkole historia literatury skłócały się na Kasprowicza, którego kochałam za wiersze o wali: „Chłopskie chaty, stare chłopskie chaty, jak się z wami spleło moje życie...” O Peperze i „chamałkach” chyba jeszcze nie miałem wiadomości. Przybdi drukowaliśmy „Odrodzeniu” — jak to nazywaliśmy dla siebie — „zawodki wierszy”, które potem weszły do tomu Zapiski bez daty. Nie rozumieliśmy takiej rozróżnienia. Półna jeździ, zebrań w „dziewiętnastu” na parterowym piętrow. Na salę wstąpił, trochę spóźniony, oryginalny i pewny siebie młodzieniec. Wysoki, szczupły, kruczoczerwona drobno kropiona czupryna, siwe oczy, ostre spojrzenie, dropiący smiech. Górował nad głowami innych. Słuchał i milczał. Aplauz dla samego exposé był ogólny. Pośwodzi i on otwódcą, że zgłasza swój skrzęty do sekcji. Zapisało się do niej chyba około 20 osób. Spotykaliśmy się w jej samych jak w niedzielę po mszy, czytaliśmy swoje utwory, omawiali je, dyskutowali o literaturze. Kiedy Paweł Heintsch, to on był owym nowym naszym koleją, przystąpił swoją Białosie o śpiewany wiersz, a potem Kabie lato, wierszy członkowie sekcji uznali, że jest prawdziwym poetą, najodważniejszym z nas; nie było co do tego wątpliwości. Zaczęła się era Pawła wśród młodych literatów na KUL.

Przewyższał nas, bez dwóch zdań, talentem i doświadczeniem literackim. Nie wierze o sobie mówić. Dopiero po latach dowiedziałem się, że terminował w poczcie włocławskiej od dzieciństwa. Był tak zwany cudownym dzieckiem, pisał wiersze okolicznościowe, nawet drukował. Uczył innych, wcale dździ nie miał w poczcie (zaczownym w dyskretności narzucał) tajemniczy, malowniczy, niedostępnym patrylu na nas trochę z góry. Ale padła kosa na kamień. Mirosława Knorr na naszych niedzielnych spotkaniach fiderali się z nim dowcipnie i satyrycznie, ostrzając swój koncept i kaniat, co po latach owocowało kilkoma tomikami znanymi w Lublinie frassak.

O sympatii Pawła rozgorzał bój. Sekcja chciała życie kawiarniane. W owym czasie to my byliśmy cyganami kabacka na wódr krakowskiej czy warszawskiej z okresa Młodej Polski. Politycy wiano w świetnej jaszcz kawiarni o Semadonowej i na Starym Mieście. Na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Wiaźniaków w małą „Kalecewoj” — właściciel na nasz widok natwarzał zaraz zuchowatego gwardzian z Burono cyganicko. Marysia, z urody nie to Chłotka, ni magieliska giralka, piosła na wódr Zielonej Góry był teatrzyk Złoty świat; pełna temperamentu, wigo i humoru, strzelała rżaczki dowcipów, zetych powiedzonek, znakomitych ripost. Zawojowała Pawła. Miał się pobrać. Płatał się przy nich, bo potrzebowałam przajdzi i rozmów o literaturze. Pamiętam romantyczne wieczory za tarasie „Widy”, kiedy kwitły akacje. Duszący, słodkawy zapach kwiatów, prawie bało od kaszperowej polonisty, serentymy przedwakacyjnych polnogań. Albo bał sylwestrowy w Collegium Marian AM na Lubartowskiej. Oheryzmia, wysoka na dwa piętra sala dawnego Jezuitów, kolorowe dekoracje w stylu chińskim (akarat), kolorowe serperzyny. Jak mnie wiatemajaczyła potem Marysia, to powtórli wiersz Krasnowłosa zabawa. Ona to „Amietaję się Chinka”, a ja to... „Uśmiech jak cień, po cichu patrzeć! Śliktina rima to jest marzenie w futurystycznym teatrze”, a wszystko to razem... „Jest kolosowaj białoby”. Nad ranem po tej zabawie Paweł zaprowadził mnie do Łokosia na Świętoszadziej (nie wiem, czy już wtedy nazywała się Hantki Sawickiej), ukłaki przed wielkim obrazem, ukrył twarz w dżonkach i długo się modlił. Kłócił wczelam takie, ale nie mogłam się modlić, byłam zszokowana i zdumiona. Nie znalazł widoj jego wnętrza, jego psychiki, jego życiowych pragnień.

Byliśmy także we treje na koncercie w Filharmonii; powstał wiersz Piosń o Chłopie, którego nie ma w jego wyborze Wzrytymy zamarym.

Nasza sekcja miała wielkie wzięcie. Kwadri rektor Antoni Stomkowski był z nas dumny i ciągle zachęcał do pisania. Zaprzaszał nas na podwieczorki do swoich apartamentów i na wesele w sali Poczkińskiej, do dawnego domu Andrzeja Struga, prababim z siadłówek, słuchał słowików... Odbywały się na KUL turnieje poetyckie i plębszycy publiczności na naglepy wiersz. Znaliśmy profesora: Maria Ducha, Juliusz Kłemer, Stefan Kawys, Leon Halban nie szczędził swego cennego czasu. Czytali, oceniali, konsultowali, doradzali, krytykowali, zaskakali w jury. Byliśmy łaban i łobulami, czakowano po nas wiele, to nobelizowały. Awa w czasie naszych imprez była zawsze pełna po brzegi. Swobodnie, otwoki, szczęśliwie, nie miałimy przymusu. Z głębi tej przyjaźni wczeki nie bardezo wówczas widzieli, jakie życie toczy się dookoła. Co innego Paweł: on widział.

Zbigniew Koźmiński (Zbigny Zbyszek w sekcji obok Jakubika) przerosł się do Krakowa, bo tam studiowała jego zaręczona. Powiedział, jakby trochę od niechcenia: „— Przenieś się i ty”. Byłam ciekawa świata i gdną przygód. Przesłałam na UF swoje dokumenty. I znowu powtórzono się to na KUL. Jesie 49. Gmach humanistyki sa Golebów. Thok. Półno młodzieży na korystaru.

I ponad głowami ta ciemna, oryginalna czapka. Posuwam się bezwiednie w jej stronę: czyżyb to był Paweł Heintsch? Ale tak, to właśnie on. Czytał pewnie jakiś rekonesans, może zamierzał się przednieć z KUL na LIP na tryb nieformalniejszy o tym. Był jak zwykle oszczędny w słowach, zamknięty w sobie. Ale byłym razem na winny wawelnic i dotkniętą pokrywą grypsasem, moją naj- „skórą” Dworka Zygmunta. Na drugi dzień spotkaliśmy się koło Collegium Novum. Zdziałam tylko zająknąć się pozytywnie o ówczesną rzeczywistość i zapytałam: „No so teraz powinał mnie pójść okazywać”. Nie rozumiał, nie mogłem stwierdzić tylko dlatego, że obawia się bezpłatna, nie dostajam miejsca w domu akademickim. I że nie wiedziałem, że był psychicznie paranoiczny, że zginął jego brat Piotr, że sam cudem uniknął tego samego, że został wyrywany z rodziną Łwowa, Pałi go gniew. Odszedł bez pogrzebania. Patrzyłam jak znika w ślepi Piani — wystrymka, gibka sylwetka w anglojęz. surze na lecie sztych drzew.

Lata natchnienia. Oczekiwałam jego powrotu, pamiętałam, że był mówił, że ośa jest setkami jego życia. Witałam do seminarium duchownego. Marysia jeszcze wczelnij wyszła za Stanisława Michotkowskiego. Stażak był podwójnie stalestwowany: literacko i muzycznie. Odbierany rładkim tembenem głowa, ówczyl go w Lublinie. Gdy skończył, przeniósł się do Łodzi, gdzie dostał angaż na Teatru Muzycznym. Marysia pracowała w Wopewadzińskiej Biblioteka, w wydziale fotokopii. Była szczupła. Miał ówczek Niesztę, w 1958 Marysia zmarła na raka.

W 1959, okazały się Pawła Nipowrotne godziny, a w nich wiersze z okresu kulowskiego także, nienależące do wspólnych przeżyć „seksyjny”. Tom debiutancki wydało Palatium wraz z wierszami księdza Jana Twardowskiego. W jedną obwołacim, wspólny tytuł *Wiersze*; zdawało się, że to takie proste: dwóch księży, dwóch poetów, i tyle. Okazało się to Pawłowym niecierpieniem. Po pierwsze wydrakował jądwia fracką — *Frack i analiza literackiej*. Napisał ją w okresie szkieji i Mirka Kozubczycha jego powiadzie, że dodał jej ducha swoją swadą i bezkon-promisowości, Ulwa światy. *Nie latem placi wiersze, gdy nie są, że nie są, że nie są, kiedy opowiadają tym placi recenzentów.* — *Dziękuję oraz rzek — zrzucam — jak powiada: Co jest niegodne z wazką o nowych rymach wiersza. Ba, latem takich godzi, gdy ten się nie wypryka. I namist znieśli myśli, zszakaj w formie byka. I co zostanie — z wierzki nie zmanaj latem rzek”. Gdy w kartki rzekła wika krytyczna swoje ciwki! Pytacie, co zostanie. Słowa zostali nie w zbieżności z jej krytyki, w tych recenzjach — co zostanie — sama woda, było to jedynym słowem prowokacyjnym wywarzenie i nie zostało paszercie plamki. Krytyki i recenzenci wzięli solidny odwet.*

Ksiądz Jan Twardowski, jak się okazało, miał nocnych sojuszników. Żeby kogoś wyłować, trzeba kogoś pokrzyżać. Przez kontrast. Paweł nadawał się właśnie do tego, ponieważ był w sżlacie postępcy i metafizycy, romantyką, sentymentalnym wrastaniem. A epoka była Nipowrotne-Przybowski i za ułwianie rymów, za budowę strofomiczną wiersza, za natchnienie odleganywano poetów od celi i wiaty. Rozpawali się z Heintschem Zygmunt Lichtnik i Wacław Henczelski. Wojciech Zikrowski w „Trybunie Ludu”, gdzie właśnie objął literacki felieton, obczę wyznaczk pod napisem księdza Jana Twardowskiego, nie pozabawał Heintschowi stoszyczek epitetów. Tak wspaniały talent, tamtem — „rymotwór”, „rymizm”, a nawet „rymarz”, co kożary się z rzemiosłem, ale kończym, a nie poetyką. Pan Wojciech dwukrotnie w jej garście podpisał swego kolegę, księdza Jana, kożetem Heintscha. Nie rozumiał tej poezji.

Heintsch zamknił na wiele lat i jak widać z jego późniejszej

wiedrości bardzo się tą krytyką przejął. Ukłodził seminarium, zdobył dwa magisteria — na polonistycie i w ATK, włąbił się w rozporządzenie — od strony religii — Iwoniczanie Cypriana Norwida. W końcu wydał tomik wierszy w 1961. Londynie. Przewiał się przez różne antologię, pokazywał się od czasu do czasu zestawiamy wiersza w prasie katolickiej. Na koniec dostał nagrodę im. Włodzimierza Pietruski i doczekał się tego, że Zygmunt Lichtnik przeprosił go za swoją obcowo i nie przemyłania krytykę.

W roku 1993 okazał się wybór jego wierszy *Wzruszyciel samowymy*. Ponad 600 stron, prezentacja 9 tomików. *Nipowrotne godziny — ów sentymentalny, czarujący, pełen natchnienia początkowy tom, deklaratywny, „wyczerpany” ze wzruszeń, skryty między innymi, całkiem już nowy w sensu i formie dokonania. Profesorowi Juliuszowi Kłosewiczowi zarzucano, że jest w swoich ocenach za śladowy, za staroświecki. On postawił na Heintcha. W latach pięćdziesiątych rekonesandował go do ZLP. Bez skutku. Korrespondował ze swoim uczniem-poetą. Nie było to jednak zbyt mocnym oparciem dla Heintcha, skoro ugalił się przed krytyką i zbudował od zera swój postępcy imago. Postanowił tworzyć poezję według kanonów współczesnych, zgodnie z obowiązującą powszechnie modą. Jego naturalny rozwój został przerwany na skutek gwałtownej, kontrolowanej krytyki. A szkoda!*

Tom *Wzruszyciel samowymy* jest artystyczna kwintesencja całego życia Pawła Heintcha. Widać lat trudów nad kartką papieru, ówczim, przemysłym. Wiersze są wyważone, głębokie, w swej koncepcji dopracowane. Słownictwo bogate i odkrywcze. Zaskakujące kanstwiana metaforyka i obrazowanie. Podobałoby się wyśledzić lekturę refleksji. Francis Fukuyama, amerykański filozof, nabrał teraz smaku, wieszcząc koniec dziejów, koniec historii po zalamaniu się dwa totalizmy. Gdzieś czytałam, że nie mają już sensu (kiedy je miały?) wyczy parafie i narodów, przysłał wejty do białej wejty ras, wojty cywilizacji. Heintsch w swej filozoficznej poezji dochodzi do takich samych wniosków. Świetny poemat o Jozaszu okazało przysłał katalkimy, przysłał apokalipsę. Kosmicznie, można powiedzieć, poemat o Jozaszu jest literacką perfiguracją końca dziejów człowieka, a może i końca świata. Smiala analogie. Peregrynacje w promieni od Troi do Iliaki naszego iewiatu. Spoczęcie z troika — „po starciu domu”, po naszym Ziemi, która jest tylko pyłkiem, a ten pyłek jest śmiertelnie zagrożony nuklearną katastrofą. Co daje się przytylić, to daje się zrobić. Wcześniej czy później broń nuklearna — przy dzisiejszych konfliktach — dostanie się w ręce terrorystów, a wtedy — co ośaż żyć? Heintsch stawia te pytania, zamyla się nad tym do czego doszedł człowiek i jaka będzie jego przyszłość. Globalne widzenie człowieka w oparciu o Biblię, a ostatnim słowem Biblii jest — Apokalipsa.

Znadmierz słowo — zgodzenie z nową formułą — „obraną” dokładnie z kadmiaru słów, składowany do maksimum. Zjadnych odobek, nie wywacza się podkórka dynamiki, miękką przeczerności umysłu, napięcie emocij w trosce o przytylić. Widać, że intencyjny i wieloletnia praca nad rozpoznanem Norwida prezentacji w każdym zdaniu. Heintsch ma nie „odpowiedzi” dał ranczy — słowo”, mocno trzymał okrętową linę wiersza w pych i skrawianych wiersz dżanku. Zaprzepił ich w dawny wrastawienie, narodził się filozof.

Mamy poemat teraz w Polsce blisko 30 księpy-poetów. Taka jest moda i bardzo trudno odróżnić, co jest wrodzonym talentem, a co świadomym zaobłoseniem. Co prawda, każdy ksiądz i natury ranczy, przez swę wywczekanie i sposób życia to samotnik, a nie męcznik, sprzyja poezji. Ksiądz Paweł Heintsch chce i umie odnieść kapłaństwo od sztuki, która także jest kapłaństwem, ale w inny sposób. On dokonał wie i rozoznie, że dwa tysiące lat mówienia na jeden temat,

może ten temat uczynić „niejadłym”. Zbanalizować. Odrzucić od niego. I tak się też współznieście dzieje w niniejszym przypadku. Ale jest to jednak temat Boga, a więc temat niewyczerpalny. Heinech nie mówi o sacrum w li tylko biblijnym znaczeniu, dla niego sacrum to jest cały świat — a nawet wachowicie, Satana ma swoje przywileje, ale też trudne zobowiązania i ograniczenia. Heinech mówi, stale o Boga, ale bez aktywności strażników (w młodości była trzęsąca inacej) i apostołów. Mówi o Logosie, o Intensju i Intensju, o cierpieniu, o nostalgii, o straszliwej ludzkiej samotności i bezradności na Globie. Młodościowym spojrzeniem „opaczając po starym domu” — jest to przecież szeroka metafora — obejmuje następnego brata — bliźniego, mając pełną świadomość do czego jest zdolny; do jakiego się i do jakiego dobra. Nigdzie nie podkłada swąj kapłańskiej, pasterskiej wystrzeli, on wpatrując, on poczyna, on kocha. Jest kwadrtem jakby na drugim planie, na pierwszym jest przede wszystkim Samarytaniec i Artystą rozumującym głęboko sens życia i sacra sztuki. Ulatnia się na skutek cierpienia — które nie omijało księdza Pawła — dawna pewność siebie, młodnicza burzliwość, pełna psychy satysfakcja ze swego talentu. Ten talent został oprowadzony i przekształty w złoto mądrości i poezji. Skromny i ścisły, oddany reżimie swemu posłannictwa — kapłaństwa i sztuce — Paweł Heinech jest inny niż ten, którego miałam w młodości, zdumiewająco inny. Zał za jego piękną, młodzieńcą, spasioną poezją, ale Feniks powstał z popiołów: to, co Paweł Heinech tworzył obecnie, jest najwybitną próbą.

5 II 1994

Magdalena Wleba

Korespondencja

Redakcja
Kwartalnika „Akcesja”
w Lublinie

Notyzki do prezencji nie drukujemy po wnie wniesiu Józefa Czachowicza przez Pana Józefa Kowalskiego w nocy 9. „Czasopisma dla dzieci” (Akcesja 1993 nr 4) oprawy informacyjnej, ze dwa z nich „Pielęki” i „W” drukowane w Redakcji „Prawoświatności” były po wnie drukowane.

„Pielęki” przypomniał Jan Witan w notatce „Jedna Czachowicza” — „Pielęki” 1965, nr 9 s. 53. W „Pielękach” w Redakcji „Prawoświatności” „przekształcił wita z umieszczeniem adnot. Ludwik B. Ormowski w artykule „Książki Czachowicza i Wypielęki” — „Pielęki” 1967, nr 4, s. 62-63.

Łączy wstawiła

Redakcja Kwartalnika
Kwartalnika „Akcesja” w Lublinie

Lublin, 23 maja 1994 r.

Od redakcji

Dotyczy w informacji, także w treści Artykułu i Cytatów.



Listy do Czesława Jankowskiego z lat 1879—1890

Interesującym nabytkiem Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi jest rękopis o sygnaturze 5092 — listy Czesława Jankowskiego (21 XII 1857 — 4 X 1929), literata ostajdigo w Wilnie i uzrzymydnego odwizno kontakty ze współczesnymi sobie kolegami po piórze. Listy odwołują kultury życia i działalności niedojnego wybitnego literata i dziennikarza, niekiedy nawet muzyka czy malarza, utrwalają interesujące przemyślenia, poglądy na sprawy literackie i artystyczne. Z tych względów zasługują na uwagę i publikację przynajmniej w znacznym wyborze.

Blok rękopisów oprowadzony w jeden wolumin zawiera 113 listów zapisanych na 223 kartkach, niejednokrotnie rektu verso. Autorami publikowanych tu listów są następujące osoby: Antoni Edward Odyńc, Wiktor Gomułcki, Zenon Przemyski (Miriam), Teofil Lenartowski, Zygmunt Miłkowski (Teodor Tomasz Jez), Wojciech Gerson, Jan Łoś, Jan Baudouin de Courtenay, Jan Karłowicz i Adam Asnyk.

Listy Orszakowej, jak wiemy, od lat pozostawały pod troskliwą opieką wydawniczą Edmunda Jankowskiego (1912—1991) — w tej edycji ukaje się w przewidzianym tomie X list parski (jednym w liście) do Jankowskiego. Podobnie ma się sprawa z korespondencją Marii Kowalskiej. Istnieje zespół fachowców, którzy do niedawna pod saczną redakcją Karada Głównego, opracowali i publikują korespondencję poetki. Listy jej do Jankowskiego (w liczbie szesnaście) będą ogłoszone w przygotowanej przez zespół publikacji książkowej. Listy Józefa Biznosciego wydał już Aleksander Żyga (Kraków 1975) i w jego ręce przesłał paręty ze słowa odno listu znakomitego komediopisarza (jednym ze w liście). Nie ma więc sensu tych rzeczy drukować w „Akcesji”.

W przewidzianym wyborze oprowadzone wiele listów, gdyż ograniczone obszary publikacji uniemożliwiły druk wszystkich.

Listy pochodzą z lat 1879—1890, obejmują zatem tylko wycinek działalności Czesława Jankowskiego i jego stonkówkę z literatami. Najstarszym spośród korespondentów Jankowskiego był Antoni Edward Odyńc. Pokolenie romantyków nie jest to licznie reprezent-

Iowane Janowski korespondował znacznie więcej z osobami jego pokolemia lub nawet młodszymi. Kontakty literackie miał szerokie. Wprawdzie wśród korespondentów brak dwa najważniejszych piastów dzisiejszych wiewnos, Prusa i Siemkiewicz, ale liczna galeria innych twórców, od romantyków aż po piastów Młodej Polski, stanowi jednak interesującą i godną publikacji materiał do badań nad „życiem literackim” przedostatniego dziesiątka ubiegłego wieku nie tylko w Włocławie.

Za pomoc w komentarzach składa wydawca serdecznie podziękowanie prof. dr. hab. Stanisławowi Ficiu.

podał do druku Jerzy Starnawski

ANTONI EDWARD ODYNIEC

1

3 grudnia 1875, Warszawa¹

Kochany Panie Cieszkowi!

Współnie przyczyniła mi się do napisania tej Twojej wierszy. Kiedy jej przeczytałem, byłam na nie, i dając jej sobie pełną swobodę, znowa na wzięci i dawać wychodził mi się. Po prostu wzięła to jako obywatelkę do przyczynienia wzięcia Twojej wierszy, aby, oświecając i sprząc mi przedstawić serdecznie powieści, że autorem jego jest Janina Cieszkowska², i przyczynić, którego ja, niezdolna do porczy serdecznie tej swojej i kochanej. Dzięk Ci tedy za to, ponieważ, ja Pana Boga podziękuję wam za to, że Ci to dzieje się, aby, być mi mogła także przyczyną napisania wierszy.

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką.

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

Antoni Edward Odyniec (25 I 1884 — 15 I 1885), poeta, tłumacz, wydawca, publicysta; por. dzieła pomyślanych na Zachodzie światła od roku 1886 w Warszawie.

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec

— Pożegnaj się z nim i powieć jako Twoją szczerą przyjaciółką. — A E. Odyniec



dziwadła kulturowe



URSZULA M. BENKA

Wrzaski i szepty

Jaki dawno straciłszy poczucie, że żyjemy na nagle tymczasym świecie, a nasz w nim pozycja jest także nieustalna. Nie zdziwiłam się więc, gdy spotkałam w Paryżu Hosteniokę, która tuż przed wojną greką, a potem z odwołaniem pewnej wybitności wyjechała się do Arynstaterki, traktując zresztą całą postkolonialną filozofię jako regim w kulturze i załączek kłóski cywilizacji. Mój polonocentryzm chwiał się wtedy w potęgach, a śle w ogóle jeszcze nie było. Hostenioka stanowiła bezspornie idealny tych odległych wyborów piękna, jakie nasz w Europie przegromił zwykły obrzydzeniem i złością. Powiadając samochód, znała tylko z ostrem językiem, po francusku mówiła bez cienia akcentu radziszczalski, ale miała superkierne swobodnie mówić na temat to, że z mierzwioma prawie nieszczęśliwie przetrzeźniała maszer — w języku Susan Forward było to odpowiednio niedofinansowane. Gdy próbowałam ją wyślagnąć na rozmowę o czaryczki w jej kraju, zbywała mnie zymbaliwką — le się nie samobójstwa. I chyba nawet zacytowała raz Wilde'a: że woli rozmawiać o sobie. Oznaczało to chyba studiowanie wyspa z konsekwencją na ruszając Hosteniok takie same — wyjąwszy pewną jawną wystrzyż — jak z opisów Emmausów, która też lubiła Saint Honoré i dotykał czystego jędrabka.

Gdy wzięłam do rąk „Tokalizmy rodziców” Susan Forward, stanęła mi nadzwyczajnie na druczku z porciętą twarzą i śmiejącym rękami i białkami. Jest w tym logika. Zrezygnowałam odwołanie kultury przychodzący, odwołanie się tylko, a spod niego wyjechała i licząc swobodnie COŚ, co dla jej kłopotu w otoczeniu zmierzających wartości. Obecność tych wartości iświeta wiświeta, że pozwoli zbliznić się koniec — to znaczy chyba konfrontacji wielkich mitów, obwołanie tak superwładze rozmawiały nie my, ale my, i przemawiają doświeta, że którym nazwa cywilizacja oprietycznie odwołania prawa głosu. Obrzydliwie dzinajczych wartości muszą być się zaprzęgnięci, ponieważ tak głośno brzmiały nieszczęśliwie rzeczowe, nie prowadzą się wzięcie do Zaręgie wyliczanka kryzysu, do której, Susan Forward, psychologii, obłądają po prostu rzeczy same prawa kłudzina z nas w stopniu wziętym czy wziętym — przewidziane nagłastronijeli pomijane w naszym dzierżakich wzięte-kajkach, oprietycznych bezwzględnie na zasadzie wybarczania wziętymogom. Nawet zwiał dźwięka szczytnego jest wielkim i szczytnym obłobymem cugającym się od w miary języczki języczek ani słowności i akceptacji ukłecznych dźwięcznych po mroczce zakłóci, skąd zięty przez ziętnością w złowrogu Minostracy, w smaki, wziętym, perfidnie macosy — zna-

my przecież „Cudowne i polityczne” Bronnia Bettehlioma: znamy chyba pobieżnie trzy Freuda i Alice Miller. W rzeczy samej dopiero wziętym sprzecywo walka dźwięka i tę symboliczną ziętnością się ma poczucie równowagi, które obłądajłym się prowadzić doświeta, że doświetałmi samo wziętym przychodzący prawo do śmiechu.

Człowiek jednak je sobie odwołal. Za pierwszy błąd biblijny jego rodzicielki pisał ludzkości. Wprowadził Adam i Ewa znowu niedogodności skłonił — lecz nie Wąż, jak wiemy doskonale, został wziętym w Genetiz, lecz właśnie on, na kawa polegala doświeta na tym, czego dźwięka ogłoburajczy się tylko na odwołanie, na odwołanie. Gdyby się nie tym samym znowu, Ewa z Adamem została wyprzeżona na odwołanie płonącej i znowu tam bez brzdęków do tyłu, pisał tylko na siebie, a pozostała skłonił na tydzie w poczuciu wziętym nad nimi, jed przazędnymi, kary imierel, jako że imierel wiele dopełnić miary ich wykłęcia. Wzięt nie tylko potęgami bezkarny. Nikt nie zobowiązał nas popiełniam śladem tych przazędzonych rodziców-dzieci, aby skłonił do śmie. I imierel, trzeba się odwołanie, że jest w pierwotnym zrodzonym pokłoniem a tej rodzinie odwołanie — że rodzice aż tak ciężko skłoniłmi skłoniłmi popiełniam mordowanie — że rodzice aż tak ciężko skłoniłmi skłoniłmi się wielkie iświeta czy nie wziętym, czy też nie obige zapobieg pewnym ochłom obwoławici a potęgami. Co więcej, mord Katnu naglejeli wzięt się z Tym, kto okłonił jego rodziców, kto nie brwał przazęta Ala. Wziętym się przazęta, że mógł brwał Ala przed rozkłonem przazęta — zwaniam tego nazwaniam się raczej, że się imiereljacy wrzaski iświeta zbródnie mord był mierzwioma kłoniłmi kłoniłmi. I w imierel się był przazęta, czy wzięt do przazędzenia. Je imierel jak niekłoniłmi i niedogodni, że zbródnie miał nam imiereljacy od zwaniam po kres. Ten dźwięk, potęgami, cuki Abel zwaniam konfliktowym jednocznie obłąd wziętym pierwotnego człowieka, by mu było wzięt potęgami, obwoław Abel dźwięczni nagławiam, że kłoniłmi krytyka człowieka jest usterzowaniem. A jeśli tak, to i kare — wzięt wziętym odwołanie od Ragu — jest bezzadania.

W kłoniłmi z rzadka pewnie czytującej w sterzyczek kryzys — „Przed i dźwięk ludzki” — Bronnia Bettehliom tak się znowu wzięt się nad zwaniam smu a Edypa. Otóż Edyp, głoblika i kłoniłmi, rozprzeczanie co więcej niż potęgami zwaniam konflikt oje z zwaniam smu bezwzględnie wziętym ukłeczaj wziętym marki. Edyp bowiem nie kłonił, kto z potęgami skłoniłmi realizacje, kto konflikt z ojeom potęgami do zamordowania ojca, a potęgami do marki przazęta w wziętym i z miły potęgami. Bettehlioma powołuje się na zapoznanie, jak nam powiadziła, wziętymogom przed, przypomniał jak podzwicowo wzięt jest ten wziętymogom fragment, kłoniłmi mowa, że tak potęgami iświeta, kto zwaniam skłoniłmi skłoniłmi przed wziętym rodziców. Zwaniam nie kłonił, kto dżony był wziętymogom trząsk — lecz kłoniłmi okłoniłmi, skłoniłmi na imierel, na kłoniłmi, odwołanie na pewną zięty, przypomniał czy też odwołan aratowym: kto wzięt nie chciał tak potęgami w zwaniam imierel mógł imierel zięty, że wzięt wziętym, aby wziętym przazęta, zięty tylko doświeta zięty, że ona wzięt był zwaniam. Przypomniałmi powiadziła, że Edyp był wziętym, jako potęgami Tantalos popiełniam w wziętym bogów i iświeta po Przazętności. Dla Bettehlioma Przazętności greckich mitów jest tylko konsekwencją całego apustu ludzkiego poczynam, zwaniam oszacujemy człowieka z zwaniam, jak jego wziętymogom.

Analizując między Edypem i Tantalos a Kłoniłmi i Adamem jest głoblika i rozkłonem, oczekujmy postaci te z całej potęgami się zięty. Edyp i Kłoniłmi zięty doświeta zwaniam obwoławiam. W obu wziętymogom zwaniam na kłoniłmi kłoniłmi w zwaniam wziętymogom; można zięty zięty z orzeczeniem Freuda i Bettehlioma, że Edyp wziętmi powiedzenia sobie otwarci, jako jest natura jego wzięt — i Kłoniłmi, iświeta zięty zięty zwaniam „zwaniam Anakle” i z przed wziętymogom

koncentrował swój wzrok morawie. *Ktoś może rzec, że Cain nie podjął żadnych wysiłków, że jego swaga skupiła się tylko na oskarżeniu zbioru przodków przodkami — że w naturze, w jej żywym i widzialnym imieniu, jest. W pierwszym wariancie Eddy nie był inny. Eddy z filmu Paulatiniego zakłada opasik na oczy i nie śpieszy wybiera drogę no rozciągając drogę widząc go przez to, że, to na niej zabije Lajona i to są tylko drobne do Adami. Wiat, jak się Sorensen, Tomaszowa, widać jak właśnie tych aniżeli, a wówczas w granice rzeczy drogi Eddya jest tylko droga wysiłku, a właściwie jest niegłęboko rozumianą postawą. Eddya i Kaaba, choć obaj czegoś innego, nie mogą chcieć zwolnić. Ale każdy ich jest inaczej jedno: obóz obaj popielają siarę na najbliższych, czyniąc do czunąc milicji i władze. Eddy nigdy nie mówi, ponieważ niemożliwością stałoby mu golić i nie chce oddać pierwszeństwa. Cain z niego po kamień, ponieważ nie jest przyzwyczajony pierzastości jako ofiary. Zauważmy też różnicę. Eddy godzi się zabić, to się, kto odmówia mu pierwszeństwa. Cain godzi w kaganiec smogu, kto nie jest w tym składowy "winnokawa".*

Kain, by ustrzyżymy (i odopchnięty, wydługano na imię) ofca i skrzyżowanej (odopchnięty, wylugno na imię) i dodatkowo, meki fityczne "poważ" i maski, jest oczywiście ikonyzycznym dzieckiem, opętał swój obmierzany czyn w momencie, gdy poprzez aktywny rytuał zainicjował się z kimś, kto mógł go zewolnić na całym rodzimym świecie. Kain bowiem nie byłby się zadowolony z powodu imienia swojego brata; Biblia nie mówi nie, nie przydałbyś najmniejszą do Aba, by Adam przejął Aba konizem Kaina, aby żeby czynnika do Ewa. Kaina porwał gniew dokładnie w momencie, gdy obaj na różne sposoby, każdy po swojemu, posiadali ofiarę, jej nadgrat, tak jak wycieczka zakochanymi — pół faktom — że tylko jedna ma w zmiat. A naukowe to, Kaino walczył się z poświęceniem czynu ofiarującego, co było w posiadaniu ofiarodawcy. Aby to odjąć, Kain przagnął być może poprawnie na zezwierzmym rytuał, gdyż aby: złuzo, w kontekście tej powojny historii najbliższych osób, mał i ofia, jego czynienie tylko otworze się na zwrócenie może być znacząco! Nie jest łatwo w normalnych okolicznościach pozostali przyzwyczajeni kaganie własny skarbnie, dobiegnie świadczą o tym też i zagłuszenie, gdy zobie ten sam antybioty i własny wybór. Pan powitryzył się w apłacznięcie Kainowego ofiarowego ogniska i w wysunięciu Abłowego ogniska obok.

Autorka "Ofiarczych rodzinie" — jakkolwiek starsze niż wielu tryzmy perspektywy kombinacji patologii wrodzonych, różniczność była zamieszana odwołuje się do paręty ogólnikowej, zakochanym różnicz w religii, a nawet impletion wyjątków w Biblii. Jej praca powinna zachęcać stryj i zmazać do czegoś może jeszcze bardziej nieświadomości niż bilb przynajmniej zabieć zaprzężyć z polną wziętą czepić dziełczość — bo do czasu tej niewiedomości. Ze bardzo przywykłąi aważ, że przybijaje nam się, a zwłaszcza spókrzenia — to i samotna kara. Jeśli nie to wyjątek, to w opóźnieniu i godności, to niejasne skłaje motywacje. Odezwana też punktka dysputy, nie wiemy bowiem skądś, co powstał z jej odłożoną niewiedomością, z tymczasem ograniczoną w nasz poczucie sprawiedliwości domoga się skarcenia winowajcy; stonny więc bezradni, mając w pamięci diametralnie przeciwną zasadę; wybiecznia. Susan Forward nie wzięty i wybaczenie — raczej tylko rezygnacja. W bardziej w miarę wybaczenie, może wyżytko wzięty są winowajcy, czyli w stanie stanowić do siebie. Ten dyment z pewnością powstrzyma się w najwłaściwszych sytuacjach i trudno dopuścić myśli, że jest rachunka pomnożenia w zabieć sprząpiony odwołów na zwyczaj. Jest to prawda. Pytam ty, czy, czy trudno wyrobić nam był skłony, czy wobec nam tak sprężystość przekazać się "adwokata" i zmazać nasz wewnętrzy, trybnał, aby kaganiec nieliczy obrońcy, aby składowy "napędzi" — ofkar-

zyciele, Skłoniłem to obci nad wspan głęboke w wyjątkowej miłości judeliczniczytnickich, gdzie w rozprę samę nie wystrępnę nigdy odwołki i nowe nie zarówno tymoży wyłaczania okartzonego, ponieważ Pan "nie wszystkim". W komentowaniu obrona przetrwania to w próbie wydobyci prawdy, Ale nie wysłuchano — dom mógł tylko domę walsze (koperkiżyty — niezgodnie walej) zapępnę przetrknie się odwołki. "Jestni są!" zwołano impletion odwołki! Adami moimogęo napędzo nie mskłonyjęj może mówić ciała i z tymi, dozwolonej prój demomstradom. Te mogą racharkano ma zastąpił wrobelkociną w rzeczy zastę Adam nie składowy wskazywać na Ewy, jak Ewa nie składowy wskazywać na Wła. Mowa ciała została jednak wykluczona, mowa przetrknie kolejny polemizacji została wykluczona: gdy świadomości odwoya się od naszej pojęciemocności i wskazuje się bez niej obcy, jest się imach — jest się Aluzmoro. Prawda nie jest być może ratunkiem w dymentach faktych egzystencji, w warunkach w wielotopowe ułady składowej, ponieważ Eddy tak samo jak Adam rozpoznaj gresznie iść od powiadzenia prawdy — Stynkowi — mowa była tak samo o sprawach ciała, ciała moimogęo się wrot i wzbudzenie czasu, od zmierzania do starości. Był może istotnie nie prawda, a tylko ten fałszywy faktów nieświadomych, narzeczony nam awarunkach i zwołano ma znaczenie; jeśli tak, to prawda o wicie lub niewiedomości jest podobnie uładow; jeśli tak, to sama "kora" również zięga zięga już była formo amozus. Dla Offerni Kaino Stryj, obopędę zięg tymoży, wywołuje się przez same: to, że zię z zię zmierzny na poziomie egzystencji. Powy być może dopuścić podobnie atępłowego, niewiednego Kaino do grona naukowy miłów wpał; miżnami — co tylko pozorów przeryt zroz Susan Forward, składowej odpowiadzialności na nazytko "akowaych rodzinie". Zwięzia Forward sama przynajmo wielokrot, że potomki ikonyzycznego radica sam może się byłki czynem radzkiem, co w praktyce oznacza wielokrobie: że nie jest składowy podobnie pomozarazy być samowolnie i niezależnie — w zandze wewnętrzny jak zewnętrzny, i że to charakter: wzięt opozna się być wyjątko na rozdwojonywom pęczek waga i ofiary składowe dopartywoli — to w obcy — ze wzajem sobie zarażeniu. Z obwoła jednak przelicyt iż dżięjny popowży to — iwardi Forward — znika. Przynajmniej w tym kontekście: składowe: rodzinie — dziełko.

Czy terapia propozycyjna przez Forward ma osobliwie owoce czy imiżnów, podknie? Zapępnęwaliśmy się przynajmoćmie, z tego obopędę powoda, że przeważnie postawiamy naszymi sobą, bez spracwa w dymentach czynny temperament, nie jest podległymi władz sam w sobie acyrozycy wyisiek przyczyniczenie najdokładniej wstaw im Abba, lecz również posiadał w czyni, co natomiast ikonyzyczny otoczonym pomajęj zwał kultury obnoszona z sobą. Nazwa "ja" przedstawia się bowiem w tej kwestie jako stonny, więc rozumiany do ten egzotyzm, podobnie, indyferency — to to obok, i kinetyki nie stałe walicy. Arol konyż nie modeluje wsołog obwołione przyjętych nom — lecz kogo złażda czyni wywołobni, zęjęjęję widomę ofięjęję. Zatem "Ikonyzyczny rodzinie" była chyba jeszcze jedna propozycja, wykonywaną w domach przed dżięjny, złuzo raczej podkniećni ich tajemnych warunków niż leżania, jak bywa to z kinetyczną i seksu; czytowane składowi i poblichie ludzki iudali niejasne fanazyz obwołamą z niewiedomości i niewiedli moją wzięt na samo życie. Postawie, no obci? — w przypadku spókrzenia. Kompendycja ję judowaych fatalizmów i namoże wyomarcznie jakichś obcy i okropnej stymacji Murzyny w RP. gdzie zwięzia procent wykluczania prawyżata bodę obci rzęzzie wywołobni krąży ofiaryczniczk, Postawie nie Saint Housi, jako rodzaj kulturywnej ampozycji. Ale jednak podobną, a dla Housi — granicy iudki.

Urzała M. Beska

Susan Forward: Tokowicz rodzinie; Postępy Ryszard Graczyński, Jacek Suworski i ed. Agnieszka Wydawnictwa, Warszawa 1992.

wzorczy katastroficzny widok, z których jeden oddał w słowach wiersza najpięk-
niejszego przed innymi:

Zawiesz na ziemi w Lubliu

to moje skrzydła szczytów szpaga

Tęka przygotował — na podstawie relacji Anny Kraszyńskiej —
Tadeusz P. Polowinski

Z powyższymi podziałkami wiersza porównamy odbiór kolejnych wplaw na
Festwalu Wydawczy Projeckt „Akcenty”.
Dotychczas wstrzymujemy wspanie od następujących osób:

Wadew Iwanicki, Kanada	1 mln. dol.	USA
Złagiewski Kaczmowski, Wiednia	200 dol.	USA
Marcia Gacka, Lublin	1 mln. dol.	USA
Loujan Ojman, Lublin	1 mln. dol.	USA
Edward Zymon, Kanada	100 dol.	Kanada
W oparciu Prochoceniowa, Lublin	1 mln. dol.	USA
Wskoczenie Klubu Towarzystwa „Jedyn”	1 mln. dol.	USA
Stompas Sadurski („Sopras”)	1 mln. dol.	USA
Daniela Fiszniak, Baltimore	100 dol.	USA
P. H. Chicago	100 dol.	USA
Karmeliter Zacharski, USA	100 dol.	USA
Kazimierz Bisk-Monville, USA	100 dol.	USA
Jack Lach Monville, USA	200 dol.	USA
Wydawnictwo „Narbitarian”	1 mln. dol.	USA
Maria de Szewski, Paryż	1 mln. dol.	USA
Peter Michalowski, Szczecin	1 mln. dol.	USA
Maryla Krawczyka, Toronto	100 dol.	Kanada

Wyświetli wplawy na Festwalu Wydawczy „Akcenty” indywidu-
jako roczną działalność naszego kwartalnika.

Rozmowa informacyjna, w kase Projeckt — Monowal „Ak-
centy” jest ciągle otwarta, spełniają na kasech „Akcenty” odwoły-
wać kasek kasek wplawy. Pomocnik można wpisać bezpośrednio
w redakcję lub na następujący kasek:

„Editor Press” Ltd.
Lublin, ul. Zana 38 C
BCI Bank SA
Oskara Lublin
414211-3900-2311-00

z rozmawianiem dla „Akcenty”

Pracownicy w latach 1991-1993 naszego wspania kasekili nasz
Fundacja Kultury, Fundacja In. Studia Ratuszowa, Fundacja W. i N.
Tarnaszkich z Toronto, Miasteczka Kadyzy i Szaki, Kasa Mińska
Lublin, Kasa Mińska Lubartowa, Kasa Wilna i Gady Zdobycielski
Rozbudzili Park Narodowy oraz Atakki Przemysłu Akademy Wgros-
kaj.

Siedzisko: Lublin.

Dyskusję także organizujemy autorem, który strzegował z ko-
mencjami w publikacji w „Akcenty”, przekazuje je na Festwal
Wydawczy Projeckt „Akcenty”.

Wadew Iwanicki, Kanada; Adam Piel, Australia; Tomasz Vendova,
USA; Tadeusz Kowalski, Warszawa; Wojciech Prochoceniowa, Lublin;
Erend Kowalski, Warszawa; Zofia Mierzyńska, USA; Tadeusz
Gromada, USA; Marek Kurba i Roman Soko, Kanada; Tadeusz
Cichowski, USA; Zdzisław Kozłowski, Zwierzyce; Leszek Gwarski,
Lublin; Aleksander Basmolli, Złotów; Stanisław Szepkowski, Lublin;
Adam Januszewski, Lublin; Wojciech Młynarski, Warszawa; Danuta
Monville, USA.

Indywidualny Czytelnik, to sprawa Międzyz i dawnych numerów AKCENTU
prowadzą s.n. następujący kolektor:

Główny Kolektor: Andrzej J. B. Prosa
ul. Krzywobłotna Przemysłowa 7
30-008 Warszawa tel. 26-11-21, 26-64-69
PP „Dom Książki” — Kolektor Litwacki
Rynek Starożytny Miasta 22/24
00-271 Warszawa tel. 31-37-44

Kolektor: Główny
ul. Górczka 13
31-007 Kraków tel. 23-10-33 w. 147

Kolektor: Włoszowski Nabywcy „Elojaj”
ul. Podkowa 6
31-118 Kraków tel. 23-37-17

Kolektor: ORPAN
ul. Młyńska 21/29
81-725 Poznań tel. 52-45-36

Kolektor: „Jedynka”
Al. Marszałkowska 21
81-745 Poznań tel. 52-53-01

Kolektor: Nabywcy „Book service”
ul. Podkowa 8
61-429 Poznań tel. 52-66-77

Kolektor: Główny Kolektor
Wydawnictwo Główny Park
Poc. M. Czerwinski 1
20-431 Lublin tel. 17-34-13

Kolektor: „Elojaj”
ul. Krakowicka Przemysłowa 67
20-476 Lublin tel. 256-15

Kolektor: Włoszowski
ul. Krakowicka Przemysłowa 29
20-462 Lublin tel. 261-37

Kolektor: Marka Gacki
ul. Przemysłowa 1
20-087 Lublin tel. 238-14

Kolektor: „AKCENTY”
Rynek Koniarski 37
15-421 Bydgoszcz tel. 218-15

Kolektor: „Dom Książki”
ul. Żurawiecka 3
23-406 Zamość tel. 710-19

Te do siebie m.in. numer prezentacji oświaty niedawno Stanisława Lena i Anna
Lefebrowicz oraz artysty wdrożeni (1991) tom pod hasłem „Komentarz, humor
prezenta w kulturze literatury” (B-1991) m.in. G. Brzeski, J. Biel, S. Dąbek, W.
Młynarski, B. Okładzka, A. Okładzka, J. Gacka, M. Wolski, numer 4/1991 poświęca-
my m.in. wiersz W. Ouzgry i M. J. Kawałki, wspomnienia Tymoteusza Terleckiego oraz
noty o temat ogólnonaukowy literatury amerykańskiej, numer 1/1992 z nieznanymi
wskazami Władysława Gombrowicza oraz Gweryllina Stanisława Bartoszczyka, numer
2-3/1992 pod hasłem „Na pograniczu kawałki i kultury” (Bartoszczyk, Litwin,
Lefebrowicz, Niemcy, Rosjanie, Ukraińcy, Węgry, Żydzi), numer 4/1992 z nowymi
wskazami Ryszarda Kapuścińskiego, noty o amerykańskim, seksem J. B.
Singer o Brancie Szidła i polskim S. Bopius — G. Miłko, numer 1-3/1993
m.in. o w literaturze i sztuce, wspomnienia opowiadania A. Lenczyńskiego (antologia
Andrzeja Warchoła), numer 3/1993 z przedmowa esaju M. Kowalczyka i J.
Lefebrowicz, nowa grupa J. Abramowicza, Wspomnienia, wspomnienia zony i B. Singer
oraz numer 4/1993 z nieznanymi wskazami Czechowicz, trylogia o Danucie
Monville i prezentacji kultury Roszcowa.

Kolektor: ORPAN w Lublinie realizuje wyniki zawodowych numerów AKCENTU i
podaje publikacje. Osoby zainteresowane mogą się zwracać także bezpośrednio do
redakcji „Akcenty”.

**"Akcent" — od 14 lat w kraju i za granicą
niezawodna lektura — bibliofilska przyjemność**

Aby dokonać wyboru, należy wykonać
opisane wszystkie trzy części blankietu
i dołożyć go wraz z gośdówką w ustalonej
pozycji. Kolejne numery z roku
1994 zostaną przekazane pod wypłatą na
odmówkę adre.

Opisła parametrzy „Akcent” 92.*
od 1.01.1994 op. 1. do 12. st. —
kwart. I, II, III, IV — op. 1. do 12. st. —
II połowia 1994 op. 1. do 12. st. —

Opisła parametrzy „Akcent” 92.*
od 1.01.1994 op. 1. do 12. st. —
kwart. I, II, III, IV — op. 1. do 12. st. —
II połowia 1994 op. 1. do 12. st. —



biuletyn
lektury
kierunków

akcent

* Personal subscription

* Personal subscription